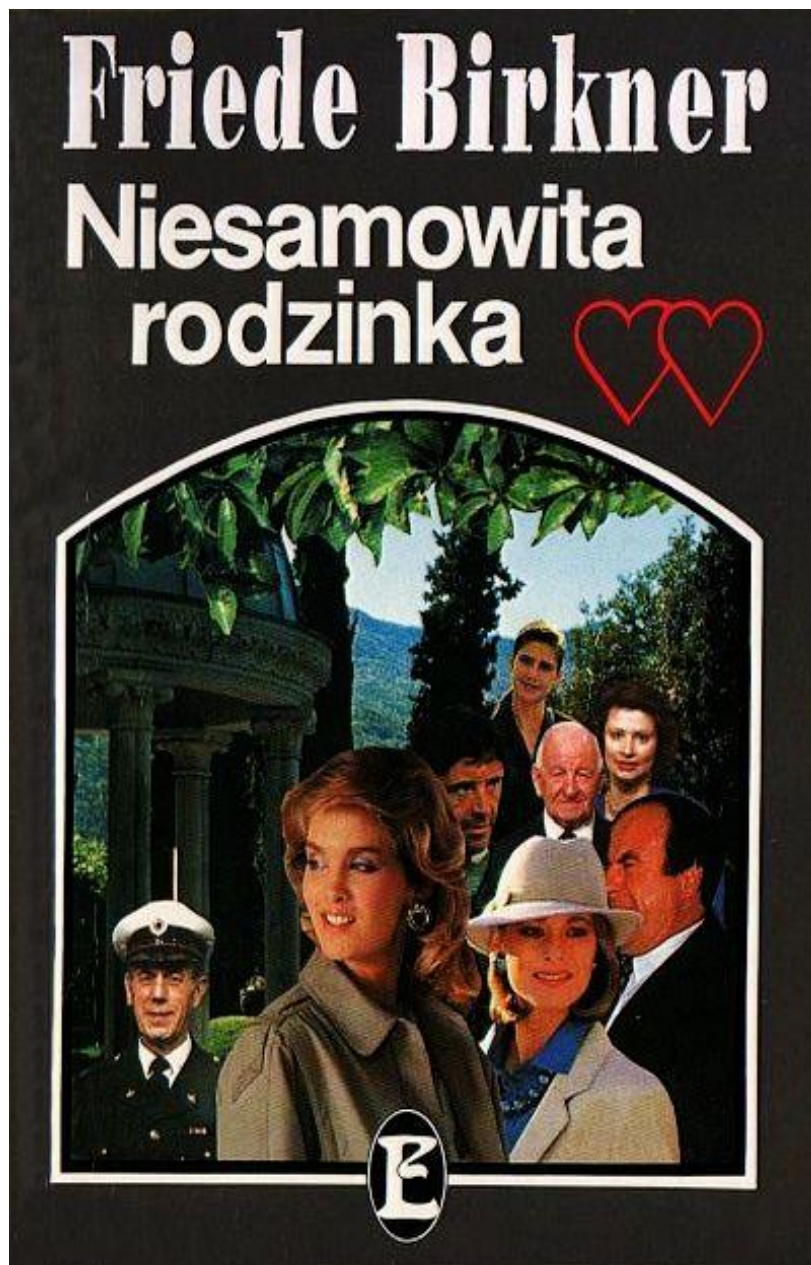




Friede Birkner Niesamowita rodzinka

Przekład Paweł Latko



Prywatnemu detektywowi, sławnemu jak Jean Morais, rzadko się zdarzało, by nie miał nic do roboty. Odpoczywał wygodnie na ukwieconym tarasie swojej mieszkanca na poddaszu. Ledwie się , zdrzemnął, gdy zbudził go ostry dzwonek do drzwi. Zerwał się na równe nogi, a ponieważ pantofle jak zwykle gdzieś się zawieruszyły, poczłapał w skarpetkach przez salon do przedpokoju. Przewrotnie — wykonywał przecież niebezpieczny zawód i ktoś niezadowolony mógł go znieścacka zdzielić czymś ciężkim w głowę — spytał zmienionym głosem:

— Kto tam?

Gdy usłyszał odpowiedź, szybko przeciągnął dłonią po zaróżowionym połączku i przekręcił klucz w drzwiach.

— *Monsieur*, błagam, niech pan otworzy! To ja, Juliusz Burghard.

— Myślałem, że Juliusz Cezar we własnej osobie. Już otwieram — mamrotał zdejmując łańcuch. Zobaczywszy eleganckiego, mniej więcej trzydziestopięcioletniego mężczyznę, wyraźnie zdenerwowanego, zdziwił się.

— To pan, doktorze? Cóż to pana do mnie sprowadza? Proszę dalej, bo widzę, że nie jest pan w najlepszym nastroju.

Zaprowadził gościa na taras, wskazał mu rozklekotany stary fotel i bez pytania nalał mu whisky.

Juliusz porwał kieliszek, wypił duszkiem otrząsając się lekko, potem odechnął głęboko i rzekł:

— Dzięki, inspektorze. Od razu czuję się lepiej.

— Wcale się nie dziwię. Dlatego wołałem panu nie proponować czekolady, która zdążyła już przestygnąć — zaśmiał się Morais zaglądając do dzbanka. — Szkoda, bo była wyśmienita. Z laseczką wanilii... wprost wyborna!

— Pan się nie dziwi, że przyszedłem o tak nietypowej porze?

— Dziwię się, ale nie pytam, bo nie chcę pana denerwować jeszcze bardziej tylko dla zaspokojenia ciekawości.

— Prawda, zupełnie straciłem głowę.

— A ja, pańskim zdaniem, jestem tym człowiekiem, który pomoże ją panu odnaleźć?

— Tylko pan mi pomoże, *monsieur*. Nie wiem, co robić dalej.

— Wzbudził pan moją ciekawość, ale może najpierw zapalimy, a potem opowie mi pan o wszystkim po kolei. — Morais sięgnął po cygaro. — A może papierosa?

— Dziękuję, ale jestem zbyt zdenerwowany.

— Mam gdzieś gumę do żucia...

— Nie, inspektorze. Chcę tylko, żeby mnie pan wysłuchał.

— W takim razie słucham, drogi doktorze. Pozwoli pan, że spytam: czy sprawa, z którą pan przychodzi, ma coś wspólnego z pańską pracą w ambasadzie?

— Nie, nie. Zupełnie nie.

— To dobrze, bo wolałbym się w to nie mieszać. O co więc chodzi?

— Potrzebna pańska pomoc... w przeciwnym razie on jest stracony. Czy tu nikt nie podsłuchuje, *monsieur*?

— Podejrzewa pan moich sąsiadów? Staramy się być dyskretni, ale jak pan chce, możemy przejść do pokoju.

— Na pewno słyszał pan o zamordowaniu Madeleine Brochelino — zaczął Burghard, gdy usiedli w salonie.

Morais obojętnie przyglądał się smużce dymu z cygara, ale instynktownie nateżył uwagę.

— Skoro pan pyta, wiem już, że to nie pan ją zamordował. Madeleine Brochelino... O ile sobie przypominam, ta piękna kobieta, zanim wyszła za Guilberta Brochelino, była przyjaciółką pańskiego przyjaciela, Helmerdinga?

— Tak, rozstali się rok przed jej ślubem.

— Nie pochwali pan mojej pamięci? Hm, piękna, niedobra Madeleine została zamordowana... To przykre, gdy ktoś próbuje wyrećzyć boską sprawiedliwość. Gdzie to się stało? Nie przypomnę sobie, więc lepiej będzie, jak pan opowie mi wszystko po kolei.

— W parku w Monfalcone, w jednej z posiadłości rodziny Brochelino. Tam doszło do tej tragedii.

— Coś już słyszałem o tej rodzinie. Nic dobrego z pewnością. Chodziło o jakąś nie do końca jasną sprawę.

— Owszem. Przed trzydziestu laty został zamordowany Luigi Brochelino i do dziś nie wiadomo, kto był sprawcą.

— Tak, ale mam wrażenie, że niedawno temu zdarzył się wypadek samochodowy czy coś w tym rodzaju. Zginęła chyba opiekunka do dziecka i mały Roberto Brochelino...

— Rzeczywiście, pamięć ma pan znakomitą. Samochód prowadził Alain Brochelino, ale z wypadku wyszedł bez szwanku, lekko zadrapany. Trudno zarzucić mu winę, gdyż do kolizji doszło z winy woźnicy, który zajechał mu drogę wozem pełnym siana.

— Tak, teraz przypominany już sobie dokładnie. Ale wróćmy do Madeleine... Na pewno było to morderstwo? I dlaczego akurat pan przychodzi do mnie po pomoc?

Juliusz otarł kropelki potu spływające mu z czoła, zagryzł wargi i rzekł:

— Martwię się o Wenera Helmerdinga. W dniu, kiedy w parku Monfalcone znaleziono zastrzeloną Madeleine, on przebywał na urlopie w tamtych stronach i przypadkiem zatrzymał się w pobliżu posiadłości Brochelini. Pewnie obudziły się w nim wspomnienia. Kochał Madeleine, kiedy była jeszcze modelką w Paryżu, zanim poznała Guilberta i za niego wyszła. Pech chciał, że ktoś widział Wenera i kiedy kilka minut później przybyła policja, natychmiast go aresztowano. Nie miał żadnego alibi, a jego samochód stał niedaleko parku. Na siedzeniu leżał browning, więc od razu uznano, że to z niego Madeleine dostała kulę w plecy.

— Jak na pech, to trochę za dużo tych przypadków. Ale pan nie podejrzewa Wenera, ja zresztą także nie. A wie pan dlaczego? Bo w zeszłym tygodniu włóczyłem się po Kopenhadze i widziałem pańskiego przyjaciela w winiarni w towarzystwie uroczej dziewczyny, w której był zakochany po uszy. A nie słyszałem, żeby ktoś mordował z zazdrości kochając już inną, uroczą zresztą osobę. To tak na marginesie... Proszę mówić dalej, doktorze.

— Wenera wsadzono do więzienia, kiedy Alain Brochelino zeznał, że zamordowana była kiedyś narzeczoną podejrzanego.

— Szczęściarz z tego Alaina, nie powiem.

— Obrzydliwy lalusz, tak bym go określił. Przedwczoraj wrócił z Ameryki Południowej Guilbert Brochelino i on również potwierdził, że Werner kiedyś przyjaźnił się z Madeleine.

— Co to za człowiek, ten Guilbert, jej mąż?

— Schorowany, ale zupełnie sympatyczny. Z powodu choroby, jak się zdaje, często wyjeżdża do krajów tropikalnych.

— Musi być bogaty...

— Wszyscy Brochelini są bogaci, ale eo z tego? Dziecko, jedyny syn, zginął w wypadku, Madeleine zamordowana, a Guilbert też długo nie pożyje. Nieszczęście za nieszczęściem...

— Którym my nie będziemy się martwić, bo musimy ratować Wenera Helmerdinga. Gdzie on teraz jest?

— W Turynie. Za cztery dni rozprawa. Zapewniam pana, że on jest niewinny. Błagam, niech pan mu pomoże!

— Tak łatwo, jak pan oczekuje, to na pewno nie pójdzie. Zostało strasznie mało czasu. Kiedy widział go pan po raz ostatni?

— Dzięki wstawiennictwu naszej ambasady udało mi się uzyskać piętnastominutowe widzenie.

— W jakim jest stanie?

— Spokojny, ale załamany, jakby utracił nadzieję. Znam go z czasów wojny, kiedy podziwiałem jego żelazne nerwy. Tym razem też nad sobą panuje. Nie

rozmawialiśmy za wiele, o morderstwie wcaTe, bo strażnik od razu nam przerywał, ale Werner powiedział dobitnie: „Ja tego nie zrobiłem”. Załatwiliśmy przede wszystkim sprawy bieżące, głównie zależało mu na pełnomocnictwie dla mnie, abym mógł pobrać pieniądze z banku i wypłacić ciotce, u której Werner mieszka, kiedy zatrzymuje się w Monachium.

— Coś jeszcze powiedział?

— Zdążył mi szepnąć, żebym odnalazł Ingrid Steffens, opowiedział jej, co mu się przydarzyło, i zapewnił, że wciąż ją kocha. W tym momencie wyproszono mnie. Nawet nie spytałem o adres tej Steffens. Byłem wstrząśnięty, widząc przyjaciela w takim stanie i w takim miejscu! — Juliusz zakrył rękoma twarz i nie mógł mówić dalej.

— I przyszedł pan do mnie z nadzieją, że znajdę drania, który pięknej Madeleine posłał kulkę w plecy, dając mi na to raptem cztery dni? Obawiam się, że będę musiał pana zmartwić, ale to przekracza moje możliwości. Ledwo wróciłem z Danii, gdzie nie czytywałem gazet, nie mam więc żadnego poglądu na tę sprawę. Nie jestem też obrońcą Wenera Helmerdinga i nie będę mógł z nim rozmawiać. Te dwie okoliczności bynajmniej nie ułatwiają mi zadania. Był pan już w Monachium u tej ciotki?

— Oczywiście. Po widzeniu z Wernerem od razu poleciałem do Monachium i wyjaśniłem tej miłej staruszce, w jakie tarapaty popadł jej bratanek. Zaśmiała się i powiedziała, że przynajmniej już wie, dlaczego przestał przysyłać wido-kówki, bo umówili się, że z każdego miasta, które odwiedzi w czasie urlopu, przyśle jej kartkę. W to, że popełnił morderstwo, oczywiście nie uwierzyła, a działania włoskiej policji określiła jako żalosne wygłupy. Madeleine знаła i przypomniała sobie, że nawet w okresie narzeczeństwa miała problemy z zachowaniem wierności. Kiedy Werner odszedł do tej paryżanki, ciotka odetchnęła z wielką ulgą.

— A to ciekawe! Te stare ciotki mają chyba jakiś szósty zmysł. My zaś mamy już jakiś punkt zaczepienia, a mianowicie, że denatka miała kłopoty z dochowaniem wierności! Musimy szybko odnaleźć tę Ingrid Steffens. Mam nadzieję, że jest to ta śliczna dama, z którą widziałem Helmerdinga w Kopenhadze. Hm, tylko jak trafić na jej ślad?

— Inspektorze, pan chce szukać jakiejś damy, kiedy toczy się gra o głowę Wenera?! — krzyknął zrozpaczony gość.

— Spokojnie, drogi przyjacielu! Pański imiennik, Juliusz Cezar, podobno nigdy nie wpadał w panikę. — Morais dopiero teraz dostrzegł, że cygaro zgasło. Z obrzydzeniem cisnął je do popielniczki mruczając pod nosem: — Co za wstrętne przyzwyczajenie!

Sięgnął po poranną gazetę i zaczął szukać, czy nie ma jakiejś wiadomości o zabójstwie Madeleine Brochelino.

— Inspektorze, błagam, niech pan coś zrobi!

— Cóż ja! Niech pan błaga Boga, aby uruchomił dodatkowe klapki w moim sklerotycznym mózgu! Zadam szybko kilka pytań, a potem pana wygonię, bo lepiej mi się myśli, kiedy jestem sam. Zna pan jakiegoś adwokata? — Juliusz wymienił nazwisko, a Morais aż zagwizdał ze zdziwienia i spytał: — Kto opłaca honorarium najdroższego obrońcy, jakiego znam?

— Werner upoważnił mnie do zapłacenia każdej sumy, jakiej by nie zażądał.

— Widzę, że pan Helmerding nie należy do biedaków. Czy w czasach, kiedy był zaręczony z Madeleine, też uchodził za bogacza?

— Przejął po ojcu dobrze prosperującą drukarnię. Jego rodzina zawsze należała do dobrze sytuowanych.

— Stąd pewnie wzięła się namiętna miłość wyrachowanej Madeleine. Gilbert Brochelino musiał być chyba trochę bogatszy, skoro wybrała jego?

— Brochelinich zalicza się do najbogatszych ludzi we Włoszech.

— Hm, bogaty i chory mąż... Ta kobieta miała głowę na karku!

— Tak, tylko jakie to ma znaczenie dla Wenera czekającego w więzieniu na proces?

— Cegielki, mój drogi! Drobnutkie cegielki, które muszę zacząć zbierać, aby zbudować sobie jakiś ogólny wizerunek tej sprawy. Poproszę jeszcze o adres tej ciotki w Monachium. Pan pewnie nie wie, ale mam wyjątkową słabość do sympatycznych starszych dam, pod warunkiem jednak, że nie są to histeryczne stare panny.

— Linda Helmerding mieszka od sześciu lat w mieszkaniu Wenera. Oto ten adres.

Morais postępując sięgnął po stary, podniszczony notes.

— Co my tu mamy? Adwokat i ciotka... Zapiszę też nazwisko tej Steffens. Na razie postawię obok wielki znak zapytania, ale mam nadzieję, że wkrótce będę mógł go wymazać. A teraz, młody człowieku, niech pan stąd zmyka i pozwól mi w spokoju przemyśleć wszystko od początku. Mam numer pańskiego telefonu, więc w razie potrzeby zadzwonię. Gdybym miał dla pana jakąś wiadomość albo też zlecenie do wykonania, na pewno się odezwę. — Morais podał mu rękę i delikatnie popchnął ku drzwiom.

Po trzech dniach od tej rozmowy w Turynie zapadł wyrok skazujący Wenerę na osiem lat ciężkiego więzienia za zabójstwo w afekcie. Jako motyw sąd przyjął zawiedzioną miłość. Skazańca przewieziono na wyspę Elbę, do jednego z najlepiej strzeżonych więzień we Włoszech.

Morais był wściekły. Jak dostać się na tę nieszczęsną wyspę tak, aby nikt o tym nie wiedział? Napoleon przynajmniej nie miał tego problemu — nie musiał załatwiać niczego w biurach podróży, a zależało mu, aby o zesłaniu na Elbę wiedziało jak najwięcej ludzi. Morais tymczasem chciał tam pojechać *incognito*.

Podrapał się po swoim mięsistym nochalu i uśmiechnął do siebie. Wędrówka po śladach wielkiego Korsykanina: to może być nawet interesujące, zwłaszcza że będzie mógł opuścić wyspę skazańców, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Hm, co jednak zrobić z tą charakterystyczną i dość znaną twarzą? Nosić maskę? Założyć kapelusz z wielkim rondem? Wsadzić pogryzioną starą fajkę w zęby i udawać dziwaka? Nie, to nie wyjdzie! Chyba najprościej będzie udawać turystę czy kuracjusza i zaszyć się w którymś z licznych pensjonatów na wyspie, modnej ostatnio jako raj dla szukających słońca ludzi z Północy.

Pensjonat... Przecież jedna z kuzynek, stara dziwaczka, przed laty kupiła na Elbie pensjonat! Jakżeż ona się teraz nazywa? Rosita Benuto, z domu Morais... Tak, to ona. Trzeba będzie odnowić rodzinne więzy. Nie widzieli się wiele lat, więc ona na pewno nie wie, czy kuzyn nosi teraz brodę, czy wąsy. Wie tylko, że syn jej stryja mieszka w Paryżu wykonuje jakiś dziwny zawód.

Decyzja podjęta: zapuszczamy brodę! A może lepiej zafundować sobie sztuczną, by na noc odklejać ją i chować w szufladzie?

TLR

— Mamo, to chyba niemożliwe! Juliusz pisze, że jego przyjaciela sąd w Turynie skazał na długoletnie więzienie. Przecież to okropna pomyłka! Jak sędziowie mogli uwierzyć, że Werner popełnił morderstwo?

— Gusti, nie możemy oceniać tej decyzji nie mając poglądu na całość sprawy — rzekła pani Weber uspokajając oburzoną córkę. — Widocznie dowody zebrane przeciwko panu Helmerdingowi przeważały. Ja jednak nie potrafię uwierzyć, że on to zrobił. Znałam tę Madeleine. Nie lubiłam jej, bo zawsze była strasznie wyrachowana.

— Ale podobno olśniewająco ładna.

— W przypadku modelek uroda to rzecz względna. Bez makijażu i w zwykłym stroju wyglądają przeważnie gorzej niż przeciętnie. Dobry charakteryzator potrafi ze zwykłej gęsi zrobić łabędzia.,

— Ładnie to ujęłaś, mamo, a wiem, że jesteś ekspertem w tej dziedzinie. Szkoda, że nie masz teraz zajęć w Paryżu, bo mogłabyś porozmawiać o tym z Juliuszem.

— Sezon pokazów mody się skończył, więc w Paryżu nie mam czego szukać. Co jeszcze pisze Juliusz? — spytała pani Weber ze swoim francuskim akcentem.

Była paryżanką i ekspertem kilku znanych domów mody, a po wyczerpującym sezonie wielkich przeglądów chętnie uciekała z Paryża i poświęcała się rodzinie. Zabierała córkę, którą na co dzień opiekowała się stara piastunka, i wyjeżdżały gdzieś na odludzie, gdzie mogły nacieszyć się sobą do woli. Leżały teraz wygodnie na tarasie wynajętego pokoiku w uroczo położonym pensjonaciku w pobliżu Lugano i korzystały ze słońca.

— Niewiele pisze tym razem. Przejął się sprawą Wenera i jest załamany. Przeczytaj zresztą sama. Tak czy inaczej zamierza coś zrobić, by wyciągnąć go z tarapatów.

Pani Weber wzięła kartkę gęsto zapisaną na maszynie. Juliusz Burghard często przysyłał takie Gusti, dziewczynie przyprawiającej go o drżenie serca.

Z relacji wynikało, że turyński proces wstrząsnął nim do głębi. Zrozpaczony niepomyślnym obrotem sprawy udał się do Paryża i zaangażował znanego detektywa.

Margret Weber ze zdziwieniem odłożyła w tym momencie list i zawołała:

— Gusti, ja znam tego pana Morais! Kiedyś zdarzył się u Latoura nieprzyjemny incydent. W czasie prób zaginął klejnot jakiejś południowej księżniczki, i to z dobrze strzeżonej kabiny. Pan Latour bez wahania złapał telefon i po chwili zjawił się inspektor Morais.

— I co, znalazł ten klejnot?

— Po to go przecież wezwano! Jedna z modelek ukryła brylant głęboko w dekolcie. Nigdy nie zapomnę tego sympatycznego grubaska, jak obszukiwał od stóp do głów wyższą od niego o głowę dziewczynę. Sprawdzał skrupulatnie każdy zakamarek sukni i wcale się nie spieszył! Jak Juliusz do niego trafił? Niepotrzebnie pytam, bo zna go cały Paryż, a o jego wyczynach krążą wręcz legendy.

— Mamo, czy ty go aby nie przeceniasz? Znacznie łatwiej znaleźć brylant pod biustem jakiejś tam modelki, prawdopodobnie sztucznym zresztą, niż wyciągnąć z więzienia człowieka skazanego za zabójstwo! Tu trzeba udowodnić, że skazany jest niewinny.

— Jestem pewna, że Morais tego właśnie dokona.

— Skoro tak, napiszę o tym natychmiast Juliuszowi — rzekła Gusti przeglądając list. — Kto to może być ta Ingrid Steffens, dla której Werner zostawił wiadomość?

— Nie mam pojęcia, dziecko. Żał mi tego Wenera, nawet jeżeli rzeczywiście zastrzelił tę kobietę, bo to ona go do tego doprowadziła. Spotykałam ją rzadko, ale nie mam wątpliwości, że nie liczyła się z nikim. Wyjątkowa bestia... Jako *madame* Brochelino przestała kupować u Latoura; nie schodziła poniżej Diora. Mogła sobie na to pozwolić, Brochelini uchodzą za najbogatszych ludzi we Włoszech.

Margret westchnęła uważając temat za zamknięty. Sięgnęła po ilustrowany szwajcarski magazyn i przeglądała go od niechcienia. Nagle zerwała się na równe nogi:

— Gusti, ja chyba oszaleję, spójrz na to! — zawołała podsuwając córce pod nos fotografię, przedstawiającą wnętrze luksusowej willi duńskiego przemysłowca gdzieś w okolicach Kopenhagi. Prócz stonowanego, nowoczesnego stylu, niczym szczególnym się nie wyróżniała.

Margret, widząc zdziwienie w oczach Gusti, dodała:

— Przeczytaj, a sama zaczniesz piszczeć z radości.

I rzeczywiście, po chwili córka rzuciła jej się na szyję.

— To musi być ona, mamo! „Znany architekt wnętrz, panna Ingrid Steffens” — przeczytała. — Dzwonię zaraz do Juliusza.

— Tym razem nie będę się krzywić, że koszty twoich rozmów obciążają moje konto. Znasz paryski numer Juliusza?

— Tak, trzeba się łączyć przez centralę w ambasadzie.

Po chwili z drugiego pokoju dochodził podekscytowany głos Gusti zamawiającej połączenie z Paryżem.

Uff, ależ to trwa! Za chwilę trzeba będzie spowiadać się recepcjonistce, jak wtedy, gdy składała Juliuszowi życzenia urodzinowe... No, wreszcie!

— Halo! Czy mogłabym rozmawiać z doktorem Burghardem? To pilne. Mówi Gusti Weber, dzwoniłam już kiedyś do waszej ambasady — uprzedziła Gusti, by uniknąć zmutnych wyjaśnień.

Tym razem urzędniczka zrezygnowała z formalności i po chwili w słuchawce zgłosił się oficjalnie Juliusz. Rozpoznawszy głos Gusti, natychmiast zmienił ton.

— Cześć, żabko, co słychać? Cieszę się, że dzwonisz. Dostałaś mój list? Co na to powiesz?

— Przestań paplać i słuchaj, bo nie stać mnie na płacenie milionowych rachunków za telefon. Wyobraź sobie, że już wiemy, kim ona jest!

— Hm, mimo zakazu, muszę spytać, o kim właściwie mówisz?

— Aleś ty niedomyślny! O Ingrid Steffens, przecież?

— O rany! Mów szybko, to może być bardzo ważne!

Gusti opowiedziała mu o zdjęciu w magazynie, podała jego nazwę i numer. Matka tymczasem dawała jej jakieś znaki.

— Aha, mama przypomina, żebyś powiedział o tym panu Morais, bo on na pewno lepiej wie, co należy robić dalej, niż ty, bujający w obłokach.

— Zrozumiałem, żabko. Stokrotne dzięki. Jesteście wspaniale! Powtórz to także mojej przyszłej teściowej.

— Załatwiasz swoje interesy na nasz koszt? — zawołała groźnie. — Co poza tym u ciebie?

— W porządku, żabko.

— A u tego biedaka? Jak się czuje?

— Niestety nie wiem. Inspektor ustalił, że wkrótce przeniosą go do więzienia na Elbie. To straszne, nie sądzisz?

— Biedny chłopiec! Ale mama uważa, że detektyw, który znalazł skradziony klejnot w dekolcie modelki, znajdzie także prawdziwego zabójcę i Werner wyjdzie na wolność.

— Żabko, albo ty coś pleciesz, albo ja źle słyszę. Co ze sprawą Wenera ma wspólnego dekolt jakiejś modelki?

— Mniejsza z tym. Napiszę ci to w liście. Pędź teraz do tego pana Morais i pozdrów go od mamy, ale nie zapomnij powiedzieć, kim ona jest. Zrozumiałeś?

— Doskonale. Mogę szybko zadać jedno ważne pytanie, żabko?

— Ale tylko jedno!

— Kochasz mnie jeszcze?

— Wyznania miłosne przez telefon się u mnie nie liczą. Koniec! Pokaż się u nas. W przyszłym tygodniu będziemy już w domu.

— Wspaniale! Ucałuj mamę.

Gusti odłożyła słuchawkę zasapana i z zaczerwienionymi policzkami, jakby skończyła ciężką pracę. Opadła na fotel.

— Wszystko zrozumiał?

— Mamo, sama wiesz, jacy są mężczyźni. Nigdy nic nie wiadomo, a wszyscy są po trochu stuknięci.

— Ocena surowa i jak zawsze w takim przypadku, niesprawiedliwa. Wróćmy jednak do naszego tematu. Nie wydaje ci się, że jest to niesamowity przypadek, że akurat sięgnęłam po gazetę, w której znajduje się nazwisko nie znanej nam osoby i to na pierwszej stronie?

Mam nadzieję, że nie jest to w Danii popularne nazwisko i że nie wszczęłyśmy fałszywego alarmu.

— Dalej niech się martwią panowie. Napijmy się wreszcie herbaty, bo ja, jak się zdenerwuję, muszę koniecznie coś zjeść. A ten błazen mnie pyta, czy jeszcze go kocham!

— Moim zdaniem ma rację, że przy każdej okazji się upewnia. Żałuję, że w czasie procesu nie było mnie w Turynie. Zobaczyć na sali sądowej całą rodzinę Brochelinich to byłaby niezła gratka. My, kobiety, mamy bardziej wyczulony zmysł obserwacji i widzimy czasami niektóre rzeczy znacznie wyraźniej.

— Znasz męża tej Madeleine?

— Męża nie, ale kiedyś spotkałam ją w towarzystwie bardzo niesympatycznego człowieka, którego mi przedstawiła jako szwagra.

— Dlaczego mówisz, że jest niesympatyczny? Zamieniłaś z nim zaledwie kilka słów!

— Trudno mu w zasadzie cokolwiek zarzucić: elegancko ubrany, bardziej niż przystojny, patrzący melancholijnym wzrokiem, gestykulujący powolnymi, teatralnymi ruchami, mówiący cichym, matowym głosem, sprawia jednak wrażenie, że drzemie w nim groźna bestia. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Rozkoszny morderca? — spytała Gusti oblizując palec ubabrany konfiturami, które zafundowały sobie do ciastek.

— Co ci strzeliło do głowy, głuptasie! Bez przesady, ale coś szczególnego w jego zachowaniu mnie zaskoczyło, bo zapamiętałam młodego Brochelino na zawsze.

— Niesympatycznych ludzi pamięta się długo, to prawda. Chcesz śmietanki do herbaty, mamó?

— Tak, ale bez cukru.

— Męża tej głupiej kozy nigdy nie spotkałaś?

— Gdyby Madeleine słyszała, że nazwałaś ją głupią kozą, wydrapałaby ci oczy swoimi długimi pazurami. Wcale nie była głupia i zawsze wiedziała, czego chce. Dbała o swoją karierę. Zawsze potrafiła wywalczyć dla siebie występ w najładniejszej sukni albo najdroższym futrze. Miała na to swoje sposoby! Jej męża nie znałam, ale widziałam go na zdjęciach ze ślubu, którymi wszyscy się wtedy zachwycali. Guilbert Brochelino był na nich prawie niewidoczny, zawsze w cieniu panny młodej, paradującej w bajecznej sukni. Naturalnie od Diora. Pamiętam, że na jednym zdjęciu na pierwszym planie widoczna była Estella Brochelino, matka pana młodego. Mówię ci, Gusti, po wyrazie jej twarzy było widać, że nie zachwyca się tym, iż jej syn żeni się z modelką. A miała na sobie tyle biżuterii, że nie było widać, jakiego koloru ma suknię! Dajmy już jednak spokój tym Brochelinim i wypijmy herbatę, bo całkiem nam ostygnie. Poza tym powinniśmy się przejść, póki jest ładnie, nie uważasz?

— Oczywiście, ale to co mówisz, jest strasznie ciekawe i słucha się tych opowieści jak dobrego kryminału.

— Dobrze się słucha nam, ale co ma powiedzieć ten biedak, którego ta sprawa dotknęła osobiście i złała mu życie?

— Uważasz więc, że Werner Helmerding jest niewinny?

— Bez wątpienia. W każdym razie nie wchodzi w grę pospolite zabójstwo. Mogę sobie natomiast wyobrazić, że ta Madeleine potrafiła nawet najspokojniejszego baranka doprowadzić do białej gorączki.

Jean Morais załatwił wszystkie formalności w biurze podróży Cooka i wracał niespiesznie do domu po rue Royale i de Rivoli, przyglądając się z zainteresowaniem wystawom sklepowym. Zatrzymał się przed jedną. Oprócz obrazów wystawiono cenne tkaniny, piękne szkło i kilka sztuk artystycznej porcelany.

Już miał podejść do następnego okna, kiedy stanęło przy nim dwoje młodych ludzi. Od razu zwrócili na siebie jego uwagę. Mężczyzną okazał się przystojny Alain Brochelino. Inspektor przyjrzał mu się dokładnie na sali sądowej w Tury-

nie, w czasie procesu Wenera Helmerdinga. Prawdę mówiąc interesował go bardziej, niż mąż zamordowanej.

Teraz ten mężczyzna stał obok niego przed wystawą w towarzystwie pięknej, wysokiej blondynki. Dziwne, ale ta kobieta też wydała mu się znajoma!

Podziwiali jakiś przedmiot na wystawie, ale inspektora akurat to nie interesowało. Szybko przetrząsał pamięć, próbując zaszufłdkować nieznaną. Szczupła, ubrana skromnie, w sportowym stylu, ale bardzo elegancko. Jasne, prawie białe włosy. Nie miała kapelusza, więc można było dokładnie przyjrzeć się twarzy... Jasne oczy w ciemnej oprawie, kształtne usta, ułożone w lekki uśmiech, odsłaniały równiutkie białe zęby. Gdzie on już widział tę twarz? Do licha, czyżby już był tak stary, że nie zdoła wygrzebać tego z pamięci?

Dziewczyna tłumaczyła coś z przejęciem Alainowi i nie zauważyła, że wąska torebka wysunęła jej się z ręki i upadła na ziemię tuż pod nogi inspektora. Morais natychmiast schylił się, by ją podnieść. Kobieta też przykucnęła, podczas gdy piękny Włoch nawet nie zauważył, że coś się dzieje.

Stary lis Morais omal nie zemdlął z wrażenia, gdy nieznaną odezwała się po angielsku, cicho ale wyraźnie:

— Za godzinę w pańskim mieszkaniu! — Ukłoniła się wdzięcznie i weszła z Brochelinim do ekskluzywnego sklepu.

Morais podniósł się jak uderzony obuchem w głowę, ale wieloletnie nawyki sprawiły, że nie dał po sobie niczego znać. Podreptał powoli przed siebie. Obok pomnika Joanny d'Arc przeszedł na drugą stronę ulicy, oparł się o ścianę i z daleka obserwował sklep, do którego weszli ci dwoje. Do diabła, co tu się dzieje? Obca kobieta umawia się z nim za godzinę w jego własnym mieszkaniu! Nie jest na szczęście brzydka, więc nie będzie tak źle. Co dalej, to się dopiero okaże, Żeby chociaż zdążył przypomnieć sobie, skąd ją zna!

Nie spuszczał z oczu drzwi sklepu po drugiej stronie ulicy, dopóki ci dwoje nie wyszli odprowadzani przez przesadnie uprzejmego właściciela czy sprzedawcę.

Alain Brochelino sprawiał równie niesympatyczne wrażenie, jak wtedy, na sali sądowej. W wąskich spodniach poruszał się niedbale, jakby lekcewał cały świat. Marynarka z innego materiału miała podkreślać sportowy styl, ale zupełnie

nie pasowała do cherlawej raczej postury. Długie włosy w nieładzie opadały mu na twarz. Jedną rękę trzymał w kieszeni, a w drugiej, okrytej rękawiczką, niósł zwiniętą w trąbkę gazetę. Z jego nonszalanckim zachowaniem i niedbałym wyglądem wyraźnie kontrastowała elegancja i świeżość towarzyszącej mu blondynki.

Półprzymknięte, spoglądające wilkiem oczy Alaina, które Morais zapamiętał z Turynu, patrzyły na kobietę z dziwną obojętnością. Przeszli jeszcze kilka kroków razem i pożegnali się. Włoch ukłonił się jakby od niechcienia, a dziewczyna odpowiedziała ledwo widocznym skinieniem głowy.

Teraz Morais musiał już biec do domu, bo w przeciwnym razie piękna blondynka będzie tam wcześniej niż on! Oby tylko nie siedziała zbyt długo, gdyż nocny pociąg do Sienny nie będzie czekał, a późniejsze połączenia do Piombino, a stamtąd na Elbę, też przypadną. Juliusz Burghard przekazał mu wiadomość, że w najbliższych dniach Werner Helmerding zostanie przewieziony na Elbę do więzienia, o którym Morais wiedział, że odbywają tam karę przestępcy skazani na dożywocie i długoletnie kary.

Zdyszany wbiegł do swojego mieszkania i ledwie otarł pot z czoła, gdy usłyszał ciche dzwonienie do drzwi. Aha, tajemnicza dama się spieszy! O co jej chodzi?

Zerknął przez wizjer. Upewniwszy się, że to ona, ostrożnie otworzył drzwi.

— *Bonsoir, madame.* Bardzo mi miło.

— *Bonsoir, monsieur.* Wpuści mnie pan, czy też może sprawiam kłopot swoim najściem? — odezwała się po francusku.

— Piękne kobiety to żaden kłopot. — Ukłonił się zapraszając ją do środka, ale zaraz stanął jak wryty, gdy usłyszał odpowiedź nieznajomej:

—Może dla pana, bo dla niektórych piękna kobieta oznacza czasami więzienie. Mam na myśli Madeleine Brochelino...

—Ha! To stąd wieje wiatr?

— Tak jest, inspektorze. Moglibyśmy rozmawiać po niemiecku? Radzę sobie w tym języku znacznie lepiej niż po francusku.

— Nie jest więc pani ani Francuzką, ani Niemką?

— Pochodzę z Danii, *monsieur*.

— No, nareszcie otworzyła się klapka w moim starzejącym się mózgu! Widziałem chyba panią niedawno w Kopenhadze, w eleganckiej restauracji, w towarzystwie Wenera Helmerdinga.

—Widzę, że udawanie przed panem nie ma najmniejszego sensu. Tak, to byłam ja, a Werner był jeszcze na wolności — rzekła bez cienia goryczy, naturalnie i spokojnie.

Morais poprosił, by usiadła. Od razu zaczął zadawać pytania.

—Skąd zna mnie pani na tyle, żeby rozpoznać na ulicy i umówić się na spotkanie w moim mieszkaniu?

— Widziałam pana na sali sądowej w Turynie, a mecenas Flamoni, adwokat Wenera, powiedział mi, kim pan jest.

— To teraz przynajmniej oboje wiemy, z kim mamy do czynienia. Co zatem sprowadza panią do mnie? — wziął cygaro i spytał: — Pozwoli pani, że zapalę?

— Jeśli poczęstuje mnie pan papierosem, chętnie dotrzymam towarzystwa.

— Z przyjemnością! Co mogę dla pani zrobić, droga pani?...

— Steffens. Nazywam się Ingrid Steffens.

— Och, ta tajemnicza Ingrid, której Werner kazał Juliuszowi przekazać pozdrowienia?

— Nic mi o tym nie wiadomo, *monsieur* — popatrzyła poważnie na inspektora. — Naprawdę Werner chciał coś mi przekazać?

— Nie miał niestety dość czasu, ale zdążył Juliuszowi szepnąć, by zapewnił Ingrid Steffens, że ją kocha.

— On mnie kocha! Inspektorze, nawet pan nie wie, ile te słowa dla mnie znaczą! — Ingrid zagryzła wargi usiłując nie stracić panowania nad sobą. — Pamiętaj o mnie mimo opresji w jakich się znalazła! *Monsieur*, ja również go kocham, choć straciłam już całą nadzieję. Nie mogę pogodzić się z myślą, że naszą miłość może zniszczyć jeden głupi przypadek, z którym Werner nie ma nic

wspólnego. Dlatego przyszedłam do pana, ale nie po pomoc, lecz po naukę, inspektorze!

— Po naukę? Jak mam to rozumieć?

— Chcę, żeby mnie pan nauczył, jak obalić fałszywe oskarżenie, jak obserwować ludzi, jak wkraść się w łaski bezdusznych okrutników i jak znaleźć prawdziwego mordercę Madeleine Brochelino.

— Hm; sporo tego wzięła pani na siebie! — Morais poklepał ją po rękach z dobrotliwym uśmiechem. — Zacznijmy od tego, czy jest pani absolutnie przekonana, że Werner tego nie zrobił?

— Oczywiście! On na pewno nie!

— Co do głównego punktu jesteśmy więc zgodni. Jeśli pani pozwoli, omówimy sobie wszystko po kolei. Mam niestety dla pani czas tylko do dziesiątej, bo jeszcze dziś wyjeżdżam w kierunku Florencji, Sienny, a potem do Piombino. Domyśla się pani celu tej podróży?

— Nie, inspektorze, nie mam pojęcia.

— To pani nie wie, że prawdopodobnie jutro Werner zostanie przewieziony na Elbę?

— Mój Boże, jeszcze to? Nie mam żadnych możliwości skontaktowania się z nim i dlatego nic nie wiem. Co to dla niego oznacza, inspektorze?

— Poważnie obawiam się, że nic dobrego. Więzienie na Elbie to nie ochronka dla dzieci, a jedno z najcięższych więzień we Włoszech.

— Czy w tej sytuacji pański wyjazd ma w ogóle sens? — spytała załamującym się głosem.

— Chcę skontaktować się z Wernerem i porozmawiać, by przede wszystkim wyrobić sobie jakiś pogląd na tę sprawę. Tylko po to, więc proszę nie wiązać z tym wyjazdem żadnych nadziei. Pani zaś musi mi teraz wyjaśnić, co oznaczało dzisiejsze spotkanie z Alainem Brochelino. Rozumie pani, że nie pytam z czystej ciekawości...

— Po pierwsze, było to spotkanie w interesach. Jestem cenioną dekoratorką wnętrz, właściwie architektem, i od kilku miesięcy negocjuję urządzenie od nowa

rezydencji Brochelinich w Monfalcone, w zamku niedaleko szwajcarskiej granicy. Ze względu na napięte terminy, mogłam obejrzeć te wnętrza dopiero kilka tygodni temu. W Kopenhadze uzgodniliśmy z Wernerem, że spotkamy się przy tej okazji właśnie w okolicy Monfalcone, gdyż wiedział, że prowadzę pertraktacje z Guilbertem i panią Brochelino.

— Tą zamordowaną?

— Skądże! Z matką Guilberta. Starsza pani, wraz z oboma synami, jest współwłaścicielką nie tylko tej posiadłości, ale całej fortuny. Zażyczyła sobie stylowego urządzenia poszczególnych rezydencji. Do tego wynajęła mnie.

— A przy okazji pani pobytu doszło do zatrzymania Wenera Helmerdinga w parku Monfalcone. Dlaczego, na Boga, nie powiedziała pani o tym adwokatowi?! Być może pomogłoby to Wernerowi.

Ingrid nie odpowiedziała od razu. Zapaliła następnego papierosa i odezwała się wyraźnie zwlekając:

— Nie chciałam odcinać sobie możliwości dalszej pracy w Monfalcone i obserwowania, co tam się dzieje. Rozumie mnie pan? Wyjaśniłam też panu, dlaczego przyszłam po naukę. Mogę liczyć na pomoc? — patrzyła błagalnym wzrokiem.

— Pierwszy raz w życiu zdarza mi się tego rodzaju zlecenie. Miałem już kilku adeptów: błyskotliwych i kompletnych bęcwałów. Ale tak ślicznej uczennicy się nie spodziewałem. Wróćmy do naszych pytań: kogo w szczególności chciałaby pani obserwować w domu Brochelinich?

— Nestorkę rodziny, madame Estellę, także Ałaina i pannę Luizę, pokojówkę starszej pani — oświadczyła Ingrid szybko i zdecydowanie. — *Signore* Guilberto mnie nie interesuje; wrócił z Ameryki Południowej już po zabójstwie Madeleine.

— Znała go pani wcześniej?

— Tak. To on przyjechał do mnie do Kopenhagi ze zleceniem na urządzenie wnętrza, a stamtąd odleciał prosto do Ameryki. Chcę wyraźnie podkreślić, inspektorze, że Guilbert zrobił na mnie bardzo korzystne wrażenie.

— W odróżnieniu od starszej pani, która od początku zionęła chłodem, i jej drugiego syna, Alaina, którego trudno zaliczyć do grona moich przyjaciół — zakończył za nią Morais, pilnie obserwując, jak zareaguje. Wyglądała na zakłopotaną. — Co spodziewa się pani osiągnąć, co zaobserwować, co odkryć?

— Nie wiem, *monsieur*. Mam tylko przeczucie, że w tym dziwnym domu, w tej niesamowitej rodzinie, dzieje się coś, co może być związane z tym morderstwem. Pewnie uzna mnie pan za histeryczkę, ale nie wyjdę z tamtego domu, dopóki nie znajdę czegoś, co uwolni Wenera od zarzutów.

— Wytrzyma pani nerwowo?

— Powinam. Od ukończenia dwudziestu lat przedzieram się przez życie samodzielnie. Zdobyłam zawód, jako architekt wewnątrz mam wyrobioną markę, nieźle zarabiam. Gdybym nie wytrzymała nerwowo, na pewno nie doszłabym do tego wszystkiego.

— Brawo, panno Steffens! Oboje jesteśmy absolutnie przekonani, że Werner Helmerding nie zamordował Madeleine Brochelino, ale nasze przekonania niewiele mu pomogą, jeżeli nie znajdziemy prawdziwego zabójcy. Nie jesteśmy sami: adwokat Wenera wierzy w jego niewinność, Juliusz Burghard przysięga na wszystkie świętości, przypuszczam, że podobnie myśli ciotka Helmerdinga, którą mam zamiar odwiedzić w Monachium. Ale, jak już mówiłem, samym przekonaniem nic nie zwojujemy.

— Ja jednak kocham Wenera i siła tej miłości musi w jakiś sposób pomóc.

— Na pewno nie poruszy sędziów i prokuratorów przeświadczonej o winie skazanego przez nich człowieka. Im trzeba rzucić pod nogi spętanego mordercę, to dopiero łaskawie zgodzą się na wznowienie procesu. Potrzebujemy dużo czasu, piękna pani, i dlatego proponuję szczegółowo omówić plany pani pobytu w Monfalcone. Ile czasu zajmą pani prace w zamku? Nie mogą przecież trwać wiecznie.

— W tej sprawie będę potrzebowała pańskiej pomocy. Pamięta pan, do którego sklepu weszłam dziś z Alainem? Szukaliśmy tkanin obiciowych na ściany. Obiecano dostarczyć żądane wzory w krótkim terminie, na czym starszej pani bardzo zależy. Jest paryżanką z urodzenia i chce sprowadzić wszystkie materiały z tego miasta.

— Aha, a ja mam zadbać, żeby jej rodacy nie spieszyli się z dostawami i trochę pomarudzili?

— O to chodzi! Być może uda mi się wynaleźć prace wymagające rzadko spotykanych dziś specjalistów. Będę narzekać, złościć się, zgadzać na odległe terminy, ale nikt nie zarzuci mi, że zakończenie odwleka się z mojej winy. W pewnym sensie takie metody stanowią część mojej praktyki...

— Pięknie, ale w ciągu dwóch, trzech miesięcy raczej się z tym nie uporamy.

— Nie szkodzi. Nawet przy normalnym rytmie pracy mam tam co robić do końca sierpnia, a ile można zwalić na źle schnące ściany, krzywe podłogi?!

— W mojej dotychczasowej praktyce nie musiałem korzystać z tego typu sposobów. Zastanawiam się, czy nie mógłbym się sam jakoś wkreślić do Monfalcone. Ma pani jakiś dobry pomysł?

Ingrid zamyśliła się, a po chwili na jej zmęczonej twarzy pojawił się blady uśmiech.

— Musiałabym wiedzieć, co pan potrafi — rzekła.

— Na przykład zepsuć instalację! O, jako instalator byłbym doskonały! Da się coś zrobić?

— Oczywiście! Dam panu adres firmy, która będzie wykonywać roboty w Monfalcone.

— No widzi pani, znów posunęliśmy się o krok naprzód!

— Inspektorze, ktoś chyba dzwoni do drzwi...

— Kogóż to diabli niosą akurat teraz? — stęknął Morais podnosząc się ciężko. Pantofle, jak zwykle złośliwie, schowały się pod kanapę i żeby się z nimi nie droczyć, inspektor w skarpetkach podreptał do przedpokoju. Wyjrzał przez wziernik i zobaczył Juliusza Burgharda.

— Tego raczej możemy wpuścić — mruknął, a po chwili zdenerwowany i zdyszany Niemiec stał obok niego.

— *Monsieur*, nie uwierzy pan, ale wiem już, kim jest ta Ingrid Steffens i gdzie można ją znaleźć! — tryumfująco wymachiwał mu przed nosem ilustrowanym magazynem, który Gusti przysłała mu pocztą kurierską.

— Dzielnie się pan spisał. Moje gratulacje! Proszę dalej. Mam wprowadzić gościa, uroczą panią, ale przy niej możemy otwarcie mówić o wszystkim. *Madame*, to jest Juliusz Burghard, nie Juliusz Cezar, ale jak będzie dalej tak się starał, to na pewno dorówna swojemu sławnemu imiennikowi.

Nie wymienił nazwiska Ingrid, która z miłym uśmiechem przywitała się z przyjacielem Wenera, którego widziała już na sali rozpraw w Turynie, ale z nim nie rozmawiała.

— No, niech się pan chwali swoim odkryciem! — zachęcał Morais.

Juliusz rozłożył gazetę i stukając w nią palcem rzekł:

— Niech pan tu czyta: „Dzieło znanej dekoratorki wnętrz, Ingrid Steffens”. Co pan powie? To Gusti przysłała mi tę gazetę.

— Trzeba jej pięknie podziękować. A któż to jest ta Gusti, która również zajmuje się naszą sprawą?

— Po prostu Gusti! Ona jest... mniejsza z tym, to mało ważne. Zna pan jej matkę, która każe pana serdecznie pozdrowić. Poznał ją pan u Latoura, kiedy zginał jakiś klejnot, a pan go odnalazł w dekolcie jednej z modelek.

— Z tej informacji mogę się domyślić, że pozdrowienia przesyła pani Weber, której córka, Gusti, jest przedmiotem pańskich westchnień. Jak to dobrze, że mam jeszcze dobrą pamięć! Prawda, że śliczne wnętrze zaprojektowała ta Steffens? Miejmy nadzieję, że jest to ta Ingrid, której szukamy, bo przecież zbieżność nazwisk może być przypadkowa — przekomarzał się Morais zerkając znad ilustracji na przestraszonego Juliusza. — Ależ ze mnie gapa! Zapomniałem panią przedstawić... To jest pani Ingrid Steffens, architekt wnętrz.

— Wiedziałem, że ten stary lis mnie ubiegnie! — zawołał Juliusz. Pocałował Ingrid w rękę, spytał lekko drżącym głosem: — To naprawdę pani jest tą Ingrid, której Werner kazał powiedzieć, że...

— Mnie kocha! Tak, panie doktorze, i cieszę się, że pana poznałam. Dziękuję też za przekazanie tak miłej wiadomości. Pan widział Wenera; jest załamany, przygnębiony?

— Nie. Widzę, że pani nie zna go tak dobrze, jak ja. Mówiłem już inspektorowi, że Werner był opanowany i zupełnie spokojny. Ale proszę mi powiedzieć, gdzie panią znalazł nasz wszytkowiedzący Morais?

— Na ulicy, a gdzież by indziej? — wtrącił się inspektor i opowiedział, w jaki sposób doszło do ich niezwykłego spotkania.

Rozmawiali jeszcze ponad godzinę o najbliższych planach, a potem Ingrid i Juliusz odprowadzili inspektora na dworzec.

TLR

III

Głodny, zmęczony i niewyspany, bo w sypialnym wagonie nie wypadało chrapać, po kilku przesiadkach Morais znalazł się w maleńkim porcie, Piombino, gdzie przywitał go chłodny i dżdżysty czerwcowy poranek.

Z przyprawioną brodą był nie do poznania. Płaszcz przewiesił nonszalancko przez ramię, w jednej ręce niósł aktówkę, w drugiej walizkę. Nie różnił się od innych pasażerów wsiadających- na pordezwiąły prom odpływający do Porto Azzuro.

Morais przepychał się przez pokład pomiędzy rozklekotanymi gruchotami i nowiutkimi limuzynami, które dokerzy pracownicy przywiązywali linami i podpierali, aby w czasie rejsu nie powpadały na siebie. Kierowcy i pasażerowie musieli wysiąść. Jedni, miejscowi zapewne, udali się do baru pod pokład, inni wdrapywali się na taras widokowy. Urlopowicze wleżą wszędzie!

Po krótkim wahaniu Morais dołączył do tych drugich. Na górnym pokładzie z prawej strony stał obskurny kiosk, w którym sprzedawano napoje chłodzące, a z lewej blaszana budka służąca za toaletę.

Pasażerowie byli już na pokładzie, jednak prom nie mógł się zdecydować na odpłynięcie. Urlopowicze, którzy zawsze się spieszą, kręcili się zniecierpliwieni i złorzeczyli leniwej rzekomo załodze. Jeden Morais nie zaklął ani razu, bo dobrze wiedział, dlaczego prom jeszcze czeka.

Oparł się niedbale o metalową poręcz i wlepił oczy w wąską uliczkę dochodzącą do nadbrzeża, po którym kręciło się niewiele osób, przeważnie robotnicy, którzy przyjechali tu z Elby do pracy, rybacy, kilkoro dzieci i... Morais aż przetarł oczy. W pewnej odległości, na uboczu, stał w towarzystwie starszej, elegancko ubranej damy Alain Brochelino! Spacerowali powoli, chowając się za ustawionymi na nabrzeżu skrzyniami, cały czas jednak nie spuszczała z oczu trapu na prom. Ciekawe, co też przygnało tego pięknisia z Paryża prosto do zapyziałego Piombino? Po co przyjechała tu ta stara kobieta, pewnie jego matka?

Chyba po to samo co on!

Młoda urlopowiczka nie wytrzymała i podbiegła do stojących przy wejściu na trap schludnie ubranych żandarmów. Z fatalnym akcentem usiłowała dowiedzieć się, czemu prom nie odpływa. Stróże prawa wzruszyli tylko ramionami.

W tym momencie jednak na nabrzeżu zaczęło coś się dziać. Starsza dama i piękniś podbiegli niemal pod sam prom, schowali się za skrzynie i obserwowali granatowy samochód, który z hałasem wtoczył się do portu. Żandarmi odsunęli ciekawskich, drzwi samochodu uchylili się i stanął w nich mężczyzna ubrany w brązowy więzienny strój. Nie mógł sam wysiąść, bo ręce miał skute kajdankami, ale podeszło do niego dwóch strażników. Wzięli go pod ramiona z obu stron i poprowadzili na trap.

Więzień wyglądał na zmęczonego. Szedł pochylony, a twarz pod czapką wydawała się blada. Nie była to twarz pospolitego zbira. Delikatna, inteligentna, zupełnie nie pasowała do więziennego ubrania. Pasażerowie na promie zamilkli i jak jeden mąż wlepili oczy w skazańca. Nikt nie odezwał się ani słowem, chociaż dla miejscowych musiał być to zwykły obrazek, bo wszystkich więźniów przetrzymywanych w twierdzy na szczycie transportowano rejsowymi promami. Wiedziano doskonale, że tam, na górze, czeka ich niewesoły los.

Morais tymczasem bacznie obserwował tych dwoje na nabrzeżu. Alain i matka jak dwa drapieżne ptaszyska śledzili dosłownie każdy ruch skazańca, a gdy podniesiono wreszcie trap i prom odbił od brzegu, oboje wyraźnie odetchnęli z ulgą. Detektyw zapamiętał to dokładnie.

Teraz dopiero zainteresował się tym, co działo się na dolnym pokładzie. Strażnicy przez chwilę jakby się wahali, potem popchnęli więźnia na górny pokład i już bez wahania zamknęli go w... toalecie.

Szczęknał zardzewiały zamek, a strażnik z kluczem w kieszeni rozsiadł się wygodnie przy blaszanych drzwiach.

Morais musiał się rozeźmiać, ale zaraz spoważniał, bo klej, którym przymocował swoją sztuczną brodę, dość boleśnie naciągnął skórę na policzkach. Zszedł na dół rozglądając się na wszystkie strony, wrócił zaraz na górny pokład i podeszedł do strażnika mówiąc, że musi skorzystać z toalety.

Włoch odpędził go machnięciem ręki i potokiem słów, z których Morais domyślił się, że musi poczekać, aż prom zawinie do portu, co wcale nie potrwa długo. „Brodacz” nie dawał za wygraną i prosił o udostępnienie toalety. Strażnik

tłumaczył mu, że przewozi więźnia, a na statku nie ma do tego celu lepszego pomieszczenia niż właśnie toaleta. Nie będzie przecież wioził mordercy skazanego na osiem lat twierdzy pomiędzy uczciwymi pasażerami! Morais udał przestraszonego i uskokzył jak oparzony. Włoch wybuchnął śmiechem i zapewnił, że bandyta jest skuty i nie ma obaw, że zrobi komuś krzywdę. Mofais już był gotów wypytać gadatliwego strażnika o szczegóły, a nawet poprosić o pokazanie groźnego typu, ale przyszedł drugi funkcjonariusz i przepędził go jak natrętnego komara.

Biedny Werner! Utknie na długie lata w mrocznej twierdzy, czy też uda się go jakoś przed tym ochronić? Dużo zależy od wyników pracy pana Morais. Musi wziąć się ostro do pracy...

Zastanawiało go zjawienie się w porcie pani Brochelino w tym samym czasie, kiedy transportowano do więzienia zabójcę synowej. Gdyby chodziło o chęć nacieszenia się zemstą i poczuciem, że sprawiedliwości stało się zadość, powinien przyjść także mąż zamordowanej, a Guilberta Brochelino nie było w Piombino... Dlaczego przyszła tylko teściowa i szwagier?

Kiedy pordzewiały prom, o dźwięcznej nazwie „Aethalia” przybijał do nabrzeża w Porto Azzuro, strażnicy pospieszyli do wyjścia, a Morais kręcił się tak długo, aż znalazł się w ich pobliżu. Jeden z nich, skuty kajdankami z więźniem, omal się nie potknął o szwendającego się po wąskim korytarzu grubasa. Morais kłaniał się przepraszając, a przysunawszy się, niemal do ucha Wenera rzekł po niemiecku:

— Ingrid kazała pana pozdrowić.

Powiedział to takim tonem, że dla Włocha słowa te musiały zabrzmieć jak przekleństwo, zwłaszcza że obrażony brodacz odszedł poprawiając ubranie i mamrocząc coś jeszcze pod nosem.

Werner z trudem opanował zdziwienie, chciał się zatrzymać, ale strażnik pociągnął go gwałtownie, bo otworzono luk, a przy trapie stał już więzienny samochód ze strażnikami z twierdzy.

Pasażerowie w milczeniu czekali, aż samochód odjedzie. Dziwne, ale nikt w tłumie nie cieszył się, że kolejny bandyta trafił za kratki. Wszyscy milczeli.

Morais podszedł do pierwszej z brzegu taksówki i kazał zawieźć się do wioski Marciana-Marina, gdzie mieszkała jego kuzynka, Rosita. Przejeżdżając wzdłuż szeregu jednakowych domków, Morais kazał taksówkarzowi naciskać na klakson, dopóki nie zobaczył przy ostatnim uśmiechniętej, kruczowłosej kuzynki.

Chwilę później już trzymali się w objęciach i na wyścigi mówili jedno przez drugie, jakby radość ze spotkania zależała od tego, które z nich wypowie więcej słów. Rosita zdecydowanie prowadziła: Jean nigdy nie był zbyt mocny w gębie...

Weszli do przytulnego domku. Wczasowiczów jeszcze nie było — sezon znacznie się za kilka dni — więc gospodyni mogła cały czas poświęcić kuzynowi. Zaczęła od podania kawy.

— No, no! Nie wiedziałam że nosisz brodę, Jean! Ledwo cię poznałam i wcale mi się nie podobasz.

Morais skrzywił się i zaczął powoli odklejać sztuczny zarost, posykując z bólu.

— Dla ciebie, kuzynko, jestem gotów poświęcić nie tylko brodę! — zażartował.

— Ukrywasz się przed kimś?

— Taka praca, moja droga.

— Ciągłe bawisz się w policjanta i wyłapujesz drobnych przestępców?

— Owszem, i rzadko kiedy jakiś drań mi się wymknie. Ty zaś, jak widzę, nic się nie zmieniłaś i od razu wyczułaś, że nie przyjechałem na Elbę wyłącznie z tęsknoty za tobą.

— Och, a dlaczegoż by nie? Tu jest bardzo pięknie. Cudzoziemcy mówią, że jak w raju.

— Napoleon chyba był innego zdania, skoro stąd uciekł! Mniejsza z nim... Ja w każdym razie przyjechałem służbowo. By nie przeciągać, powiem, że przywieziono tu więźnia niewinnie skazanego na osiem lat twierdzy. Na pewno orientujesz się trochę, jak to tam wygląda. Jak traktuje się więźniów?

— Bardzo dobrze! Bratanek mojego męża dostarcza do twierdzy chleb i ciastka.

— Więźniowie dostają ciastka? Ty chyba przesadzasz!

— Czy powiedziałam, że więźniowie? Dla dyrektora! Ale chleb jest dla skazanych, zawsze świeży i smaczny.

— Hm, zastanawiam się, czy nie warto dać się zamknąć. Znasz tego dyrektora?

— Oczywiście, bardzo szarmancki pan. Prawie jak Francuz... Ten więzień to twój znajomy?

— Poniekąd. Jest Niemcem, a skazano go w Turynie za zamordowanie Włoszki, właściwie Francuzki, bo *signora* Brochelino została dopiero po ślubie.

— Brochelino... To ci bogacze z Piemontu?

— Tak, słyszałem i cały czas się zastanawiam, czemu gnieźdzą się nad szwajcarską granicą, a nie siedzą w swoich posiadłościach w Piemoncie. Często podobno bywają w Paryżu.

— A po co ty przyjechałeś aż tutaj?

— Po pierwsze, chciałem być przy transporcie więźnia. Widziałem przy okazji wiele ciekawych rzeczy. Po drugie, spotkałem się z tobą, ale jutro rano już znikam. Dobrze, że sobie o tobie przypomniałem, bo w razie czego mam wprost idealne wytłumaczenie, dlaczego kręcę się po wyspie.

— Och, już jutro rano chcesz wyjechać? Ale przyjedziesz kiedyś na dłuższy pobyt?

Nazajutrz, z samego rana, Morais w tłumie turystów wybrał się pod twierdzę, ponure gmaszysko, które zrobiło na nim wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Nie byłby sobą, gdyby nie wkręcił się aż do gabinetu dyrektora więzienia. Dopiero jemu powiedział, kim jest naprawdę. Niestety widzenie z nowo przywiezionym więźniem bez odpowiednich zezwoleń nie było możliwe, ale sympatyczny Włoch obiecał wszelką pomoc w zorganizowaniu wizyty w przyszłości. Poinformował też inspektora o regulaminie obowiązującym w twierdzy, o możliwości wymiany korespondencji i obowiązkach więźniów. Nie mieli tu łatwego

życia, ale czemu się dziwić, skoro większość z nich odbywała kary za najcięższe zbrodnie.

Prosto z twierdzy Morais udał się do portu i najbliższym promem opuścił wyspę w nastroju podobnym chyba do tego, w jakim wyruszał Napoleon, kiedy uciekał stąd, by odzyskać tron — jechał w nieznane wiedząc, że czeka go niełatwe zadanie.

Dlaczego Brochelini spędzali większość czasu w Monfalcone, daleko od swojej rodzinnej siedziby? Co Alain robił tak często w Paryżu? Co przyгнаło siostrę Brochelino i jej młodszego syna do portu w Piombino? Czyżby na własne oczy chcieli się upewnić, że Werner Helmerding trafił rzeczywiście do twierdzy na Elbie? Morais stawiał sobie po kolei pytania i na żadne nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Wrócił do Paryża. Zadzwoił do Juliusza i powiedział mu o swoim spotkaniu z Wernerem. Wyraził też nadzieję, że tamten usłyszał pozdrowienie od Ingrid. Czy wyjechała już z Paryża? Juliusz potwierdził, więc wiadomość trzeba jej będzie przekazać przez Gusti i jej rozsądną mamusię. One mogą przecież bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń korespondować z młodą Dunką, która wynajęła pokój w miasteczku niedaleko Monfalcone na czas robót w zamku.

Morais poprosił Juliusza o adres mieszkania Wenera w Monachium, ale pytany po co, zbył to zagadkowym milczeniem. Podreptał znów do biura podróży Cooka i niebawem wrócił do domu z biletem na kuszetkę, na który normalny pasażer musiałby czekać co najmniej miesiąc.

Do wytartej walizki wrzucił piżamę, płaszcz przeciwdeszczowy, szczoteczkę do zębów, dwie koszule i swoje ulubione pantofle. Kilka minut później stał już na peronie czekając na pociąg do Monachium.

A któż to spaceruje tam i z powrotem po tym samym peronie? Alain Brochelino i jego dumna mamusia!

A to ciekawe! Morais dopadł szybko stewarda, wcisnął mu walizeczkę, wydał polecenie przygotowania łóżka i szybko wygramolił się z wagonu, choć nogi aż prosiły o chwilę odpoczynku. Wyciągnął kioskarzowi pierwszą lepszą gazetę, rozłożył ją i z zapalonym cygarem włókł się krok w krok za spacerującą włoską

parą, pilnie nastawiając ucha. Z ich rozmowy, prowadzonej zresztą po francusku, zorientował się, że wyjeżdża starsza pani, Alain natomiast zostaje w Paryżu.

Na razie Morais musiał się tym zadowolić. Zdecydował się wrócić do swego przedziału, ale przez okno obserwował każdy ich krok. Oboje rozmawiali z ożywieniem, ale bez cienia nerwowości.

Estella Brochelino była z pochodzenia Francuzką i fakt ten odbił się znacząco na życiu całej rodziny. Stąd jej częste wyjazdy do Francji i pobyt w Monfalcone, mało wystawnej rezydencji, podczas gdy główna, najokazalsza, znajdowała się w okolicach Turynu. Guilbert, najrozsądniejszy w całej rodzinie, nie sprzeciwił się kaprysowi matki, zwłaszcza że sam, ze względu na stan zdrowia, większość czasu spędzał w krajach tropikalnych.

Brochelini byli ludźmi niezmiernie bogatymi, ale uśmiechu na ich twarzach prawie się nie widywało. Starszego syna Estella wręcz nienawidziła, gdyż trzeźwo oceniającemu rzeczywistość nie mogła narzucić swojej wrodzonej dyktatorskiej woli. W odróżnieniu od Alaina, którego wprost ubóstwiała.

Przystojny, inteligentny, ale leniwy Alain wolał trzymać się z daleka od wszystkich problemów. Udawał, że się nimi nie interesuje,4>yleby tylko wymigać się od jakiegokolwiek pracy. Za to wydawanie pieniędzy interesowało go szczególnie, a matka spełniała każde jego życzenie, choćby i najbardziej kosztowne.

Guilbert nie lubił zbytków, rozrzucania pieniędzy. Nawet w czasie swojego krótkiego małżeństwa żył skromnie, jak na możliwości finansowe rodziny, nie protestując wcale przeciwko stylowi życia brata.

Kiedy po ślubie sprowadził się z Madeleine do Monfalcone, młoda pani Brochelino zadziwiająco szybko znalazła wspólny język z teściową, a także ze szwagrem. Zapanowała między nimi prawdziwa harmonia. Guilbert został usunięty na bok, zwłaszcza że całymi miesiącami przebywał za granicą, lecząc swoje podupadające zdrowie.

Madeleine wydawała pieniądze garściami. Ubierała się u najlepszych krawców, nosiła rodową biżuterię Brochelinich bez żadnych obiekcji, jakby była urodzoną arystokratką, a nie córką dozorczyńi paryskiej kamienicy. O tym zapomniała już dawno.

Fabrykami Brochelinich zarządzali dyrektorzy, dbający nie tylko o interesy właścicieli, ale też o swoje. Estella doskonale zdawała sobie z tego sprawę, wolała jednak przymknąć oko, bo wobec jej dalekosiężnych planów takie drobiazgi się nie liczyły.

Jej stosunki z Madeleine ułożyły się nadzwyczaj pomyślnie. Obie kobiety rozmawiały ze sobą godzinami, tygodniami przebywały w Paryżu, gdzie robiły zakupy, bywały w teatrach, na koncertach, w eleganckich lokalach, a Estella czuła się w siódmym niebie, gdy z lewa i z prawa gratulowano jej czarującej synowej. Obie też zgodnie doszły do wniosku, że życie we Włoszech im nie odpowiada. Francja, Paryż, to był świat dla nich! Cudowny, błyszczący i pełen splendoru.

Zanim wymierzona w plecy kula wyprawiła ją w zaświaty, Madeleine zdążyła namówić Alaina do przebudowy zamku w Monfalcone według jej gustu. Estella i bez jego wstawiennictwa zgodziłaby się na ten pomysł Madeleine, mimo że jego realizacja pochłonie ogromne pieniądze. Guilbertowi pozostawiono już tylko decyzję co do wyboru architekta, pod warunkiem jednak, że znajdzie najlepszego. Trafił do Ingrid Steffens, która akurat skończyła poważny projekt w Danii i mogła podjąć się nowego zadania.

Po przybyciu do Monfalcone aż zaniemówiła z wrażenia, bo zleceniodawcy nie liczyli się z pieniędzmi, a zakres robót do wykonania olśniłby każdego architekta marzącego o stworzeniu czegoś naprawdę wielkiego. Tu miała pole do popisu. Ponadto uzdolniony artystycznie Alain okazał się interesującym partnerem przy omawianiu szczegółów, gdy zajął się sprawą przebudowy po wyjeździe brata do Ameryki Południowej.

Z Madeleine Ingrid rozmawiała niewiele. Nie lubiła tego typu kobiet, a przed Wyjazdem Werner Helmerding uprzedził ją, że przyjaźnił się z Madeleine, kiedy była jeszcze modelką w Paryżu. Kobiety nie tolerują rywalek, nawet byłych, i od razu nastawiają się do nich krytycznie. Nic więc dziwnego, że Ingrid od pierwszego spotkania przyglądała się Madeleine podejrzliwie.

Nie zmartwiła się zbyt, kiedy kilka tygodni po wyjeździe z Monfalcone wróciła tam i dowiedziała się, że młoda pani Brochelino zginęła od kuli w zamkowym parku. Osłupiała dopiero, kiedy powiedziano jej, kto został zatrzymany jako podejrzany o dokonanie tego morderstwa...

Werner Helmerding, człowiek, z którym spędziła ostatnio w Kopenhadze kilka szczęśliwych tygodni, którego pokochała, miałby zastrzelić Madeleine, porzuconą przed laty?

Opowiedział jej o niej i cieszył się, że zdecydował się na zerwanie, bo dochodziło między nimi do sprzeczek i poważnych nieporozumień.

Ingrid ochłonęła i szybko doszła do wniosku, że Werner nie mógł być mordercą swojej byłej kochanki. Nie dla niej przecież przyjechał do Monfalcone, miał tam spotkać się z Ingrid. W aferę został wplątany zupełnie przypadkowo.

Musi to udowodnić. Przezornie nie przyznała się, że zna Wenera. Uczestniczyła w jego procesie i uważnie przyglądała się wszystkiemu, co działo się wokół niej. Z Estellą i Alainem utrzymywała jak najlepsze stosunki, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń. Rozpoczęła pracę, a kiedy decydowano o materiałach na ściany gabinetu Alaina, namówiła go, żeby zamówić je w Paryżu. W rzeczywistości chciała spotkać się ze słynnym detektywem, Jeanem Morais, którego widziała na sali sądowej w Turynie.

Spotkanie tych dwojga przed witryną sklepu przy rue Royale nie było wcale przypadkowe, nie mówiąc już o późniejszej wizycie w domu inspektora, jego wyjeździe na Elbę i obecnej podróży do Monachium, w towarzystwie Estelli Brochelino zresztą.

Po co jechała do Monachium? Czego tam szuka? Morais nie byłby sobą, gdyby nie próbował się dowiedzieć. Steward opiekujący się wagonem, w którym podróżowała Estella, okazał się znajomym inspektora, na dodatek wiedział, kim on jest z zawodu. Wystarczyło szepnąć mu słówko, a uprzejmy steward postawił pani Brochelino kilka zręcznych pytań. W środku nocy zjawił się w przedziale inspektora i doniósł, że starsza pani zamierza zatrzymać się w Monachium w hotelu „Cztery Pory Roku” i ma już zarezerwowane powrotne miejsce w pociągu do Paryża. Obie te informacje z pewnością przydadzą się panu Morais.

Ingrid Steffens zrobiła zakupy i wróciła do Monfalcone, do nieco staromodnego hoteliku w pobliżu parku, do swoich dwóch pokoi, w których mogła się schronić po pracy szukając samotności.

Umówili się z inspektorem, że prześle jej wiadomość, gdy tylko dotrze do Monachium.

Rozmawiał z nią jak troskliwy ojciec i przekonywał, by nie martwiła się o Wenera, bo „dopóki pacjent żyje, zawsze istnieje nadzieja, że wyzdrowieje”. Również Juliusz Burghard, z którym rozmawiała w Paryżu do późnej nocy, obiecał, że będzie z nią w stałym kontakcie.

W Monfalcone czekało na nią trochę korespondencji, między innymi oferta wielkiej kompanii na urządzenie luksusowego hoteliku dla gości firmy, który zamierzają otworzyć jesienią. Bez chwili wahania Ingrid postanowiła odpowiedzieć: tak. Na zmartwienia, które znosiła dzielnie, choć z trudem, najlepszym lekarstwem będzie praca.

Na pierwszy rzut oka nikt by nie przypuszczał, że piękna i bardzo ponętna Ingrid Steffens jest niezwykle utalentowanym architektem, a do tego prawdziwym tytanem pracy. Jasne blond włosy idealnie pasowały do ciemnej oprawy ślicznych, zielonkawych oczu. Była szczupła, wysoka, ale nie wyglądała na zgłodzonego chudzielca. Zgrabna, zawsze ubierała się na sportowo.

Zarabiała bardzo dobrze, a zleceniodawcy zgadzali się płacić wysokie honoraria, bo dotychczasowe dokonania Ingrid przekonywały ich, że nie będą to wyrzucone pieniądze. Mieszkała w Kopenhadze, gdzie kupiła willę, którą przebudowała i urządziła według własnego projektu.

Ponad rok temu poznała Wenera Helmerdinga, który przyjechał służbowo do Kopenhagi, przygotowując zlecenie dla swojej drukarni. Wydawał serię albumów o sztuce i w jednym z nich zamierzał zamieścić fotografie wnętrza realizowanych także przez Ingrid Steffens.

Kiedy tylko przekroczył próg jej pięknie urządzonego domu, oboje nie mieli wątpliwości, że nie będzie to ich jedyne spotkanie. Wysoki, przystojny Niemiec zrobił na Ingrid wyjątkowe wrażenie, ona zresztą na nim też. Już przy pierwszej rozmowie zaproponował wspólną kolację.

Nie skończyło się na jednym wieczorze. Spotykali się niemal codziennie, wybrali się też w krótką podróż po Danii, w czasie której Werner spokojnie i bez patosu wyznał Ingrid, że ją kocha.

— Och, chyba nie bierze pan tych słów dosłownie?

— Jak najdosłowniej, piękna królewno!

— Nie licząc się zupełnie z konsekwencjami? Może najpierw wypadałoby spytać, co ja o tym sądzę. — Uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy.

Wziął ją za rękę, pocałował i przycisnąwszy mocno do piersi rzekł:

— Słucham więc, co piękna Ingrid ma do powiedzenia?

— By uzyskać nieskrępowaną odpowiedź, musiałby pan najpierw oswobodzić moją rękę.

— Och nie! Potrzymam ją na wypadek, gdybym został potraktowany lodowato. Ciepło tej dłoni złagodzi chłód.

— Nie miałam zamiaru straszyć pana chłodem, ale gdyby mi się wyrwało jakieś słówko, którego pan nie oczekiwał?

— Byłbym niezmiernie zmartwiony.

— Powiem więc ostrożnie, że wolę, kiedy Werner Helmerding przychodzi, niż kiedy odchodzi. Czy to wystarczy?

— Jak na początek musi, śliczna królewno.

— Czy nie mógłby pan pominąć baśniowych porównań? Nie jestem wcale śliczna, nie mam też nic wspólnego z duńskim domem królewskim.

— Przypoińnam, że jestem zakochany i argumenty tak przyziemne do mnie nie docierają. Mówiąc poważnie, traktuję moje słowa zupełnie szczerze i z pełną odpowiedzialnością. Dlatego też chciałbym usłyszeć z tych ślicznych ust odpowiedź, która dawałaby mi więcej pewności.

— Czego, mianowicie? — spytała czerwieniąc się jak burak, bo doskonale wiedziała, co on chce usłyszeć, a jego słowa sprawiały jej wielką przyjemność. Była szczęśliwa, że spotkała takiego mężczyznę, jak Werner.

— Tego, że piękna i ukochana Ingrid będzie moja, że razem przejdziemy przez życie dzieląc się troskami i radościami. Żeby mieć tę pewność, muszę usłyszeć, że ty też mnie kochasz.

Nie odezwała się, a stanąwszy na palcach — była niższa od Wenera — nstawiła usta do pocałunku. Westchnął głęboko, objął mocno ramionami i przytuliwszy do siebie, pocałował najpierw jej oczy, włosy, a dopiero później usta.

— Możesz już nic nie mówić, Ingrid. Jestem szczęśliwy, bo wiem, że mnie kochasz.

Milczała przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiała..

— Chcę być pewna, Wernerze, że nie zabronisz mi pracować w zawodzie, który sprawia mi wiele radości. Chciałabym jednocześnie być twoją towarzyszką życia i pozostać wierna swojemu powołaniu.

— Nigdy nie pozwolę, aby tak wielki talent miał służyć tylko mnie. Musiałbym być skończonym głupcem. Będziemy pracować oboje, będziemy często w podróży, a kiedy spotkamy się czasami w domu, będą to nasze najpiękniejsze chwile — uśmiechnął się i pocałował ją znowu.

Spotykali się od roku i snuli plany na przyszłość. Ingrid przyjeżdżała do Dusseldorfu, gdzie znajdowała się drukarnia Wenera i, jego przytulnie urządzone mieszkanie, on z kolei często odwiedzał ją w Kopenhadze. Kilka razy wyjechali razem w podróż, by w ciągu roku, po którym zamierzali się pobrać, mogli poznać się jak najlepiej.

Tego wieczoru, gdy Jean Morais widział ich w kopenhaskiej restauracji, rozmawiali o swoich najbliższych planach zawodowych. Ingrid powiedziała wtedy Wernerowi, że kilka tygodni temu spotkała się z włoskim przemysłowcem, który zlecił jej przebudowę swojej rezydencji w północnych Włoszech.

— Chcę dobudować część zamku, a prawie całość urządzić od nowa, ale zastrzega, że wnętrza muszą zachować tradycyjny wystrój, mimo że matka, z pochodzenia Francuzka, chciałaby wprowadzić tam nowoczesny styl. Doszło już

między nimi z tego powodu do poważnych spięć, ale oboje z żoną, również Francuzką, jakoś starszą panią przekonali. -

— To jakaś niesamowita rodzinka! Jak się nazywają?

— Brochelino. Czemu tak nagle się przestraszyłeś?

Werner rzeczywiście zbladł, usłyszawszy to nazwisko. Chwycił Ingrid za rękę i z uśmiechem wyjaśnił, że poznał młodą panią Brochelino, kiedy była jeszcze modelką w Paryżu.

— Wyznam ci szczerze, Ingrid, że wtedy wyobrażałem sobie, iż los uśmiechnął się do mnie i ofiarował mi to, co w Paryżu najpiękniejsze — rzekł lekko zakłopotany. —; Ale wkrótce przekonałem się, że Madeleine nie jest kobietą, z którą można związać się na stałe. Rozstaliśmy się ku wielkiemu zadowoleniu mojej ciotki, Lindy, i niezawodnego Juliusza Burgharda. Mówiłem ci już o nim — pracuje w niemieckiej ambasadzie. Nie lubił Madeleine od pierwszego spotkania i z tego powodu niemal się pokłóciliśmy, ale dzięki Bogu mamy to już za sobą. Mam nadzieję, że twoje spotkanie z Madeleine będzie sympatyczniejsze i nie wpłynie na zadowolenie z pracy, która cię czeka we Włoszech.

— Przypominam sobie, że pan Brochelino jakoś dziwnie wyrażał się o swojej żonie. Grzecznie, ale chłodno jakby nie chciał rozmawiać na jej temat. Wydał mi się sympatyczny, a przy tym wzbudzał coś w rodzaju współczucia. Sam większość czasu spędza w tropikalnych krajach, a mimo to zdecydował się wydać ogromne pieniądze na przebudowę rezydencji, w której prawie nie mieszka. Wyczułam, że robi to niechętnie.

— Przypuszczam, że zmusiła go Madeleine. Miała zawsze wygórowane wymagania, choć wychowała się w bardzo skromnych warunkach. Jej matka była zwyczajną paryską dozorczynią, więc luksusów w jej domu na pewno nie było.

— Mniejsza z nią, najważniejsze, że mam dobrze płatne zlecenie, a na dodatek bardzo lubię pracować nad starymi wnętrzami. Nowoczesne przyjmuję raczej niechętnie. Uczyłam się na dziełach starych mistrzów i prawdę mówiąc, jedynie od nich można się czegokolwiek nauczyć. W przyszłym tygodniu wybiorę się do Włoch, obejrzę sobie to Monfalcone i być może wpadnę na jakąś oryginalną koncepcję — zaśmiała się. — A ty co zamierzasz robić w najbliższym czasie?

— Lecę do Brukseli, potem wybiorę się do Holandii. Przygotowujemy album z reprodukcjami najpiękniejszych obrazów z różnych epok, coś w rodzaju podręcznika dla młodzieży. Jak widzisz, miłość do starych mistrzów łączy nas także — roześmiał się, a całując ją w rękę, dodał po cichu: — Jednak najbardziej kocham mistrzowskie dzieło, jakim jesteś ty. Widzę zrobię ucieleśnienie absolutnego piękna kobiecej natury.

— Co za komplement! Jak z naukowej rozprawy! Kiedy i gdzie spotkamy się znowu?

— W raju, przy ulicy Niebiańskiej 5! W przyszłym tygodniu chyba uda mi się wyrwać do północnych Włoch, a jeżeli nie, to spotkamy się w Mediolanie i spędzimy tam kilka uroczych dni.

Ingrid uciekała myślami do czasów, gdy oboje byli szczęśliwi, i do głowy im nie przyszło, że los szykuje tak okrutną niespodziankę. W jednej chwili zawaliło się całe życie Wenera, wegetuje zaledwie, a jego dusza cierpi katusze.

Jak mogło do tego dojść? Być może Werner przyjechał do Monfalcone, a kiedy nie zastał Ingrid w hotelu, poszedł do zamku z myślą, że ją tam spotka, a wpadł prosto w ręce policji. Później zadziałał nieszczęśliwy splot wypadków. Był kiedyś związany z zamordowaną, w samochodzie przewoził broń tego samego kalibru, co ta, z której strzelano. Nie potrafił wytłumaczyć, po co wszedł na teren prywatnej posesji. Dlaczego od razu nie powiedział, że szukał Ingrid? Dlaczego przemilczał tak ważny szczegół?

A dlaczego ona milczała? Podświadomie czuła, że w zamku dzieje się coś niezwykłego i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nawet jeśli wyzna prawdę, Werner być może wcale nie zostanie uniewinniony, a prawdziwy morderca nadal będzie przebywał na wolności. I dlatego, podobnie jak Werner, milczała. Zajmując się swoją pracą pilnie przyglądała się wszystkim i wszystkiemu, co działo się w zamku. Spełniała każdą zachciankę Alaina i jego matki, byleby tylko nie wzbudzić ich niechęci. Rozmawiała z nimi często, ale ponieważ oni unikali tematu zabójstwa Madeleine, wypadało nie poruszać go także.

Na pogrzeb poszła, w końcu знаła nieboszczkę. Położyła wiązanek kwiatów na jej grobie, ale dobrze, że nikt nie słyszał wtedy jej myśli. Od chwili, kiedy

Wenera oskarżono o morderstwo, Ingrid myślała tylko o jednym: jak znaleźć prawdziwego sprawcę tej zbrodni.

Pojechała dwa razy do Turynu na proces, ale widok ukochanego na ławie oskarżonych był dla niej niemożliwy do zniesienia i postanowiła nie uczestniczyć w następnych rozprawach. Ktoś na sali sądowej pokazał jej słynnego detektywa, Jeana Morais. Poczciwy grubasek nie zrobił na niej korzystnego wrażenia, ale kiedy później zobaczyła go na korytarzu rozmawiającego z obrońcą Wenera, nabrała doń więcej szacunku.

Pracowała od rana do wieczora w Monfalcone. W czasie procesu i po ogłoszeniu wyroku w zamku nikt o tym nie wspominał ani słowem. Alain, jego matka, a nawet Guilbert, który przyjechał z Ameryki Południowej dopiero po pogrzebie Madeleine, zachowywali się spokojnie i jakby nic się nie stało rozmawiali z Ingrid wyłącznie o przebudowie wnętrza. Zaproponowała Alainowi wyjazd do Paryża po materiały obiciowe na ściany. Estella przy okazji zamówiła tkaniny do swojego saloniku.

Guilbert zaprosił Ingrid do pawilonu w ogrodzie na herbatę. Mieszkał tam sam ze starym lokajem. Przedstawił swoje życzenia co do przebudowy zamku, a choć rozmawiali dosyć długo, nie wspomniał ani słowem o pogrzebie żony, ani o skazaniu Wenera Helmerdinga.

Ingrid miała wrażenie, że porusza się w gęstej mgłę, ale nie załamywała się.

Pewnego dnia udało jej się zamienić kilka słów ze starym lokajem Guilberta — o pogodzie, o imponujących wysokością drzewach w zamkowym parku, a przy okazji westchnęła, że panu Guilbertowi musi być żal, kiedy na długie miesiące opuszcza to piękne miejsce. Staruszek zerknął spod oka i po chwili rzekł:

— Od śmierci małego panicza pan Guilbert niechętnie przebywa w Monfalcone.

— Trudno mu się dziwić po tylu przykrych wspomnieniach. Do tego teraz ta zagadkowa śmierć jego żony... Dziwię się, że w tej sytuacji ma ochotę rozmawiać ze mną o przebudowie tego zamku.

— Myślę, że ma ku temu jakiś swój powód — mruknął lokaj, lecz były to ostatnie słowa, jakie udało się jej z niego wyciągnąć.

Pozostały niejasności i napięta atmosfera. Ingrid wyjątkowo denerwujący wydawał się przesadnie ugrzeczniony ton, jakim zwracali się do siebie członkowie rodziny. Obaj synowie rozmawiali z matką jak z ubóstwianą boginią, a ona traktowała ich z wyraźnie akcentowanym szacunkiem. Poddańczy ton szczególnie był wyczuwalny u Alaina, który wobec innych potrafił być nonszalancki, opryskliwy, a nawet niegrzeczny.

Czas płynął niemiłosiernie szybko i Ingrid bała się, że skończy roboty w zamku, a niczego się nie dowie, nie trafi nawet na ślad prawdziwego mordercy. Wtedy zdecydowała, że musi skontaktować się z detektywem w Paryżu.

Linda Helmerding, sympatyczna i przyjaźnie nastawiona do ludzi starsza pani, mieszkała w Monachium, w mieszkaniu, które Werner urządził dla niej i dla siebie. Zatrzymywał się tu, kiedy sprawy zawodowe sprowadzały go do Bawarii.

Na wieść o tarapatach bratanka natychmiast pobiegła do znajomego adwokata, by poradzić się, czy można w tej sytuacji coś zrobić. Zdaniem prawnika należało poczekać. Jeżeli znajdzie się jakaś możliwość interwencji u organów włoskiego wymiaru sprawiedliwości, adwokat natychmiast ją podejmie, ale tymczasem można tylko czekać: bądź na znalezienie prawdziwego mordercy, bądź też na złagodzenie kary po kilku latach. Jego zdaniem wpływ na wymiar kary miało to, że Werner stanął przed sądem jako cudzoziemiec. Gdyby był Włochem, na pewno potraktowano by go łagodniej.

Linda zastanawiała się, co w tej sytuacji musi zrobić. Najpierw skontaktowała się z zarządem drukarni. Dyrektorzy zobowiązali się pozostać na stanowiskach i prowadzić interesy jak najlepiej, a każdy zaoszczędzony fenig wpłacać na konto, którym szef będzie mógł dysponować, gdy tylko opuści więzienie. Dla siebie ciotka zażądała wypłaty dotychczas przysługujących jej dywidend, niewielkich wprawdzie, ale pozwalających na skromne utrzymanie.

Juliusz Burghard odwiedził ją w Monachium i przekazał dyspozycje Wernera, z którym spotkał się zaraz po ogłoszeniu wyroku w Turynie.

Czek, który Werner przysłał, ciotka przyjęła, ale postanowiła go nie wykorzystywać. Na swoje potrzeby miała dość pieniędzy, a ponadto dwa pokoje, z których nie korzystała od dawna, można przecież wynająć. Prócz stałego dochodu zyska także towarzystwo i dodatkowe zajęcia.

Właśnie piekła ciasto dla jednej z lokatorek, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Przestraszyła się i ze złością otrzepała oklejone ciastem ręce. Wsadziła je szybko pod kran i ze ścierką w ręku podbiegła do drzwi.

Przez wziernik zobaczyła łysiejącego grubaska, jako żywo przypominającego poborcę podatkowego. Kogo jak kogo, ale tych urzędników nikt nie lubi przed progiem swojego domu.

Ciotka uchyliła drzwi i warknęła:

— Znowu przyszedł pan po dopłatę? O ile wiem, nic wam nie jestem winna.

— Wypada się tylko cieszyć, droga pani. Ale ja nie jestem żadnym poborcą —.uśmiechnął się zmęczony trochę grubasek.

— To po co pan przyszedł?

— Na pogawędkę, jeśli pani pozwoli.

— Też pomysł! Człowieku, ja piekę ciasto, a panu zachciewa się pogaduszek! Nie mam na to czasu, a i tak nic od pana nie kupię, bo pewnie chce mi pan wcisnąć odkurzacz, co sam sprząta, lub inny bubel...

Już zamierzała zatrzasać mu przed nosem drzwi, gdy Morais rzekł po cichu:

— A nowinek z Elby też pani nie kupi?

Zbladła i wyszeptała:

— Chce pan rozmawiać o panu Helmerdingu?

— Po to przyjechałem aż z Paryża! Wpuści mnie pani?

— Jestem sama i właściwie nie powinnam pana przyjmować — rzekła po chwili wahania. — Nie wiem też, czy dobrze zrobię rozmawiając o moim bratanuku z kimś zupełnie obcym.

— Brawo, mądra kobieto! Zawsze wszystkim powtarzam, że z rozsądnymi ciotkami najlepiej mi się pracuje. Zapomniałem powiedzieć, że Juliusz Burghard przysyła pani pozdrowienia i prosi, żeby mnie pani wysłuchała.

— Ach, Juliusz!... To czemu nie napisał lub choćby nie zatelefonował do mnie?

— Nie zdążył, bo zdecydowałem natychmiast pojechać do pani. Proszę mnie jednak wpuścić, bo ktoś wchodzi po schodach, a nie chciałbym być tutaj widziany.

W końcu Linda otworzyła drzwi, a Morais, uśmiechając się niepewnie, postawił swój podniszczony kuferek, powiesił płaszcz na wieszaku i głośno pociągnął nosem.

— Hm, chyba czuję wanilię?

— A co, mam do babki dać cynamonu? Przyszedł pan nie w porę. Musi pan poczekać w salonie, dopóki nie włożę ciasta do piekarnika.

— Nie ma mowy, pani Helmerding! Idę z panią do kuchni. Umiem doskonale ubijać pianę i kroić migdały. Jeżeli jeszcze pozwoli mi pani zdjąć buty i założyć ulubione pantofle, będę się czuć jak w siódmym niebie.

— Przynajmniej nie jest pan ponurakiem. Jazda do kuchni, ale najpierw niech mi pan przynajmniej powie, z kim mam do czynienia — zerknąwszy na ciasto mruknęła : — Najwyższy czas na ucieranie!

— Pozwoli pani, że ja się tym zajmę? Mam poniekąd odpowiednie kwalifikacje do mieszania — rzekł rozsiadając się na kuchennym taborecie.

Postępując z ulgą zdjął buty, rzucił je za drzwi, na korytarz, i naciągnąwszy podniszczone pantofle, westchnął:

— No, nareszcie znów jestem człowiekiem!

— A wcześniej pan nie był? — spytała Linda siadając obok z miską w ręku. — Ja utnę ciasto, a pan dostanie do ubicia pianę.

Poruszając ostrożnie trzepaczką, Morais pokiwał głową i odpowiedział:

— Byłem, ale czułem się raczej jak chart tropiący zwierzynę... Ubijać na sztywno?

— Oczywiście. Tak sztywno, żeby można było kroić nożem.

— Rozumiem... Nazywam się Jean Morais. Jestem Francuzem i podobno nie najgorszym detektywem.

Linda przestała mieszać i z wyrzutem popatrzyła na gościa.

— Pewnie chce pan ode mnie usłyszeć, dlaczego mój bratanek zastrzelił tę Brochelino? Źle pan trafił, mój drogi. Po pierwsze, Werner tego nie zrobił, a po drugie, nie zgadzam się na żadne przesłuchania.

— Brawo, cioteczko! Nikomu ani słowa. To najlepsze, co może pani zrobić. Jednak skoro ja przychodzę od Juliusza Burgharda, nie trzeba przede mną niczego ukrywać.

— Rzeczywiście. Niechże już pan wreszcie pyta, zamiast patrzeć na mnie jak wyrocznia delficka. Aż robi mi się nieswojo...

Morais, nie przestając poruszać trzepaczką, zaczął opowiadać, a Linda słuchając z zapartym tchem często nieruchomiała i patrzyła na inspektora z szeroko otwartymi oczyma.

— Mieszać, mieszać! Chyba że chce pani upiec zakalca... Lepiej będzie, jeśli skończę opowieść, gdy nasze wspólne dzieło znajdzie się już w piekarniku. Liczę też po cichu, że dostanę filiżankę mocnej kawy, jako że nie zdążyłem zjeść śniadania, bo prosto z dworca tropiłem signorę Brochelino, która przyjechała z Paryża tym samym pociągiem, co ja.

— Mówi pan o teściowej tej zamordowanej?

— A o kimże by innym?! Ale niech pani miesza, na Boga! Pianę już ubiłem i czas dodać ją do ciasta, i przelać do formy wysmarowanej dokładnie masłem.

— To na pieczeniu też się pan zna?

— Przez pięć dni pracowałem w kuchni hotelu „Claridge” w Londynie, by zdemaskować szpiega, który ukrył się tam na posadzce kucharza. Chcąc nie chcąc musiałem nauczyć się kilku podstawowych czynności i udawać cukiernika, dopóki nie zdemaskowałem łobuza.

Linda kiwała z niedowierzaniem siwą głową, ale nie odzywała się wlewając ciasto do formy. Włożyła ją potem do piekarnika i nastawiła wodę na kawę. Morais zaś, jak na prawdziwego detektywa przystało, wytropił na półce puszkę z kawą i wsypał sporą porcję ziaren do młynka, który znalazł w kredensie. Widząc zdziwienie na twarzy ciotki, wyjaśnił:

— Sypię dużo, bo mocna kawa przyda się także pani.

Nie odpowiedziała, patrząc z ukosa na rządzącego się w jej kuchni intruza. Postawiła na tacy dwie filiżanki, cukierniczkę i czekała, aż odezwie się gwizdek czajnika.

— A po cóż mnie mocna kawa? Przewiduje pan jakąś nerwową sytuację?

— Wizyta signory Brochelino chyba taką będzie...

— Pan oszalał? Po co miałyby składać mi wizytę?

— Zbiera informacje o pani nieszczęsnym bratanku zamkniętym w twierdzy na Elbie. Przypuszczam, że Brochelini chcą wiedzieć o nim jak najwięcej, by przypadkiem nie popełnić jakiegoś błędu. Dlatego interesuje ich także jego życie prywatne.

— Człowieku, naprawdę musi mnie pan zaskakiwać coraz to dziwniejszymi zagadkami? Wreszcie ta woda się zagotowała... — mruknęła do siebie. Zalała powoli wrzątkiem obie filiżanki. Kuchnę wypełnił przyjemny aromat kawy.

Zasiedli przy kuchennym stole, a Morais łapczywie wypił kilka tak głębokich haustów, aż Linda zmarszczyła ze zdziwienia czoło. Bez słowa podsunęła mu na talerzyku świeże, posmarowane masłem bułeczki. Podziękował skinieniem i w mig chrupiące pieczywo zniknęło bez śladu ze stołu. Potem, już w zupełnie pogodnym nastroju, opowiedział o wszystkim, do czego już doszedł. Ciasto tymczasem zdążyło się upiec i mogli już oboje skoncentrować się wyłącznie na najważniejszej dla nich sprawie.

— Przede wszystkim nie wolno pani rozmawiać z tą Włoszką. Jeżeli się nie mylę i ona rzeczywiście tu przyjdzie, to musimy znaleźć jakiś sposób, by się jej pozbyć. A teraz niech mi pani opowie o Wernerze z czasów, kiedy przyjaźnił się z tą Madeleine. Poznała ją pani?

— Przyjeżdżali razem do Monachium, ale tylko raz spotkałam ją na wspólnym obiedzie. Wcale mi się nie spodobała, choć rzeczywiście była bardzo ładna, elegancko ubrana i odnosiła się do mnie uprzejmie.. Ale jej nie polubiłam. Później dowiedziałam się, że biega za innymi mężczyznami. Kamień spadł mi z serca, kiedy Werner zerwał z nią znajomość.

— Ile lat minęło od tego czasu?

— Musiałabym policzyć. W tym mieszkaniu jestem już siedem lat, pokoje Wernera urządzono dwa lata później — to wtedy przyjeżdżał z Madeleine do Monachium. Zerwali ze sobą w tym samym roku.

— A zatem minęło pięć lat. Cztery lata była ona żoną Guilberta Brochelino... Ich synek miał dwa lata, kiedy zginął w wypadku samochodowym, w którym uczestniczył także brat męża Madeleine, ale nie była to jego wina, mimo że siedział za kierownicą. Na miejscu zginęła też opiekunka dziecka... Teraz zastrzelono w tajemniczych okolicznościach Madeleine. Czy to mało, by człowiek tak ciekawski, jak ja, zainteresował się tą niesamowitą rodziną.

— Chce mi pan powiedzieć, że nie wierzy w winę mojego bratanka?

— Nie wierzę. On nie jest mordercą i na tym przekonaniu opieram moje dalsze działania — rzekł Morais bawiąc się łyżeczką do kawy. Nie patrząc na Lindę, dodał: — Mój zawód polega na pomaganiu niewinnym i poszukiwaniu winowajców. Dzięki Bogu rzadko kiedy podążam fałszywym tropem, choć drobne pomyłki już mi się zdarzały — uśmiechnął się i szybko zmieniając temat opowiedział o Ingrid Steffens.

— Ku mojej wielkiej radości ta śliczna dziewczyna przyszła do mnie z równie silnym przekonaniem o niewinności Wernera, co moje własne. Jej zdaniem, prawdziwego mordercy należy szukać za murami zamku Monfalcone, ale ona również nie wie, czego szukać. Jest bystra, kocha Wernera i myśli tylko o tym, jak mu pomóc. Ale wróćmy do naszej tajemniczej starszej damy, signory Borchelino. Ona coś kręci, jej synalek, Alain, zresztą też... Przystojni mężczyźni zawsze wydają mi się podejrzani, a Alain Brochelino jest wyjątkowo przystojny... Może jestem uprzedzony, ale w przypadku signory nijak nie mogę pojąć, co ta sztywna dama robi w Monachium kilka dni po uwięzieniu Wernera na Elbie. Jedno, co przychodzi mi do głowy, to że chce pani złożyć wizytę, droga ciotuniu, choć nie bardzo wiem po co. Poczekamy i zobaczymy, czy moje podejrzania się sprawdzą.

— Nie wiem tylko, czy do tego czasu nie puszcza mi nerwy. Nie możemy przecież siedzieć beczynn timer, kiedy mój bratanek siedzi zamknięty w twierdzy na tej brudnej wyspie!

— Proszę pani, ta Elba jest prześliczna! Napoleon naprawdę nie mógł lepiej trafić, kiedy Kongres Wiedeński wypędził go właśnie tam. Oczywiście uwięzio-

ny cesarz mógł korzystać z wielu uroków tej wyspy, na co biednemu Wernerowi na pewno nie pozwolą. Napoleon budował drogi, zaś Werner może co najwyżej tłuc kamienie na bruk. Napoleon mieszkał w willi i zwracano się do niego per „wasza wysokość”, a Wenera Helmerdinga wywołuje się z celi jako numer 4567.

— Mój biedny, nieszczęśliwy chłopiec! Przecież pan go znał, zanim trafił do włoskiego więzienia...

— Dumny, spokojny i opanowany pozostał w dalszym ciągu. Mam nadzieję, że już w przyszłym tygodniu załatwię odpowiednie dokumenty i będę mógł go odwiedzić, i zadać kilka, moim zdaniem, ważnych pytań.

Linda złapała inspektora za rękę.

— Niech go pan pozdrowi ode mnie i zapewni, że modłę się za niego codziennie.

— I niech pani nie przestaje, cioteczko! Wątpię jednak, czy zdecyduję się poświęcić drogocenny czas widzenia z więźniem, by przekazać mu pozdrowienia od wszystkich, którzy mnie już o to prosili. Można u pani zapalić?

— Panu wolno wszystko, inspektorze! Może pan nawet przenocować w pokojach Wenera.

— Wspaniały pomysł! Wydawało mi się, że słyszę dzwonek do drzwi... Proszę zostać! Ja otworzę. — Przytrzymał Lindę podnoszącą się z krzesła, odłożył cygaro i przyglądziwszy rzadkawe włosy, pospieszył do drzwi. Otworzył, a zobaczywszy za progiem starszą damę, spytał z głupią miną: — Pani sobie życzy?

Estella Brochelino odezwała się poprawną niemczyzną, z charakterystycznym twardym akcentem:

— Czy mogę mówić z panią Helmerding?

— Nie ma jej w domu.

— Wyjechała z miasta czy wyszła na chwilę?

— Przebywa w Tegernsee. — Morais przypomniał sobie szybko nazwę znanego bawarskiego kurortu. — Wyjechała ze swoim bratankiem.

— Z bratankiem? — wyrwało się Estelli.

— Skoro ma bratanka, to chyba jej wolno z nim wyjeżdżać!

— Przecież on siedzi... no, mniejsza z tym. Kiedy więc mogłabym porozmawiać z tą panią?

— Proszę przyjść jutro. Wspomniała, że być może wróci już dziś wieczorem. Mogę przekazać wiadomość?

— Hm, może tylko pozdrowienia... od jej bratanka.

— Dziwne, przecież są razem w Tegernsee! — skrzywił się Morais niezbyt uprzejmie.

— Może chodzi o innego bratanka tej pani... ja mówię o panu Wernerze Helmerdingu.

— A ja niby o kim?! Wyjechali stąd dziś rano, to chyba pamiętam...

Estella cofnęła się o krok i wściekła warknęła po francusku:

— Stary dureń, plecie jakieś głupstwa! — Morais zrozumiał oczywiście dokładnie każde słowo, ale z głupawym uśmiechem na twarzy odpowiedział:

— W takim razie powiem pani Helmerding, że był ktoś z wizytą i zapowiedział się na jutro.

— Niech będzie — burknęła Estella i dumnie odwróciła się na pięcie.

Powoli schodziła po schodach odprowadzana mamrotaniem inspektora o nieuprzejmych osobach i głośnym trzaśnięciem drzwi. Po chwili te jednak otworzyły się po cichu, a Morais niczym kot podszedł do balustrady i popatrzył za Estellą. Zatrzymała się na półpiętrze, zastanawiała nad czymś, ale ruszyła do wyjścia. Dopiero wtedy Morais wrócił do kuchni, gdzie czekała na niego przestraszona Linda.

— Słyszała pani?

— Rany boskie, czego ta kobieta ode mnie chce? Muszę z nią jutro rozmawiać? — zaniepokoiła się poważnie.

Morais usiadł i założywszy nogę na nogę, przyglądał się palcowi wystającemu przez dziurę w pantoflu.

— Trzeba go będzie oddać do szewca.

— Człowieku, czy ja w tej chwili nie mam większych zmartwień niż zastanawianie się, co pan zrobi z dziurawym kapciem?

— O, przepraszam, o moich pantoflach proszę wyrażać się z szacunkiem, cioteczko! Może pani nie wierzyć, ale raz już naprowadziły mnie na ślad groźnego mordercy. Miałem je wtedy odstawić do muzeum, ale nowe okazały się niewygodne, więc przeprosiłem się ze starymi.

Linda obrzuciła krytycznym spojrzeniem zdarte pantofle.

— Sądzi pan, że tym razem też pomogą? Nonsens, porozmawiajmy lepiej, co robić jutro. Co mam tej kobiecie powiedzieć?

— Nic! Podobnie jak dziś, w ogóle jej pani nie zobaczy. Nie będzie po prostu nikogo w domu.

— A moje lokatorki?

— Te pani Brochelino nie interesują, więc mogą bezpiecznie siedzieć w domu — zaśmiał się Morais nalewając sobie kolejną filiżankę kawy. Nagle przybrał surową minę i spytał: — Co pani potrafi robić?

— To co znowu? Człowieku, pan chyba i świętego doprowadziłby do białej gorączki! Co potrafię? Aż pan się zdziwi: mówię płynnie po angielsku, francusku i włosku, gotuję, jeżdżę na rowerze, wyszywam — szczególnie udaje mi się haft krzyżykowy. Gram w szachy, czytam, wyznaję się w rachunkach, geografii, religii, umiem pisać pisma urzędowe... to chyba byłoby wszystko.

— Świetnie! Mnie będą interesowały pani umiejętności kucharskie, językowe i jazda na rowerze.

— Widzę, że już ma pan dla mnie jakieś zajęcie, nie wiem tylko, kiedy zdecyduje się pan mnie wtajemniczyć. Gdyby prócz cygar miał pan także papierosy, tobym sobie zapaliła jednego i lżej zniosłabym udrękę czekania. Kiedy ktoś czochohra moje nerwy pod włos, muszę zapalić albo wypić kieliszek whisky.

Morais sięgnął po paczkę papierosów. Linda zaciągnęła się z rozkoszą i nie odzywała się dłuższy czas.

— Już pani minęła ciekawość? — nie wytrzymał Morais.

— Nie, ale zrozumiałam, że lepiej siedzieć cicho, to może prędzej się czegoś dowiem.

— I słusznie! Proszę na wszelki wypadek trzymać się krzesła, żeby pani nie spadła, gdy powiem, że od pierwszego będzie pani kucharką w zamku Monfalcone.

— Czy pan się dobrze czuje?

— Pobolewają mnie plecy, zwłaszcza po nocy spędzonej na twardej kuszecie. Innych dolegliwości nie odczuwam. I co pani na moją propozycję?

— Jako najmądrzejszy detektyw, powinien pan się już dawno domyśleć: dla Wenera poszłabym pracować nawet do kamieniołomu! Ale w Monfalcone chyba mają kucharkę?

— Przecież każdemu zdarza się nagła choroba. W popłochu będą szukali nowej, a pani spadnie im jak z nieba. Dlatego też ta pyszna dama nie powinna pani tutaj widzieć. Najlepiej byłoby, gdyby pani natychmiast podjęła decyzję i jeszcze dziś wyjechała ze mną do Włoch, by oczekiwać na nową posadę. Dokumentami i formalnościami zajmę się ja.

— Rozumuje pan jak małe dziecko! Po pierwsze, nie mogę zostawić mieszkania. Lokatorki przyzwyczyły się, że wykonuję za nie różne prace...

— To się odzwyczają i same zajmą się swoim kramem albo... niech się wyprowadzą.

— Po drugie, musiałabym wejść na strych i poszukać walizki.

— Z przyjemnością zrobię to za panią.

— Po trzecie... — Linda wyglądała na poważnie zmartwioną — skąd nagle wytrzasnę miejscówkę w wagonie sypialnym?

— Widzi pani tę rękę?

— Gruba, mocna, rękaw nie wyprasowany... poza tym nic godnego uwagi.

— Nie widzi pani, jaka jest długa? Kiedy zechcę, potrafi sięgnąć bardzo daleko!

— Ach, rozumiem! — uśmiechnęła się wreszcie. — Po prostu nie mam doświadczenia, bo jeszcze nigdy nie miałam detektywa wśród przyjaciół.

— Cieszę się, że zaliczyła mnie pani do ich grona.

Zaczęła się szamotanina z walizkami. W ciemnym korytarzu, wiodącym na strych, Morais zgubił pantofel, gdy wspinał się po wąskiej drabinie. Uderzył głową o belkę, a jakby tego było mało, przytrzasnął sobie drzwiami kciuk. Zaklął siarczyście i odruchowo włożył obolały i niezbyt czysty palec do ust. Po chwili jednak zjawił się z walizką, więc „wiązanka” została puszczone w niepamięć.

Gdy Estella Brochelino zadzwoniła nazajutrz do drzwi, jedna z lokatorek poinformowała ją, że pani Helmerding zadzwoniła z Tegernsee, że zostanie tam dłużej. Nie, adresu nie podała.

Tymczasem ona była już w drodze do Monfalcone i jeszcze przed wieczorem zapukała do drzwi Ingrid Steffens. Morais zaś zboczył do Lugano, by porozmawiać z Gusti i jej mamą.

— Domyślasz się, mamó, co znaczy ten dziwny telefon?

— Skoro dzwonił pan Morais, nie mam zamiaru łamać sobie głowy. Wolę poczekać, aż zjawi się tu osobiście, a wtedy wszystkiego się dowiem — odpowiedziała Margret Weber nie odrywając się od wymagającego skupienia lakierowania paznokci.

— Przynajmniej Juliusz mógł powiedzieć coś więcej, kiedy zapowiadał, że pan Morais zadzwoni.

— Jesteś pewna, że mógł? Pan Morais bez żadnej wątpliwości wciągnie nas w sprawę Wenera i nie dowiemy się niczego, dopóki nam tego nie powie. Oczywiście pomożemy mu, jak tylko będziemy mogli. Musimy przecież wydstać tego biedaka z więzienia.

— Och, mamó! Przypuszczasz, że panu Morais uda się uwolnić Wenera z tej okropnej wyspy?

— Nie obiecuj sobie zbyt wiele, ale jest taka nadzieja, skoro Jean Morais zajął się tą sprawą. Dla mnie to tak, jakby do chorego przyszedł dobry lekarz... Juliusz mówił coś jeszcze?

— Och... — Gusti szybko ogryzła ciastko, a Margret uśmiechnęła się patrząc na córkę siedzącą przy otwartym oknie balkonowym.

— Nie był zbyt rozmowny, skoro powiedział tylko „och”.

— Nie tylko... Plółł, jak zawsze, same głupstwa.

— Czujących słówek nigdy nie nazywaj głupstwami, córeńko!

— Skąd mogę wiedzieć, że mówi prawdę? Pyta na przykład, czy ciągle mam tak piękne nogi, czy go jeszcze kocham, nazywa mnie swoją żabką... Czy ty choć trochę lubisz Juliusza?

— Mówiąc zupełnie szczerze, tak. Jest sympatyczny, a w Paryżu słyszałam, że zapowiada się na dobrego dyplomatę i ma szansę zrobić karierę.

— Akurat! Mnie wcale nie traktuje dyplomatycznie! Wpada do domu, omal drzwi nie wyrywając z zawiasów, a gdy czekam na niego na peronie albo w poczekalni na lotnisku, to wrzeszczy na całe gardło: Żabko! Kocham cię!

Margret roześmiała się serdecznie.

— Dziecko, wolałabyś, gdyby przychodził z grobową miną? „Kocham cię, żabko”, to brzmi bardzo zachęcająco i powinnaś się cieszyć, że masz tak cudowną młodość. Jeżeli o mnie chodzi, to zrobię wszystko, aby tak pozostało jak najdłużej.

— Jesteś wspaniała, mamusiu! — Gusti rzuciła jej się na szyję.

Matka, wyciągnąwszy przed siebie obie ręce, krzyknęła:

— Moje świeżo polakierowane paznokcie!

— Nie wyschły jeszcze?

— No, prawie. Wystarczy je trochę poprawić — mówiła Margret, gdy odezwał się domofon. — Odbierz, Gusti!

Gusti chwilę słuchała, a potem odezwała się:

— Proszę bardzo, niech pan wejdzie. Mamo, jakiś pan Muller chce z nami mówić...

— A więc dzisiaj nazywa się Muller? Poznałam go, kiedy nazywał się Bertin, a kim jest naprawdę, dowiedziałam się dopiero, kiedy znalazł ten klejnot za dekoltem modelki. Zabierz szybko stąd te kosmetyki! — rzekła Margret, dmuchając na paznokcie. — I nie wyrywaj się z głupimi uwagami. Poczekamy, co pan Morais ma nam do powiedzenia.

Po chwili detektyw stał już uśmiechnięty w drzwiach, ze swoją wytartą walizką w ręku. Na pierwszy rzut oka przypominał służącego poszukującego pracy. Ukłonił się nisko i od razu podszedł do Margret.

— *Madame*, czuję się zaszczycony, że znów panią spotykam. Jak pani się miewa? Domyślałam się, że gości pani swoją siostrę...

— Jest pan bardzo uprzejmy, *monsieur*, ale wie pan przecież na pewno, że to dziewczę nie jest moją siostrą, a po prostu córką. To Gusti. — Uśmiechnęła się podając mu rękę.

— Masz ci los! Chciałem sobie komplementem zaskarbić łaski u szanownej pani, a zdaje się, palnąłem głupstwo.

— Czym mogę pana poczęstować? Może filiżanką czekolady z laską wanili?

— Za wcześnie, droga pani, stanowczo za wcześnie. Ten boski napój należy mi się dopiero po skończonej pracy, a teraz, kiedy jestem w jej trakcie, zasługuję co najwyżej na herbatę. Może rozjaśni mi trochę umysł...

— Gusti, zajmiesz się herbatą? Co pana do nas sprowadza, inspektorze? Powiem ód razu, że w miarę naszych możliwości gotowe jesteśmy panu pomóc. Ja obecnie leniuchuję, a Gusti zaprzęta sobie myśli jedynie znanym panu skądinąd Juliuszem Burghardem.

Morais pokrótce przedstawił swoje plany i rzekł:

— Jak panie widzą, będzie mi potrzebna wasza pomoc. Sprowadziłem z Monachium ciotkę Wenera. Jest już w Monfalcone. — Gusti i Margret patrzyły zdziwione, więc wyjaśnił: — Sympatyczna cioteczka pracuje w zamku jako kucharka... poprzednia, niestety, nagle musiała odejść — dodał robiąc zboląłą minę. — Przydałaby się młoda asystentka dla Ingrid Steffens — spojrział pytającym wzrokiem na Gusti. Ta popatrzyła na matkę, a gdy Margret skinęła przyzwalająco, dziewczyna zapiszczała z radości. Morais zaś rzekł: — Czyżbym i ten problem miał już z głowy?

— Oczywiście. Podobnie jak pan, Juliusz i panna Steffens, my też chcemy coś zrobić i być może wspólnymi siłami wyciągniemy Wenera z opresji.

— Pięknie paniom dziękuję, ale wciąż jeszcze mi czegoś brakuje. Dla pani, droga pani Weber, też miałbym zajęcie. W pewnym sensie oboje wykonujemy podobny zawód: bacznie przyglądamy się bliźnim, choć pani ma do czynienia z pięknymi kobietami i sukniami, w które będą się ubierały. Chciałbym, żeby w imieniu domu mody Latoura zaprosiła pani signorę Brochelini na najnowszy pokaz, na którym będą prezentowane modele najbardziej odpowiadające jej stylowi. Można dodać, że dla domu byłby to zaszczyt gościć ją i tak dalej. Pani najlepiej wie, co napisać. Kiedy przyjedzie, weźmie ją pani pod lupę. Jest okazja, by porozmawiać o procesie, bo może pani wspomnieć o Madeleine, która przecież pracowała u Latoura jako modelka. Radzę wyrażać się o niej dwuznacznie i

sprovokować *signorę* do wyrażenia swojej opinii, a przy tym zapamiętać każdy gest i każde słowo tej pani. Czy wyraziłem się jasno?

— Stenografowałam, jak pan widział, więc niczego nie przegapiłam. Może pan na mnie polegać, a z przekonaniem szefów do wysłania zaproszenia też sobie poradzę — zapewniła Margret chowając notes. — A co miałyby robić Gusti? Nie zechciałby pan poinstruować jej równie szczegółowo jak mnie?

— *Monsieur*, niech pan mi da coś ciekawego! Już chciałabym się wziąć do roboty.

— Zacznijmy od tego, moja panno, że w Monfalcone nikt nie może dowiedzieć się, kim jestem naprawdę, więc musi pani udawać, że w ogóle się nie znamy. Poza tym rozmawiałem już z Ingrid i ona powie pani dokładnie, co trzeba robić.

— Ja miałabym do pana tylko jedno, ale ważne pytanie, i mam nadzieję, że mi pan odpowie — odezwała się Margret.

— Chce mnie pani spytać o sens i cel moich działań? Otóż zamierzam bliżej przyjrzeć się uroczemu zamkowi w Monfalcone i jego mieszkańcom, z których wszyscy wydają mi się trochę podejrzani, zwłaszcza przystojny Alain Brochelino. Ten intryguje mnie najbardziej. A cel? Trzeba uwolnić Wenera Helmerdinga, który nie popełnił tego morderstwa. A możemy to zrobić wskazując osobę, która naprawdę strzeliła w plecy Madeleine. Jeszcze jakieś pytania?

— Właściwie nie, bo jak myślę, i tak powiedział nam pan wszystko, co uważał za konieczne. Kiedy powinniśmy zacząć?

— Kiedy stąd wyjeżdżacie?

— Pojutrze.

— To dobrze. Panna Gusti pojedzie prosto do Monfalcone, oto adres, a panią poproszę o udanie się do Paryża. Aha, żeby nie było wątpliwości: wszystkie wydatki opłaca Werner Helmerding. Ja wyjeżdżam do Sienny, a stamtąd na Elbę. Przy wydatnej pomocy naszej ambasady i niezawodnego jak zawsze Interpolu udało mi się wreszcie załatwić odpowiednie pozwolenie.

— A jeżeli Brochelini się o tym dowiedzą?

— Ze mną nie mają szans. Pojadę na Elbę w przebraniu i pod innym nazwiskiem. Liczę po cichu, że podobnie jak Napoleon, wymknę się z wyspy bez większych przeszkód. — Zaśmiał się, a widząc zdenerwowane w oczach obu kobiet, dodał: — Rozchmurzcie się i bądźcie wesole jak zawsze. Jest się przecież z czego cieszyć: panienka, jako asystentka sławnej pani architekt, ma wyśmienitą okazję nauczyć się wielu ciekawych rzeczy!

Prom „Aethalia” czekał w porcie Piombino. Robotnicy wracający z pracy i urlopowicze tłoczyli się na pokładzie, zaniepokojeni, bo odjazd znowu się opóźniał. Oczy wszystkich skierowały się na dwóch karabinierów maszerujących dumnie po nabrzeżu. Nie przejmowali się zupełnie pomrukami niezadowolonych pasażerów.

Wreszcie do trapu podjechał rozklekotany samochód, wyskoczyło z niego dwóch umundurowanych strażników, którzy wyprowadzili ubranego w brązowy więzienny strój skazańca. Nie wyglądał na groźnego przestępcę. Grubasek ten niósł podniszczoną walizkę i związane naprędce tekturowe pudełko. W mgnieniu oka eskorta przeszła przez dolny pokład i po chwili rozległo się szczęknięcie metalowych drzwi toalety. Strażnicy usiedli obok i spokojnie zapalili papierosy.

„Aethalia” mogła wypłynąć, a w Porto Azzuro sytuacja się powtórzyła: wszyscy musieli czekać, aż skazaniec z eskortą wysiadzie i wraz z bagażami zostanie wsadzony do śmiesznego samochodziku, którym funkcjonariusze zabrali go do twierdzy.

Na górze już czekano. „Więźnia” zaprowadzono do salki, gdzie prócz ławy nie było żadnych mebli. Po chwili wszedł signor Casucci, dyrektor więzienia, i z uśmiechem podał mu rękę. Jean Morais najpierw zdjął okulary, zgarnął z łysiny więzienną czapkę i odezwał się po włosku bez śladu obcego akcentu:

— Prawdę mówiąc, wcale nie było tak źle, drogi dyrektorze. Jedynie ta niezbyt przyjemnie pachnąca toaleta! Przewożenie w niej więźniów jest chyba pierwszym elementem wymierzonej im kary.

— Są tam przynajmniej bezpieczni i mają spokój od ciekawskich.

— Czym mogę panu służyć, *signor* Morais? Chce pan najpierw porozmawiać ze mną, czy też od razu ze skazanym?

— Jeżeli dysponuje pan czymś przypominającym whisky, będę wielce zobowiązany, a zanim spotkam się z panem Helmerdingiem, chciałbym zadać panu kilka pytań. Bardzo bym też prosił, żeby nie skracać mi czasu widzenia.

— Oficjalnie przyznano panu godzinę, ale jestem przecież człowiekiem i zdążyłem się już zorientować, że z tym Niemcem poszło coś nie tak, jak trzeba.

W swoim biurze dyrektor poczęstował inspektora oryginalną whisky, obaj zapalili cygara. Morais, kładąc paczkę papierosów na stole, spojrzał na Włocha i rzekł:

— Przyniosłem ją dla Wenera, chcę, żeby pan wiedział.

— Czy to konieczne, signor ?

Bezwzględnie. Czymś muszę go zachęcić do szczerej rozmowy. Jak ocenia pan jego zachowanie, dyrektorze?

— Mam wrażenie, że pierwszy, najgorszy szok ma już za sobą. Wszyscy, kiedy dostaną jakieś zajęcie, od razu czują się lepiej.

— Czy sypia spokojnie?

— Z moich obserwacji, potwierdzonych zresztą przez strażników, wynika, że więźniowie skazani niewinnie mają trudności ze snem.

— Mam nadzieję, że ten długo tu nie pobędzie i przestanie się męczyć. Przepraszam, ale nie mogę panu powiedzieć nic więcej. A wracając do pytań: czy ktoś z rodziny Brochelino kontaktował się z panem w sprawie Wenera?

Dyrektor popatrzył zdziwiony:

— A pan skąd o tym wie?

— Mój gruby nos wyczuwa wiele rzeczy na odległość. A więc?

— Dostałem dwa pisma. Jedno od pana Guilberta, który ze swoim adwokatem prosi o pozwolenie na krótkie widzenie z więźniem Wernerem Helmerdingiem.

Morais aż zagwizdał.

— Zgoda czy odmowa?

— Nie podjąłem jeszcze decyzji, gdyż akurat poinformowano mnie o pańskim przyjeździe.

— Proszę, żeby pan się zgodził. Niech pan wyznaczy termin na pojutrze; tyle czasu wytrzymam jakoś na Elbie. Napoleon wprawdzie siedział tu dłużej, ale mnie trzy dni zupełnie wystarczą.

— W takim razie przekażę mu odpowiedź telefonicznie.

Dyrektor sięgnął po telefon i kazał przekazać wiadomość, że zgadza się na dziesięciominutowe widzenie Guilberta Brochelino z więźniem pojutrze, w godzinach wieczornych. Odłożywszy słuchawkę, bez słowa podał inspektorowi kartkę z monogramem u góry i zamaszystym podpisem u dołu, zapisaną ręcznym, bezładnym pismem. Wyglądała jak list kipiącego nadmiarem energii olbrzyma. Zawierał jedynie obelgi pod adresem Wenera Helmerdinga i życzenie, aby zgnił w twierdzy, bo jest mordercą, który unieszczęśliwił całą rodzinę Brochelino. Pod spodem widniał podpis Alaina.

— Odezwał się, przyjemniaczek! Takiego wybuchu nienawiści prędzej bym się spodziewał po mężu zamordowanej niż po szwagrze. Coś mi się zdaje, signor Casucci, że obudziła się hydra i przyjdzie mi obciąć wiele głów, zanim trafię na właściwą. Kto by pomyślał? Włączył się piękny Alain, a mamuśka też coś knuje, głowę dam sobie uciąć, że tak jest. — Morais pociągnął łyk whisky i opowiedział słuchającemu w napięciu dyrektorowi o swoich spostrzeżeniach, ale tylko tyle, ile ten powinien wiedzieć. — A teraz chciałbym zobaczyć się z więźniem. Wołałbym jednak nie rozmawiać z nim przez kratę.

— *Signore*, łamie pan wszystkie moje zarządzenia, ale trudno, przypadek jest szczególny. Każę przyprowadzić skazanego tutaj, ale uprzedzam, że przy rozmowie musi być obecny strażnik.

— To niech pan przyśle przynajmniej takiego, co nie rozumie po niemiecku — burknął Morais i zaczął zdejmować pasiak, pod którym miał swój wyświechtany garnitur.

Zanim przyprowadzono Wenera, inspektor spytał dyrektora, czy jego zdaniem jest on winien.

— Nie odpowiem panu ani tak, ani nie. Myślę jednak, że dostał surowy wyrok dlatego tylko, że jest cudzoziemcem. Czytam uważnie akta każdego z więź-

niów — skoro mam opiekować się nimi przez wiele lat, muszę o nich wszystko wiedzieć — i w tym przypadku mam wrażenie, że wyrok wydano bez sprawdzenia wszystkich dowodów. Oskarżony właściwie nie wyjaśnił, w jakim celu przyszedł do parku w Monfalcone. Browningów o takim kalibrze, jak jego, są przecież tysiące... Poza tym on mi nie wygląda na człowieka, który z zimną krwią potrafi strzelić w plecy bezbronnej kobiecie.

— *Bravissimo, signore!* Dziękuję panu w imieniu tych wszystkich, którzy walczą o uniewinnienie Wenera Helmerdinga, a jest ich już kilkoro. *A propos:* byłem na promie, kiedy przewożono na Elbę Wenera, i wie pan, kogo widziałem na nabrzeżu w Piombino? Nadawcę tego złośliwego listu, pięknego Alaina Brochelino i jego napszoną mamusię, signorę Estellę. Zdecydowali się na daleką podróż po to tylko, żeby upewnić się, czy więźnia rzeczywiście przewieziono na Elbę! Mam prośbę, dyrektorze: chciałbym, żeby ci dwoje przeżyli podobny szok, jak uczestnicy Kongresu Wiedeńskiego, kiedy się dowiedzieli, że ich więzień uciekł z Elby.

Nim dyrektor zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi. Stał w nich wysoki, szczupły więzień z rękoma skutymi kajdanami. Morais przestraszył się. Pamiętał Wenera z procesu i nie mógł uwierzyć, że kilka tygodni pobytu w więzieniu tak go odmieniło. Policzki miał zapadnięte, a wokół żywych, wyrazistych oczu pojawiły się ciemne kręgi, mimo to cała twarz wyrażała jeszcze hart ducha.

— *Signore*, niech pan każe mu zdjąć kajdany. Tak przecież jest napisane w zezwoleniu na widzenie. — Morais stuknął palcem w papier leżący na biurku.

Dopiero gdy strażnik uwolnił ręce Wenera, Morais podszedł do niego, przywitał się i rzekł do dyrektora:

— Od tego momentu może pan zacząć liczyć czas?

Urzędnik wyszedł bez słowa, a jeden ze strażników usadowił się na krześle przy drzwiach.

— Proszę usiąść, panie Helmerding. Muszę panu zadać wiele pytań i błagam, żeby mi pan na wszystkie szczerze odpowiedział.

Werner usiadł jak w transie, wziął papierosa, ale go nie zapalił. Dopiero gdy Morais podał mu ogień, wciągnął głęboko dym i spytał:

— Czy ja także mogę mówić, zadawać pytania?

— Oczywiście. O co chciałby pan spytać na początek?

— Czy to pan przekazał mi wtedy na promie pozdrowienia od Ingrid?

— Ja. Mam nadzieję, że ucieszyłem pana.

— Muszę pana o tym zapewniać? Po co pan znów tutaj przyjechał? Nie bardzo rozumiem, co się wokół mnie dzieje.

— Drogi panie Helmerding! W pańskiej sprawie przyszedł do mnie Juliusz Burghard, a potem wydarzenia potoczyły się lawinowo. Kilka dni później zjawiała się u mnie Ingrid Steffens, która podobnie jak Juliusz, nie wierzy w pańską winę. Przyłącza się do nich ciotka Linda, którą odwiedziłem w Monachium, a także mała Gusti Weber i jej urocza mama. Jak pan widzi, stanowimy już liczny zespół i współpracujemy, by ująć prawdziwego zabójcę z Monfalcone.

Werner złapał inspektora za rękę.

— Pan również wierzy, że jestem niewinny?

— Inaczej bym tu nie przyjeżdżał! Ingrid prosiła, żebym pana zapewnił, że jej uczucia pozostają niezienne i zrobi wszystko, aby ująć winowajcę. W tym celu nie przerwała robót w Monfalcone i bacznie się tam rozgląda. To na razie tyle, ile pan powinien wiedzieć, przejdźmy więc do moich pytań. Dlaczego przed sądem nie powiedział pan, jaki był powód pańskiej wizyty w Monfalcone?

— Przecież to czywiste; nie mogłem dopuścić, aby do tej afery wciągnięto Ingrid. Z pewnością potraktowano by ją jako moją współniczkę.

— Argument słuszny, gdyby w grę nie wchodziło osiem lat więzienia... Teraz z innej beczki: zna pan Alaina Brochelino?

— Pierwszy raz zobaczyłem tego przystojniaka w sali sądowej i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że-oglądam wroga.

— Możliwe, że tak jest, ale to nic pewnego. Estelli Brochelino też pan nie zna?

— Tyle co z sądu w Turynie.

— A Guilbert, mąż zamordowanej?

— Jego znałem wcześniej.

— Od kiedy?

— Zanim ożenił się z Madeleine. To ona wpadła na pomysł, żeby mi go przedstawić.

— Co pan o nim powie?

— Sympatyczny. Sprawiał wrażenie chorego lub ciężko przepracowanego.

— Jakby pan wytłumaczył starania tego Guilberta o umożliwienie mu widzenia z panem? Nawiasem mówiąc, taką zgodę uzyskał.

— Guilbert, mąż Madeleine, chce ze mną rozmawiać? Zupełnie nie rozumiem po co!

— Proszę mi dokładnie i bez żadnych przemilczeń opisać zamordowaną. O faktach znanych z procesu może pan nie mówić.

Werner dotknął czoła i ręką, na której widać już było odciski, przeciągnął po ostrzyżonych krótko włosach.

— Czego pan jeszcze nie wie? Była wyrafinowanie piękna, czarująca. Zawsze elegancko ubrana, wesoła i towarzyska, ale jej krąg zainteresowań nie był zbyt imponujący: suknie, luksusy, romanse i plotki. Dopóki byłem w niej ślepo zakochany, jakoś mi to nie przeszkadzało, ale kiedy wyszło na jaw, że ma kłopoty z zachowaniem wierności, zrozumiałem bezcelowość utrzymywania naszego związku. Podchodziła do niego materialnie. Interesował ją wyłącznie mój portfel. To było głównym powodem, dla którego od niej odszedłem.

— Mniej więcej to samo powiedziała mi ciotka Linda. Jest naprawdę mądra i życiową kobietą... Czy wtedy Guilbert Brochelino już coś znaczył dla Madeleine?

— Wkrótce po naszym zerwaniu zadzwoniła do mnie z prośbą, bym przetłumaczył jej list, który dostała od swojego włoskiego przyjaciela. Guilbert pisał, że ja kocha, prosił, by została jego żoną.

— Cholera, już go miała w kieszeni! Nie próżnowała, jak widać. Mówiła coś panu o jego sytuacji rodzinnej?

— Właściwie niewiele. Mówiła, że będzie miała młodego i bardzo przystojnego szwagra i uprzejmą teściową, ale najbardziej cieszyła się z zamku i pieniędzy.

dzy, dzięki którym Guilbert będzie mógł spełniać wszystkie jej zachcianki. Wiem, że Guilbert bardzo chciał mieć dziecko, chodziło pewnie o jakiś zapis spadkowy, Madeleine zaś nie bardzo miała ochotę stracić dla dziecka figurę, jednak dla milionów Brochelinich poszła także na to ustępstwo. Ostrzegałem ją, że zbyt lekkomyślnie podejmuje decyzje i jeżeli wyobraża sobie, że życie przyniesie jej tylko szczęście i dobrobyt, to spotkają gorzki zawód.

— Wie pan, że to dziecko, o którym tak bardzo marzył Guilbert, zginęło w wieku dwóch lat w wypadku samochodowym? Jego opiekunka zresztą też, natomiast Alain, który prowadził, wyszedł z kraksy i niewielkimi zadrapaniami. — Morais mówił spokojnie, ale Werner j tak zbladł jak ściana. — Niech pan nie wyciąga z tego żadnych wniosków, to jest moje zadanie, a jeżeli wspomniałem o wypadku, to żeby pana uspokoić i zapewnić, że poważnie traktuję swój zawód i nie przyjechałem tu jedynie na pogawędkę z panem.

— Juliusz do pana dotarł? Mój stary, niezawodny przyjaciel!

— Ten podszedł do sprawy bardzo emocjonalnie, musiałem przywoływać go do porządku, natomiast Ingrid Steffens zupełnie mnie zaskoczyła, gdy przyszła do mnie spokojna, opanowana i z gotowymi planami. Ale nie o tym mieliśmy rozmawiać. Chcę dowiedzieć się od pana jak najwięcej, a przy okazji podtrzymać na duchu, bo nie wszystko jeszcze stracone.

— Przez kogo, u licha, znalazłem się za kratkami?

— Jak nie przestanie pan krzyczeć, nasz sympatyczny dyrektor na pewno nie będzie zachwycony. Sam chciałbym znać odpowiedź na pytanie, które pan przed chwilą zadał. Kto zamordował Madeleine jeszcze nie wiem, ale że niektórym osobom bardzo zależało na zwaleniu winy na pana, nie mam już wątpliwości. Tymczasem osoba najbardziej zainteresowana, czyli mąż zamordowanej, nie powiedział nic, co by pana obciążało, a przesłuchiowano go, mimo że w chwili zabójstwa był za granicą. Oświadczył bez wahania, że nie uważa pana za mordercę. Dlatego też zgodziłem się, żeby umożliwiono mu widzenie z panem. Niech pan się nie boi, Wernerze, będę przy tej rozmowie. Wystąpię w roli strażnika i będę siedział w kącie jak ten nieborak, który już prawie zasypia, gdyż nic z naszej rozmowy nie rozumie.

— Jak właściwie mam potraktować Guilberta?

— Normalnie. Widzenie ma trwać dziesięć minut, więc przypuszczam, że przygotuje sobie wcześniej pytania. Skoro sam prosi o spotkanie z panem, musi mu bardzo na tym zależeć. Na koniec proszę mi szybko powiedzieć, co mogę dla pana załatwić, bo pojutrze raczej nie będziemy mieli już okazji porozmawiać.

— Proszę powiedzieć Ingrid, że myślę tylko o niej i kocham ją całym sercem, jednak nie mam odwagi zastanawiać się nad naszą przyszłością.

— Nie docenia pan tej dzielnej kobiety. Ona gotowa na pana czekać całe lata i zrobi wszystko, żeby zyskać dla pana warunkowe zwolnienie, jeżeli moja misja skończy się fiaskiem, w co zresztą nie wierzę. Zatem głowa do góry! Życie dla pana jeszcze się nie skończyło i musi pan dbać o zdrowie fizyczne i psychiczne. Postaram się, żeby miał pan dostęp do książek. Radzę też nie wymigiwać się od prac, to pomaga przetrwać. Nie dadzą tu panu żadnych ciężkich zajęć, bo jak widzę, traktują tu pana dość łaskawie. Gdyby moje dochodzenie przeciągało się, wystąpię o zezwolenie na kolejną wizytę, a tymczasem proszę powiedzieć, czy coś trzeba dla pana załatwić?

Werner słuchał ze spokojem, ale widać było, że przychodzi mu to z trudem.

— Właściwie odczuwam dotkliwie brak drobiazgów, takich jak moje domowe pantofle. Wieczorem dosłownie nóg nie czuję. No i dobrego mydła.

— Przypuszczam, że te skromne prośby będę mógł załatwić od ręki.

— Zapomniałem spytać: czy ciotka Linda ma zapewnione środki utrzymania?

— Oczywiście. Podnajęła dwa pokoje, a dyrekcja drukarni wypłaca jej miesięczną pensję. Ma pan coś przeciwko temu?

— Skądże! Dla ciotki zrobię wszystko. Ona także wierzy, że jestem niewinny?

— Człowieku, przecież to bardzo mądra kobieta! Nasz czas dobiega końca. Zapewniam pana, że wszyscy, od których pozdrowienia przekazałem, pracujemy wspólnie, by ująć prawdziwego mordercę. Albo nam się uda, albo ja zmienię zawód i zajmę się uprawą warzyw.

— *Monsieur*, nawet pan sobie nie wyobraża, ile ta godzinna rozmowa z panem dla mnie znaczy. Odzyskałem nadzieję i wiarę w ludzi. Jest mi niezwykle

przyjemnie, że tak wielu uwierzyło w moją niewinność i robi wszystko, aby mnie stąd wydostać. Pan jest fachowcem, naprawdę pan wierzy także, że ja tego nie zrobiłem?

— Szkoda naszego cennego czasu na rozmowy o rzeczach oczywistych. Ma pan jakieś dyspozycje dla dyrektorów drukarni?

— Moje uwięzienie w żaden sposób nie powinno odbić się na funkcjonowaniu przedsiębiorstwa. Dyrektorzy najlepiej wiedzą, gdzie i jak najbezpieczniej ulokować zyski. Proszę im przekazać, że mam do nich pełne zaufanie i poprosić, aby nie opuszczali mnie w trudnej sytuacji. — Werner mówił drżącym z emocji głosem. Pogodził się już z losem i przyzwyczał do trudnych warunków, a tu nagle zaświtał promyk nadziei. Uścisnął z całej siły ręce inspektora i rzekł: — Niech pan mnie ratuje! Kiedy słyszę, że ci, którzy mnie znają, nie wierzą, że mogłem popełnić morderstwo, od nowa czuję się zawiedziony i skrzywdzony przez los, z którym już się pogodziłem.

— Na pewno pana nie opuścimy. Miałbym dać się tu przywieźć w śmierdzącej toalecie na darmo? Musiałem, bo nie mam pewności, czy prawdziwy morderca Madeleine Brochelino nie kręci się gdzieś w pobliżu. — Morais uśmiechnął się i podetknął Wernerowi paczkę papierosów. — A, jeszcze zapalki... Dyrektor o tym wie, więc proszę się nie martwić. To mydło też panu załatwię; życzy pan sobie jakiś specjalny zapach, markę?

— Jak to dobrze usłyszeć, że ktoś ma ochotę na żarty... Wystarczy zwykłe toaletowe mydło, o niczym lepszym nawet nie śmiałem marzyć.

W tym momencie do gabinetu wszedł dyrektor, a Morais uścisnął Wenera, odwrócił i popchnął w stronę drzwi.

— No, jazda stąd, mój drogi. Wkrótce znów się zobaczymy. Na pewno pojutrze, podczas wizyty Guilberta Brochelino, ale niech pan pamięta, że wcale się nie znamy.

Wenera wyprowadzono.

Inspektor z dyrektorem zasiedli do rozmowy o procesie i planowanym spotkaniu Guilberta z Wernerem. Morais powoli pakował do walizki swój więzienny strój i uśmiechnął się: pojutrze znów weń wskoczę, gdy będę opuszczać tę niegościnną wyspę, ale z promu w Piombino wolę wyjść już jako zwykły turysta.

Kiedy Morais niespodziewanie stanął na progu domu swojej kuzynki, Rosita Benuto aż zaniemówiła z wrażenia.

— *Dio Mio!* Jean, znowu przyjechałeś?!

— Tak jest, skarbie, a jak jeszcze poczęstujesz mnie pizzą z pomidorami i serem, będę czuł się jak w raj.

Weszli do oddzielonej części bungalowu. Resztę zajmowali już letnicy i wokół panował wakacyjny gwar.

— Ciekawe co zrobiłby Napoleon, gdyby za jego czasów tak tu hałasowano?

— Sądzisz, że żołnierze w obozie zachowywali się ciszej niż moi letnicy? Jak długo zamierzasz zostać tym razem?

— Przenocuję dwa razy i zmykam.

— Dwa dni! Opłacało ci się jechać taki szmat drogi? To szaleństwo, ale w rodzinie Morais wariatów nigdy nie brakowało.

Po chwili na stole wylądowała pachnąca pizza w towarzystwie butelki miejscowego wina, a Morais, zadowolony z wyników wizyty w twierdzy, czuł się jak najszczęśliwszy człowiek na świecie. Z natury nie był ciekawski, ale nie mógł się doczekać wizyty Guilberta Brochelino.

Następny dzień spędził, jak prawdziwy turysta. Korzystając ze słonecznej pogody, wybrał się na długi spacer nad morze, a nawet zabłądził do willi, którą zajmował Napoleon przebywając na Elbie. Inspektor wszedł na taras i jako rodak wielkiego cesarza z dumą rozejrzał się dookoła. Wpół albo też prawie nadzy turyści nie wykazywali najmniejszego szacunku dla historycznego miejsca. Niczym Inkowie zwracali się do słońca jak najgorliwsi jego czciciele.

Urażony Morais opuszczał historyczną willę w nie najlepszym nastroju, a żeby go sobie poprawić, zaczął rozdzielać zadania swoim współpracownikom w Monfalcone.

Następnego dnia przyszedł do twierdzy przed wyznaczoną godziną, by zdążyć przebrać się w mundur więziennego strażnika. Kiedy dyrektor wprowadzał do rozmównicy Guilberta Brochelino, inspektor tkwił już na miejscu. Pozostali obaj za kratkami, ale Morais usiadł tak, że mógł widzieć i słyszeć gościa i więz-

nia. Mrugnął uspokajająco do Wenera, najwyraźniej bardzo zdenerwowanego. Po chwili zostali sami.

Szczupły, wysoki i lekko przygarbiony Włoch rozglądał się po brudnej, pustej sali. Na delikatnej, bladej twarzy tylko ciemne oczy wykazywały wyraźniejsze oznaki życia i sprawiały dość sympatyczne wrażenie. Skromnie ubrany, z aktówką w rękę, Guilbert niepewnym krokiem podchodził do kraty, patrząc Wenerowi prosto w oczy. Ukłonił się lekko na powitanie i odezwał ciepłym, ściszym głosem.

— W jakim języku najlepiej się porozumiemy?

— Może pan wybrać ten, który panu najbardziej odpowiada. Ja mówię po angielsku, francusku, a także włosku — odpowiedział Wener opanowawszy zdenerwowanie. Gość zrobił na nim miłe wrażenie i nie okazywał ani nienawiści, ani nawet niechęci

Guilbert usiadł, wyjął z aktówki notatnik i rzekł:

—Pozwolono mi zadać panu kilka pytań i odpowiedzieć na ewentualne pańskie zapytania. Zacznę jednak od zapewnienia, że nie uważam pana za zabójcę Madeleine i proszę, aby pan o tym pamiętał w czasie naszej krótkiej rozmowy. — Rzucił krótkie, nerwowe spojrzenie na „strażnika" siedzącego na taborecie z ołówkiem i notesem w rękę. —Zamierza pan notować? — zdziwił się.

Morais burknął nie podnosząc wzroku:

— Takie dostałem polecenie. Będę też interweniować, jeżeli rozmowa zajdzie na tematy niedozwolone.

Guilbert wzruszył ramionami, zastanowił się chwilę i spytał Wenera stojącego tuż obok kraty:

— Jak długo był pan zaprzyjaźniony z Madeleine?

— Od chwili poznania do rozstania upłynęło dokładnie siedem miesięcy.

— Doszło między wami do intymnych związków?

— Tak... naturalnie, że doszło.

— Widział pan mojego brata, Alaina, na sali sądowej; czy znaliście się wcześniej?

— Nie.

— Madeleine nigdy nie wspomniała panu o Alainie?

— Przypominam sobie, że krótko przed naszym rozstaniem opowiadała mi, że poznała przystojnego Włocha, bardzo bogatego, który ją adoruje. Był dla niej za młody, ale dokładnie w jej typie... Mam mówić dalej?

— Oczywiście. Po to tu jestem.

— Wymieniła imię Alaina i dlatego bardzo się zdziwiłem, kiedy dowiedziałem się, że wyszła nie za niego, ale za Guilberta Brochelino.

— Co pan robił w Monfalcone w dniu zabójstwa?

Przez chwilę Werner zawahał się, ale przypomniał sobie, co mówił mu Mo-rais, więc odpowiedział:

— Na ten temat nie mam nic do dodania prócz tego, co znajduje się w aktach sądowych.

— Czytałem je. Spytałem zatem inaczej: czy zamierzał pan spotkać się z Madeleine?.

— W żadnym wypadku.

— Ale pan wiedział, że ona mieszka w zamku?

— Wiedziałem jedynie, że rodzina aktualnie tam przebywa.

— A że ja jestem w Ameryce?

— Nie wiedziałem.

— Jak zachowałby się pan, gdyby doszło do spotkania z Madeleine w parku?

— W zależności od tego, jak zachowałaby się ona.

— Czy pańska obecność w parku była zupełnie przypadkowa? Mam na myśli, czy zajrzał pan tam z zwykłej ciekawości.

— Tak można by powiedzieć. Podróżowałem po Włoszech jako turysta.

— Dlaczego zostawił pan samochód w miasteczku?

— Była piękna pogoda i postanowiłem wybrać się na pieszą wycieczkę.

— Brama parkowa była otwarta czy zamknięta?

— Jedno skrzydło było zamknięte, ale drugie nie. Byłem przekonany, że można zwiedzać park.

— Słyszał pan strzał?

— Nie.

— Z ustaleń policji wynika jednak, że śmierć Madeleine nastąpiła w chwili, gdy pan przebywał w parku. Jak wytłumaczyć to, że pan nie słyszał strzału, mimo że zwłoki znaleziono w pobliżu miejsca, w którym pana zatrzymano?

— Już się nad tym zastanawiałem i gdybym znał odpowiedź, na pewno nie siedziałbym teraz w twierdzy.

— Chciałbym jednak usłyszeć, jak pan sobie to tłumaczy? — nalegał Gilbert.

— Moja szczerą odpowiedź byłaby dla pana zbyt bolesna.

— Nie szkodzi. Proszę odpowiedzieć.

— Przypuszczam, że Madeleine zamordowano w innym miejscu, a zwłoki przeniesiono do parku. Mogła zostać otruta, a potem ktoś wystrzelił do niej z broni z tłumikiem.

— Dlaczego nie powiedział pan tego podczas rozprawy?

— Adwokat uznał, że nie powinienem. Podejrzenie takie było sprzeczne z orzeczeniem biegłych, a ze względu na powszechny szacunek otaczający rodzinę Brochelino, rzucanie podejrzeń na jej członków mogło tylko pogorszyć moją sytuację.

— Ten pański adwokat to dureń! Ja w pewnym sensie dzielam pańską wersję i dlatego tu przyjechałem. Rozumie pan?

— Wielki Boże! — Werner uniósł skute kajdankami ręce i zasłonił nimi twarz. — Pan wie, jak to wyznanie mną wstrząsnęło? *Signore*, niech mi pan pomoże! Pan sam powiedział, że jestem niewinny!

„Strażnik" Morais groźnie zastukał ołówkiem w blat i mruknął południowym dialektem:

— Proszę odpowiadać na pytania, a nie odgrywać mi tu teatru.

Obaj zamilkli. Guilbert zadał kolejne pytanie:

— Wiedział pan, że w rok po ślubie Madeleine urodziła dziecko?

— Słyszałem o tym dopiero w czasie procesu.

— Proszę mi powiedzieć, co wtedy mówiono.

— Niewiele. Pański syn i jego opiekunka zginęli w wypadku samochodowym. Alain wprawdzie prowadził, ale nie był winien wypadku, gdyż zajechał mu drogę wóz z sianem.

— Taką wersję podała też prasa — odparł spokojnie Guilbert, a Morais nie mógł się oprzeć, żeby nie spojrzeć na niego. — W sądzie widział pan także moją matkę. Znał ją pan wcześniej? A może Madeleine ją panu przedstawiła?

— Nie.

— Ma pan krewnych w Monachium?

Morais nastawił ucha, gdy usłyszał to pytanie.

— Tak. Niezameżna siostra mojego ojca, Linda Helmerding, mieszka w Monachium i prowadzi dom, który utrzymuję, gdyż prowadzę interesy także w południowych Niemczech,

— Jak pan wytłumaczy to, że moja matka próbowała odwiedzić pańską ciotkę? — Inspektorowi wypadł z ręki ołówek. Zgiął się pojękując, ale ani Guilbert, ani coraz bardziej zdenerwowany Werner nie zwrócili na niego uwagi.

— Nie znajduję oczywiście żadnego wytłumaczenia. Wiem tylko, że do-tychczas moja ciotka nie miała nic wspólnego z tą sprawą.

— Tak też pozostanie — rzekł Guilbert, ale Morais uśmiechnął się w duchu na myśl, że ciotka już jest w Monfalcone. — Nie muszę pana zapewniać — ciągnął Guilbert — że zrobię wszystko, żeby ustalić, kto naprawdę zamordował moją żonę, ale w tej chwili nie mogę jeszcze panu powiedzieć, dlaczego mi na tym zależy. Nasz czas się kończy, pozwoli więc pan, że ewentualne dalsze pytania

przyśle panu za pośrednictwem dyrekcji więzienia. Proszę się nie załamywać i życzyć mi powodzenia, bo mój sukces oznaczać będzie dla pana wyjście na wolność.

Uklonił się z szacunkiem. Werner zrobił to samo, a po chwili wszedł strażnik i wyprowadził go.

W szarej, chłodnej sali zrobiło się dziwnie cicho. Guilbert zapiął płaszcz, jakby nagle ogarnął go chłód, popatrzył na kraty i na głupią minę „strażnika”, który zwinąwszy ostentacyjnie swoje papiery, powłókł się do drugich drzwi. Zastukał, a gdy mu otworzono, wyszedł.

Guilbert wstąpił jeszcze do gabinetu dyrektora, który z niecierpliwością czekał na koniec wizyty.

— Muszę pana upomnieć, że znacznie przekroczył pan czas przewidziany w zezwoleniu. Jest pan przynajmniej zadowolony z rozmowy?

— Całkowicie. Sam się pan przekona, skoro kazał pan stenografować. Jeżeli wolno mi panu radzić, to proszę traktować tego więźnia jak najłagodniej, bo ten człowiek siedzi tutaj niewinnie. Zrobię wszystko, żeby go stąd wyciągnąć. Leży to oczywiście także w moim własnym interesie.

Guilbert uklonił się zaskoczonemu dyrektorowi i bez pożegnania wyszedł z biura prosto do rozklekotanej taksówki czekającej przed bramą twierdzy.

Dyrektor spojrzał z wyrzutem na drapiącego się po zwisającym podbródku i uśmiechniętego detektywa.

— Człowieku, ja chyba przez pana zwariuję! Czym pan mnie jeszcze zaskoczy?

— Powtórzę tylko dobrą radę pana Brochelino, żeby jak najlepiej traktować więźnia Helmerdinga, dopóki będzie miał wątpliwą przyjemność gościć w pańskim obskurnym pensjonacie.

Dyrektor zburzył swoją rzadką czuprynę.

— Jak długo pracuję, podobnego przypadku jeszcze nie miałem. To niszczy mi cały porządek, łamie wszystkie regulaminy...

— Poradzi pan sobie. Proszę tylko nie zapomnieć o pantoflach i mydle, no i oczywiście o dobrym traktowaniu. Na pewno w niebie zostanie to panu policzone — uśmiechnął się Morais wyciągając rękę do dyrektora. Otworzył swoją sfatygowaną walizkę i po chwili stał już ze skrzyżowanymi rękoma w brązowym więziennym uniformie: w spodniach ze zbyt szerokimi nogawkami i bluzie bez wyraźnego kształtu.

— Teraz proszę założyć mi jeszcze bransoletkę i łaskawie odprawić na stały ład. Spieszno mi opuścić Elbę, podobnie jak mojemu wielkiemu rodakowi, z tym że na niego czekała świeżo wypolerowana cesarska korona i gwardia honorowa, a na mnie co najwyżej ukrywający się przestępca.

— Że też się panu jeszcze chce żartować!

— Dyrektorze, Napoleon brał wyjazd stąd poważnie i źle się to dla niego skończyło! Wolę więc podejść do tej sprawy inaczej. No, jeszcze tylko okulary i godzinka w blaszanej i niezbyt sympatycznie pachnącej toalecie. *A propos*, gdyby kiedyś przyszła komuś ochota zwiać stamtąd, to nic łatwiejszego. Tylina ścianka jest zupełnie przerdzewiała. Przekazuję panu tę informację zupełnie za darmo, dlatego że był pan dla mnie wyjątkowo cierpliwy i łaskawy dla Helmerdinga — uśmiechnął się Morais.

Dyrektor zadzwonił i natychmiast zjawił się strażnik, któremu polecił odwieźć grubego skazańca do aresztu w Piombino.

Kiedy później dyrektor i Morais spotkali się na kolacji u Rosity, śmiali się do rozpuku wspominając przedstawienie, jakie urządzili w twierdzy.

VI

W zamku Monfalcone panowała nie najlepsza atmosfera. Z Monachium Estella wróciła w kiepskim nastroju, a nawet nie miała komu się wyżalić, bo Alain wciąż przebywał w Paryżu. Ledwie trochę odetchnęła, zjawił się lokaj, Piętro, i zameldował, że kucharka ciężko zachorowała i trzeba było ją zwolnić, ale zgłosiła się już nowa, nieco starsza, ale wzbudzająca zaufanie, więc przyszedł spytać, czy ją przyjąć.

— Tak, do diabła! Po co zawracasz mi głowę? Kiedy mój syn wyjechał?

— Panicz Guilbert czy Alain, *signora!*

— To Guilbert także wyjechał?

— Na krótko i zabrał tylko starego Józefa. Pan Alain wpadł na chwilę dwa dni temu i znowu odjechał samochodem.

— No dobrze. Coś jeszcze?

— Panna Steffens chciałaby z panią rozmawiać. Ma kłopot, bo wynikły jakieś problemy z robotnikami i nie można skończyć robót w terminie.

— Mój Boże, a co mnie to wszystko obchodzi? Niech poczeka, aż panowie robotnicy łaskawie zechcą zabrać się do pracy albo aż wrócą moi synowie, bo przebudowa zamku to ich pomysł.

— Robotnicy są, proszę pani. Pracują już na piętrze, ale jest ich chyba za mało. Panna Steffens też przyjęła sobie kogoś do pomocy.

— Niech robi, co chce. Proszę mi przynieść herbaty. Gdzie właściwie podziała się Luisa?

— Zdaje się, że jest na dole i prasuje.

— Ma tu natychmiast przyjść! — warknęła pokazując lokajowi drzwi swoimi długimi i kościstymi palcami.

Przemierzała salon tam i z powrotem. Złościła się na Alaina, że nie poczekał na wynik jej wizyty w Monachium, To, że Guilbert wyjechał, nie interesowało jej wcale. Mój Boże, jak tu nie zwariować, zanim Alain nie wróci?

Usiadła przy biurku, popatrzyła na stos korespondencji i niedbale przerzuciła listy. Nie zważała, że niektóre spadały na podłogę. Dopiero sztywna, duża koperta z Paryża przykuła jej uwagę. A to co? Latour, jej dawny krawiec, przypomniał sobie o niej nagle? Hm, pokaz mody dla dojrzałych pań... nie najgorszy pomysł. Byłaby okazja wyrwać się do Paryża, a także spotkać Alaina i czym prędzej z nim porozmawiać.

Kiedy w drzwiach stanęła, nie zapukawszy wcześniej stara pokojówka, Estella warknęła:

— Gdzie się włóczysz? Nie słyszałaś, że już wróciłam?

— Gdybym słyszała, to bym tu była. Przyniosłam herbatę. Co tam w Monachium, udało się?

— Nie, a poza tym to nie twoja sprawa. Nalej herbaty, bo chce mi się pić. Alain nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości?

— Na pewno bym nie zwlekała, gdyby kazał mi coś przekazać — burknęła Luisa zbierając porozrzucane po pokoju rzeczy.

— Zostaw to. 'Jeszcze dziś wyjeżdżam do Paryża, więc przygotuj mi obie walizki.

— Ja też jadę?

— A co, mam się ubierać sama? Zdarzyło się w zamku coś, co powinnam wiedzieć?

— Kucharka zaniemogła i musiała odejść, ale Pietro wszystko załatwił; przyjął już nową. Ta zrozumiała dziewczucha, architekt wewnątrz, też mi zawód dla kobiety! ma jakiś kłopot z robotnikami. Pietro chyba pani mówił, że od wczoraj panna Steffens ma pomocnika. Smarkule, która do wszystkiego wtyka nos i wszędzie jej pełno.

— Mam nadzieję, że pilnujesz, aby nikt nie zaglądał do pokoi Madeleine? — zaniepokoiła się Estella.

— Oczywiście. Ta architektka nie ma tam nic do szukania. Jest zajęta w przybudówce, gdzie jutro mają zacząć elektrycy...

— Co mnie to obchodzi? Po jakie licho nam to potrzebne po tej całej katastrofie.

— Katastrofie? — zdziwiła się Luisa nie patrząc na Estellę. — Guilbert także wyjechał.

— Wiesz przynajmniej dokąd?

— Od tego starego zrzędy, Józefa, dowiedziałam się tylko, że pan chce zająć się starym domem w Piemencie.

— Jak długo zamierza tam zostać?

— Mnie się o tym nie informuje. Pani też nie raczyła powiedzieć, ile czasu spędzimy w Paryżu — uśmiechnęła się złośliwie.

Estella huknęła pięścią w biurko i obrzuciła pokojówkę wściekłym spojrzeniem.

— Nie zapominaj, z kim rozmawiasz! Jeszcze raz odezwiesz się takim tonem, a wyrzucę cię na zbity pysk.

— Och, naprawdę? Radziłabym się zastanowić. To na ile dni wyjeżdżamy w końcu?

— Najwyżej trzy, cztery. Powiedz, żeby Giulio przygotował samochód, bo niebawem ruszamy.

— Panna Steffens prosiła o rozmowę. Chodzi zdaje się o urządzenie pani sypialni.

— Ta dziewczyna zaczyna mnie denerwować! Niech przyjdzie do saloniku na górze, bo i tak nie da mi spokoju.

Gdyby zobaczyła grymas, jaki Luisa zrobiła za jej plecami, na pewno wymierzyłaby jej policzek, nie po raz pierwszy zresztą.

W białym, a raczej już nie białym, bo poplamionym farbą i kurzem fartuchu, Ingrid krzątała się po nowo dobudowanym skrzydle zamku. Fartuch Gusti na pierwszy rzut oka wydawał się na nią za duży. Gdyby mu się lepiej przyjrzeć, byłoby widać obcięte nożyczkami mankiety rękawów. Ingrid była trochę wyższa od Gusti. Pomocnica nie odstępowała swojej mistrzyni na krok, obserwowała każdy jej ruch, a w razie potrzeby podawała miarę lub wyciągała z przepastnych kie-

szeni kartki z wykazem materiałów lub potrzebnymi wymiarami. Starła się chociaż w ten sposób być przydatna, bo ojej umiejętnościach fachowych nie warto wspominać.

Od pierwszej chwili pobytu w Monfalcone Gusti miała oczy i uszy szeroko otwarte na wszystko, co działo się w zamku i w okolicy. Każdym spostrzeżeniem dzieliła się z Ingrid, gdy wieczorem spotykały się w hoteliku. Spisywały notatki, by przekazać je panu Morais, który za kilka dni miał zgłosić się do pracy w zamku w charakterze elektryka.

Ingrid przynajmniej nie musiała niczego udawać. Termin zakończenia prac zaczął się niezrozumiale przesuwac. Robotnicy od kilku dni, objali się, co najmniej kilku nie przychodziło w ogóle. Świeżo wytynkowane ściany za nic w świecie nie chciały szybciej schnąć.

Powodów do zdenerwowania miała pani architekt aż nadto. Kręcąc się po zamku często spotykała Alaina. Okazał się całkiem sympatycznym rozmówcą, a przy tym niezłym znawcą sztuki, wiedział, co dzieje się w kulturze. Posiadał poza tym niezwykle wprost talent kopiowania, cóż, skoro nie wykorzystany. We wszystkim, co robił, jak chodził, palił papierosy, Ingrid dostrzegając ją nonszalancję czy raczej lenistwo. W innej sytuacji na pewno by mu to wygarnęła.

Podczas prezentacji Gusti Alain zmrużył swoje piękne oczy i oszacował młodą Niemkę jak towar, który nie wzbudził w nim szczególnego zainteresowania.

— Lepszego pomocnika pani nie znalazła? Nie wygląda na zbyt inteligentną, ale podawania gwoździ można nauczyć nawet psa.

Po takim komentarzu Alain zyskał sobie w Gusti śmiertelnego wroga. Niezbyt inteligentna! Wbijac gwoździ wprawdzie nie potrafi (zawsze trafia młotkiem w palec) ale z inteligencją nie ma to akurat nic wspólnego. Jeszcze się przekonasz, małpiszonie — pomyślała patrząc mu śmiało w oczy jak bestii w klatce: z podziwem dla piękna i z respektem przed drapieżnością.

— Myślę, *signore*, że dzięki tej małej jakoś uporam się z terminem, który niebezpiecznie się zbliża. Ciagle brakuje kogoś z robotników. (Była to oczywiście sprawka pana Morais). Poza tym nowe tynki nie wysychają, choć cały dzień

i noc okna są pootwierane na ościerz. Nie możemy przecież położyć cennych tkanin na mokre ściany.

— *Mon dieu*, przecież nikt nas nie pogania!

— *Pardon*, pan może nie, ale ja już podpisałam nowy kontrakt i muszę go zrealizować we wrześniu. Z tego żyję.

— Podniesie pani honorarium i z głowy! Skoro mama i Guilbert chcą mieć robotę skończoną na czas, niech płacą! — zaśmiał się złośliwie. — Mnie to mało obchodzi. Wyjeżdżam jutro do Paryża. Nie mam ochoty czekać, aż mama wróci. Może mógłbym coś załatwić?

— Oczywiście! Świetnie się składa, bo potrzebuję jeszcze sześć metrów tego brokatu. Drogo, ale co ja na to poradzę?

— Nie będą to też moje pieniądze — odpowiedział. — Coś jeszcze?

— Trzeba by zamówić frędzle do kluczy w kolorze pasującym do wystroju. Sześć sztuk do tego pokoju i z tuzin do sypialni pani Estelli. — Ingrid przeglądała notatnik nie patrząc na Alaina.

— Załatwione. Spróbuję wszystko to przywieźć. Mam nadzieję, że nie będzie się pani nudzić sama w zamku. Mamy jeszcze nie ma, a Guilbert wyjechał do naszej obskurnej rezydencji w Piemencie, gdzie mnie nie zaciągnięto by nawet dziesięcioma parami białych rumaków.

— Czemu akurat białych?

— Bo to kolor niewinności, złotko!

— Nie rozumiem więc, czemu wbrew życzeniom szanownej pani matki upierał się pan przy szkarłacie, gdy decydowaliśmy o wystroju jadalni? — zdziwiła się Ingrid, zapalając papierosa, którym ją poczęstował. Spojrzała na Gusti, stojącą obok bezczynnie, i rzekła: — Pozbieraj, proszę, te złocone listwy, bo jak zjawią się robotnicy, to nam je podepczą.

Alain tymczasem zmrużył oczy i szepnął:

— Szkarłat, kolor krwi, jest równie fascynujący, co biel symbolizująca niewinność. Coś jeszcze mogę dla pani zrobić?

— Prócz pudełka słodczy ze sklepu przy rue de Rivoli, w którym byliśmy razem, nic więcej nie zamawiam.

— To dobrze. Tej małej też kupię bombonierę. Widzę, że smarkula boczy się na mnie, a nie lubię takich sytuacji — rzekł kłaniając się Ingrid. Poszturchując zgiętą Gusti w plecy laseczką, z którą nigdy się nie rozstawał, spytał: — Dlaczego mnie pani nie lubi? Zresztą, może pani nie odpowiadać, bo za chwilę i tak o pani zapomnę.

Wyszedł. Ingrid popatrzyła na Gusti nieco zakłopotana.

— Co za nieznośny bufon! — burknęła i podeszła do drzwi zabrudzonych jeszcze zaprawą. Wyjrzała na korytarz i zobaczyła przechodzącą w pobliżu ubraną na czarno grubą pokojówkę pani Estelli.

— Panno Luiso, mogłabym panią prosić na chwilę? — zawołała.

Grubaska natychmiast wtoczyła się do pokoju i rozejrzała się dookoła rozbieranymi oczyma.

— Mój Boże, ale tu jeszcze bałagan! — skomentowała. — A co mogę dla pani zrobić, *signorina!*

— Gdyby pani była tak miła i przyniosła trochę herbaty dla dwóch spragnionych kobiet... Kurz jest tu okropny.

— Tylko herbatę? A może coś do jedzenia?

— Dziękuję, wystarczy herbata. Jak pani myśli, panno Luiso, kiedy ci robotnicy wrócą do pracy? Zostało jeszcze tyle do zrobienia.

— Trzeba ich zwolnić i wziąć Szwajcarów. Moi rodacy pracują szybciej i lepiej.

— Ja, niestety, o tym nie decyduję. Chciałabym koniecznie porozmawiać z panią Brochelino, nawet dzisiaj, gdyby to było możliwe.

— *Signora* wyjechała do Niemiec i wróci za dwa dni.

— Bardzo panią proszę o umówienie mnie z nią, gdy tylko wróci. Musimy omówić szczegóły urządzenia sypialni.

Ingrid starała się być miła dla grubaski, a obserwując jej rozbiegane oczka, pokiwała głową. Niesympatyczne babsko — pomyślała. — Jakim cudem dumna i dystygowana Estella toleruje przy sobie taką pokojówkę?

Dwa dni wcześniej Ingrid i Gusti wyszły wieczorem na spacer do parku i niespodziewanie spotkały tam Guilberta. Przywitał się uprzejmie i przez chwilę rozmawiali o błahostkach, ale i tym razem zrobił na Ingrid dobre wrażenie. Przechodzili w pobliżu pawilonu, w którym mieszkał, więc zaproponował, aby usiąść na tarasie i napić się czegoś. Ingrid nie rezygnowała z żadnej okazji, aby lepiej poznać Guilberta i dowiedzieć się czegoś, co pozwoliłoby wyrwać z więzienia człowieka, którego kochała z całej duszy. Bez wahania przyjęła zaproszenie i ciągnąc za sobą Gusti z uśmiechem weszła z Guilbertem na taras. Po chwili siwowłosy lokaj przyniósł wszystko, co zostało zamówione.

Papierosy, sherry i taca słodczy znalazły się na stole, gdy tylko usiedli w wiklinowych fotelach wyłożonych miękkimi poduszkami, Ingrid rozejrzała się dookoła i spytała:

— Dlaczego mieszka pan w parkowym pawilonie, kiedy w zamku jest tyle wygodnie urządzonej pokoi?

Guilbert, obracając w palcach papierosa, podniósł na nią smutne i zmęczone oczy.

— Być może te pokoje są dla mnie za duże... być może czekam na te, które pani tak wspaniale urządza. Poza tym czuję się tu ze starym Józefem całkiem dobrze. Gwar panujący w zamku nie specjalnie mi odpowiada.

Ingrid zastanawiała się, o co jeszcze spytać. Gorączkowo myślała wybierając długo ciastko.

— Wyobrażam sobie, w zamku zbyt wiele rzeczy przypomina panu zmarłą tragicznie żonę.

— Na pewno nie. Jestem za stary, żeby bawić się w sentymenty, panno Steffens. Z żoną nie czułem się aż tak bardzo związany, żeby robić tragedię z tego, co tu się wydarzyło.

Ingrid aż zaniemówiła z wrażenia, ale temat ten niezwykle ją interesował, więc nerwowo zastanawiała się, jak go podtrzymać.

— Przepraszam, ale skoro zaczął pan o tym mówić, chciałam spytać, czy zgadza się pan z wersją przebiegu wypadków przyjętą przez sąd w Turynie?

— Panią interesują takie szczegóły?

— Oczywiście. Morderstwa dokonano przecież w czasie mojego pobytu w Monfalcone, chociaż owego dnia byłam akurat w Paryżu. Dlatego nie byłam przesłuchiwana. Dwa razy poszłam na rozprawę, pan Alain załatwił mi wejściówki dó sądu. Zobaczyłam tego, powiedzmy, zabójcę. Prawdę mówiąc wcale mi na takiego nie wygląda.

— Też tak sędzę — odpowiedział spokojnie. Ingrid popatrzyła nt niego tak, jakby oczekiwała wyjaśnień. Gusti zacisnęła mocno pięści, a: do bólu, by przypadkiem nie wyrwać się z jakąś niestosowną uwagą — Niech pani tak na mnie nie patrzy, panno Steffens. Ja naprawdę nie wierzę, że ten człowiek zamordował Madeleine.

— W takim razie, na Boga, kto to zrobił? Kto pozwolił, aby do więzienia trafił niewinny człowiek? — Ingrid z trudem panowała nad wzruszeniem.

Guilbert, jakby chcąc zakończyć temat, westchnął i rzekł:

— Pewnego dnia prawda wyjdzie na jaw, co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

— Ale co dalej? Co z tym człowiekiem, który teraz cierpi w więzieniu? Ma złamane życie, zrujnowane zdrowie...

— Współczucie to bardzo szlachetna cecha, ale niech się pani nie martwi, panno Steffens, ten człowiek na pewno nie będzie siedział osiem lat w więzieniu. Pomówmy"raczej o czymś przyjemniejszym. Chciałbym

> pani zadać pytanie, które nurtuje mnie od dawna: czy dobudowana część zamku mogłaby stać samodzielnie, gdyby starą trzeba było wyburzyć?

Czyżby w tym pytaniu kryła się odpowiedź, której Ingrid szukała? Po co właściwie dobudowywano do ogromnego zamku nowe skrzydło? Jako architektka wewnątrz wcale ją to nie obchodziło. Zlecono jej określone prace, otrzymała za nie zapłatę, a po co ktoś zleca, to już jego sprawa. Tak przynajmniej myślała przy

podpisywaniu kontraktu. Teraz jednak próbowała znaleźć jakąś odpowiedź, choć właściwie należałoby pytanie zadać budowniczemu, a nie architektowi wewnątrz.

— Moim zdaniem taka możliwość istnieje. Granicą wyburzenia powinna jednak pozostać stara okrągła wieża. Poza tym stary zamek jest w bardzo dobrym stanie i nie bardzo rozumiem, po co miano by go wyburzać.

— Tak tylko sobie pomyślałem. Trzeba jednak brać pod uwagę wszystkie możliwości, bo nigdy nie wiadomo, kto w przyszłości będzie mieszkać w Monfalcone. Zamek ma zresztą dość burzliwe dzieje. Wznoszono go w czasach, kiedy tereny te należały do Francji. Za panowania Ludwika XVI i podczas rewolucji w tej okolicy osiedliła się spora grupa francuskiej arystokracji, wśród nich także moi pradziadowie, którzy wtedy jeszcze nazywali się de Brochelin. Po zmianie nazwiska na Brochelino ich prawa szlacheckie zostały potwierdzone przez Ludwika XVIII w czasie jego krótkiego panowania, ale Włochami pozostaliśmy już na zawsze.

— To ciekawe. Ale, jak mówił mi pan Alain, wasza matka jest z pochodzenia Francuzką.

— Tak, z krwi i kości. W rezultacie my, synowie, sami naprawdę nie wiemy, kim jesteśmy. Widzę, że panią nudzi już ta rozmowa, nieprawdaż, panienko? — zwrócił się do Gusti, która natychmiast cała stanęła w pąsach. Uśmiechnęła się jednak i rzekła:

— Czuję się trochę jak pisklę, które wpadło do nie swojego gniazda, ale skoro panna Steffens poprosiła mnie o pomoc, to chętnie skorzystałam, bo przy niej na pewno wiele się nauczę. Historia zaś nigdy nie była moim ulubionym przedmiotem i tych wszystkich Napoleonów i Ludwików ciągle myślę.

Ingrid wstała, wyciągnęła rękę do Guilberta i rzekła:

— Pan wybaczy, ale zmęczenie daje mi się we znaki. Do pracy muszę wstać wcześniej rano, więc czas już do łóżka. Dziękuję za przemiły wieczór. Sherry była wspaniała, a papierosy smakowały mi wyśmienicie.

— Brazylijskie. Podaruję pani paczkę. Dla siebie skręcam je sam, ale tytoń w pakowanych fabrycznie jest identyczny.

— Dziękuję bardzo. Idziemy, mała, bo już masz oczka malutkie jak główka szpilki. Życzymy panu dobrej nocy, *signore*.

— Ja również. Dla mnie ta noc będzie co prawda jeszcze krótsza, bo przed świtem muszę wyjechać do Piombino. Mam tam w okolicy coś do załatwienia.

Na dźwięk nazwy portu w pobliżu Elby pod Ingrid ugięły się nogi. Wiedziała od inspektora Morais, że jedynie stamtąd można dostać się na wyspę, gdzie przetrzymywano najgroźniejszych skazańców. Odeszła szybko, by nie zdradzić się zdenerwowaniem.

Później, kiedy siedziały w hotelowym pokoiku, omawiały słowo po słowie całą rozmowę z Guilbertem.

— Wiesz, Gusti, bardzo bym chciała, żeby pan Morais już tu był. Mam wrażenie, że siedzimy na beczce dynamitu. Coś tu nie gra, a cała rodzina skrzętnie ukrywa jakąś tajemnicę i wszyscy traktują się wzajemnie jak najzagorzalsi wrogowie. Tymczasem Werner cierpi za jednego z nich zupełnie niewinnie! — szepnęła Ingrid bliska płaczu. Gusti pogłaskała ją po rękę.

— Płakać nie wolno! Jeżeli wszyscy pomożemy inspektorowi Morais, to nie ma siły, żeby czegoś nie wymyślił, by doprowadzić do wznowienia procesu. Mama opowiadała mi, że nie słyszała, aby sprawa, którą zajął się Morais, nie skończyła się pomyślnie. Dlaczego w przypadku Wenera miałoby być inaczej? Na pewno tym razem też szczęście go nie opuści. Chodźmy teraz do hotelu, gdzie zatrzymała się ciotka Wenera, która pojutrze zacznie pracę jako nowa kucharka w zamku, przypuszczam, że nie ma ochoty siedzieć samotnie w hotelu.

— Dobry pomysł! Rzeczywiście nie powinnam wątpić w sukces inspektora. Pozostał moją jedyną nadzieją. Nie uważasz, że to, co powiedział Guilbert, jest niesamowite?

— Niewątpliwie. Musiało to być dziwne małżeństwo. Dziwne też stosunki panują w tej rodzinie.

Inspektor Morais celowo umieścił ciotkę Lindę w innym hoteliku. Gdy Ingrid i Gusti zapukały do jej drzwi, wcale nie wyglądała na znudzoną i osamotnioną. Robiła jakąś misterną koronkę. Ujrzawszy dziewczęta w progu, roześmiała się i zawołała:

— No co tam, rybeńki?

— Och, ciociu Lindo, mamy tyle ważnych rzeczy do opowiedzenia!

— Przestańcie mówić do mnie ciociu, skoro od jutra mam być kucharką w zamku. Jak któraś z was się pomyli, ten gruby Morais pourywa nam wszystkim głowy. Ale co za nowiny przynosicie? Złapano prawdziwego mordercę? Jeśli nie, to żadna inna nowina mnie nie zadowoli.

— Jeszcze go nie mamy, pani Lindo, ale proszę posłuchać, co o tym wszystkim sądzi Guilbert. — Ingrid opowiedziała jej o dziwnej rozmowie.

— To ci dopiero rodzinka! Stara już wróciła?

— Przyjedzie podobno jutro.

— To znaczy, że od jutra zacznę służbę. Powiedz mi, dziecko, jak wygląda kuchnia w tym dziwnym zamczysku?

— Boję się, droga pani Lindo, że wygląda kiepsko i raczej się pani nie będzie podobała.

— Dla ilu właściwie osób mam gotować? Wiecie, z małymi porcjami to sobie jakoś radzę, ale z posiłkami dla wielu osób nie mam żadnego doświadczenia.

— Na razie nie ma nikogo. Alain jest w Paryżu, a dla służby gotuje inna kucharka.

— Trudno, zdecydowałam się na tę komedię dla Wenera i jakoś będę musiała wybrnąć. Wam chyba też zbytnio nie wychodzą role szpicli w obcym domu, co?

— Ciociu, ja dziś dwa razy uderzyłam się młotkiem w palec, gdy usiłowałam udawać tapicera, a ciężką drabinę postawiłam sobie na wielkim palcu u nogi!

— Do wesela na pewno się zagoi, moje dziecko. Musimy się modlić rano i wieczorem, bo tylko Bóg może sprawić cud i wydostać Wenera z opalów.

Ingrid objęła ją czule i rzekła załamującym się głosem:

— Ja, ciociu, modłę się całymi dniami i proszę Boga, by pomógł Wenerowi.

— Tak trzeba, drogie dziecko, a Bóg na pewno nas nie opuści... Podejdz no, żabko, do kredensu — dodała niespodziewanie patrząc na Gusti.

— Jak to: „żabko”?

— A nie jesteś nią? Coś tak ruchliwego, jak żywe srebro, aż się prosi, żeby nazwać je żabką.

— Wszyscy mi to mówią. Gdyby tu była moja mama, też by powiedziała: rusz, żabko, swoje długie nogi i podaj ciotce to, o co cię prosi. — Gusti zrobiła udreńczoną minę. — Po co żabka ma skoczyć do kredensu?

— Po pudełko czekoladek! Nas, kobiet, gdy się zdenerwujemy, nic tak nie uspokaja, jak trochę słodczy.

W milczeniu sięgały jedna po drugiej do pudełka.

— Chciałabym, żeby ten gruby Francuz już tu był. Bez niego czuję się zupełnie zagubiona — westchnęła Linda.

— Prawdę mówiąc, ja też. Czasami zupełnie nie wiem, co robić. Alain wyjechał z samego rana, więc mam go z głowy, ale jutro wraca *signora* i muszę z nią porozmawiać. Oficjalnie o urządzeniu jej sypialni, ale tak naprawdę chcę się dowiedzieć czegoś o niej. Jest równie zagadkowa, co Alain i pozostali członkowie tej niesamowitej rodziny. Wszyscy zachowują się dziwnie i nikt tak naprawdę nie żałuje zamordowanej, nikt nawet o niej nie wspomina, a jeżeli już, to z dystansem, chłodno, jakby o kimś obcym. Dlaczego akurat Wenera wplątano w ich intrygi? Naprawdę był to przypadek, że zjawił się w tej okolicy i miał taką samą broń, jak ta, z której strzelono Madeleine w plecy? Dlaczego akurat ja musiałam stracić mężczyznę, którego kocham z całego serca, j przez długie lata nie będę mogła go nawet zobaczyć?

— Nie lubię, jak rozpaczasz, drogie dziecko. Nie wolno ci płakać, ^zy nie mamy przy sobie pana Morais? Musimy mu pomagać. Patrzcie i słuchajcie, a cokolwiek wyda wam się dziwne albo podejrzane, natychmiast donoście naszemu sympatycznemu grubaskowi. Jak, właściwie chce się tu wkłęcić?

— Mówił, że jako elektryk, bó w ten sposób będzie miał dostęp do wszystkich pomieszczeń — wyjaśniła Ingrid opanowawszy już zdenerwowanie.

Siedziały do późnej nocy. Trzy kobiety, które nigdy by się pewnie nie spotkały, gdyby nie splot nieszczęśliwych wypadków.

Następnego dnia wieczorem Luisa zawiadomiła Ingrid, że *signora* może ją przyjąć. Aby jak najczęściej przebywać w zamku, pani architekt osobiście wykonywała prace, które normalnie zleciłaby robotnikom. Zdjęła roboczy fartuch, a

Gusti, rozglądającej się bezradnie po pustym pokoju, poleciała, aby jeszcze raz dokładnie wymierzyła okna.

Gusti, gdy tylko została sama, usiadła na parapecie i wyjęła z kieszeni kawałek czekolady. Patrząc na park" nagle zawołała:

— Ja chyba zwariuję! — Coś wysokiego, chudego i przypominającego sylwetkę Juliusza mignęło między drzewami.

Zagwizdała ze zdziwienia, wychyliła się przez okno i po chwili już patrzyła ukochanemu w oczy. Nie potrafiła ocenić, czy przygnała go tęsknota, czy też dzika, niepohamowana namiętność. Ześlizgnęła się z parapetu i na ciemnej podłodze napisała po niemiecku kawałkiem kredy: „Musiałam na chwilę wyjść. Zaczekaj, wracam”.

To wiadomość dla Ingrid, gdyby przypadkiem jej szukała. Wytarła umorusane kredą palce i bez chwili wahania wybiegła tylnym wyjściem. Zdyszana rzuciła się w ramiona Juliusza, obcałowując go jak zwariowana.

Pstryknął ją delikatnie w czubek nosa i uśmiechnięty od ucha do ucha spytał:

— Tak się za mną stęskniłaś, żabko? Kochasz mnie jeszcze?

— No nie wiem, mój drogi — zaśmiała się.

— Niewdzięcznico! Ja byłem pewien, że toniesz już we łzach z tęsknoty, a ty mówisz, że nie wiesz. I śmiejesz się!

— Myślisz, że zamiast serca mam fontannę pełną łez? Śmiech to zdrowie i pozwala zachować młodość, nie słyszałeś?

— Akurat ty musisz dbać o zachowanie młodości! Żabko, przywożę ci serdeczne pozdrowienia od mamy. Rozmawiałem z nią przez chwilę u Latoura. Czeka na *signorę* Brochelini, którą zaprosiła na pokaz mody.

— Jak tam mama?

— Gdy złapie paryskie powietrze, zawsze czuje się znakomicie. A tutaj co nowego?

— Człowieku, w głowie się nie mieści! Ciotka Linda pracuje dziś pierwszy dzień jako kucharka. Nie wiem, jak jej idzie, bo obie z Ingrid jemy w hotelu. Przedwczoraj Guilbert zaprosił nas do swojego pawilonu w parku, poczęstował

sherry i powiedział coś, w co na pewno nie uwierzysz. Ingrid wszystko zapisała, to się dowiesz. Mówię ci szczerze, prawie go polubiłam. Ma w sobie wiele ciepła i życzliwości. Wygląda na bardzo nieszczęśliwego.

— Dziwisz się? Po tym, co niedawno przeszedł. Ale Ingrid opowie mi resztę w spokoju. Gdzie ona się podziewa?

— Ta wstrętna pokojówka zaprowadziła ją do signory, która dziś wróciła z podróży do Niemiec. Ingrid udaje, że musi z nią omówić jakieś ważne szczegóły, ale w rzeczywistości chce ją przepytąć. Mówię ci, co za rodzinka! Okazało się, że Guilbert wcale nie wchodzi do zamku i nie odzywa się ani do matki, ani do brata!

— Tak samo mówił adwokat Wenera, który skontaktował się z Guilbertem, gdy ten wrócił z Ameryki Południowej. Spotkanie całej rodziny, w celu ustalenia sposobu poszukiwań prawdziwego mordercy, nie doszło do skutku. *Signora* orzekła autorytarnie, że morderca już siedzi w więzieniu, a piękny Alain odmówił spotkania z bratem w obecności prokuratora. Dziwni ci Bróchelini! Kiedy zjawi się tu Morais?

— Bóg jeden raczy wiedzieć! Ingrid z niecierpliwością wyczekuje go. by wreszcie poważnie zabrał się do roboty. Nie chodzi oczywiście o przebudowę zamku, ale o uwolnienie Wenera. Mój Boże, jak on się czuje w tym więzieniu? Musi mu być bardzo ciężko.

— Nie przesadzaj, żabko. W końcu także we włoskich więzieniach wyeliminowano średniowieczne metody. Tak czy inaczej, pobyt tam nie należy do najmiłszych przeżyć. Najgorsze, że jako cudzoziemcowi nie przysługuje mu prawo do przyjmowania odwiedzin. Jakim sposobem dotarł do niego Morais, sam Bóg tylko wie.

— Oby udało nam się coś dla niego zrobić. Zostaniesz na noc? To biegnij do hotelu i zarezerwuj sobie pokój.

— Zostanę, żabko, ale z samego rana muszę wyjechać stąd prosto do Bonn. Właściwie to zboczyłem trochę z trasy, żeby cię odwiedzić — szepnął, pocałował ją i dodał: — Jesteś coraz piękniejsza, szkrabie!

— Hm, miło mi to słyszeć — uszczypnęła go w policzek i szybko pobiegła do zamku.

W pustym pokoju na górze zastała Ingrid pochyloną nad jej napisem na podłodze. Usiadły obie na szerokim parapecie. Gusti opowiedziała o Juliuszu, potem Ingrid o swojej wizycie u Estelli Brochelino.

Luisa prowadziła Ingrid długimi korytarzami do prywatnych pokoi *signory* i nie przestawała paplać, myśląc pewnie, że sprawia dziewczynie tym przyjemność. Ta jednak odpowiadała zdawkowo lub półsłówkami.

— Przeszkadza to pani, że cały czas mówię? — spytała nagle szorstkim tonem gruba pokojówka.

— Och, bynajmniej, ale muszę zebrać myśli przed rozmową z panią Brochelino. Ktoś podał mi źle wymiary i prawdopodobnie tej pięknej antycznej szafy z salonu signory nie da się wepchnąć przez drzwi do jej nowej sypialni.

— Przejmuje się pani kapryсами tej dziwaczki? Można przecież wstawić tam inną szafę. W starym domu w Piemoncie stoi gratów na kopy.

Ingrid skrzywiła się, ale temat wydał jej się na tyle interesujący, że postanowiła go kontynuować.

— Myślałam, że stary dom nie nadaje się do zamieszkania.

— Też coś! To tylko szanowna pani grymasi i najchętniej pozostałaby w Paryżu, gdyby jej mąż na to pozwolił. On bardzo lubił stary dom w Biella. No, jesteśmy. Niech pani zaczeka sekundkę, zaraz panią zamelduję. — Luisa mrugnęła porozumiewawczo. Ingrid wolała nie narażać się nieobliczalnej pokojówce i niepotrzebnie nie zrażać ją do siebie.

Estella przyjęła Ingrid siedząc sztywno za biurkiem. Jak zawsze, tak i tym razem rozmawiała z nią po francusku:

— Ma pani do mnie jakąś sprawę? Proszę jednak mówić zwięźle, bo lada chwila wyjeżdżam do Paryża.

— Postaram się. Pokojówka już pewnie pani wspomniała, że podano mi złe wymiary, a pomyłka dotyczy głównie pomieszczeń przeznaczonych dla pani.

— To mnie nie obchodzi, moja droga. Pani jest architektem i jak mi się zdaje, bierze pani wysokie honorarium za całość zleconych robót.

— Owszem, ale murarz też bierze pieniądze, a roboty wykonuje niedbale. Gdyby nie popełnił błędu, nigdy bym do pani z tym nie przysłała. Chodzi głównie o to, że ta piękna szafa, zdaje się, że to ta, którą tu widzę, nie zmieści się w zaplanowanym miejscu.

— Musi się zmieścić i nie chcę słyszeć, że będzie to niemożliwe.

— W takim razie pozwoli pani, że sama zmierzę ją dokładnie, bo drzwi w części dobudowanej są węższe niż tutaj, na górze.

Ingrid podeszła do starej, rokokowej szafy i chwytając klucz próbowała otworzyć drzwi.

— Mogę? — spytała.

— Absolutnie nie! Co pani sobie wyobraża? — zawołała ochryłym ze zdenerwowania głosem Estella. Jednym susem podbiegła do Ingrid odpychając ją gwałtownym ruchem od szafy. — Drzwi się zacinają i trudno je zamknąć z powrotem. Nie korzystam z niej wcale, ale lubię zachwycać się pięknem tego starego mebla — dodała opanowawszy już zdenerwowanie.

Ingrid zapamiętała dokładnie każde słowo. Zwijając taśmę mierniczą, rzekła spokojnie:

— Obawiam się, *signora*, że szafę trzeba będzie wnieść przez drzwi balkonowe od strony tarasu. Innego wyjścia nie będzie. Prawdę mówiąc, inny mebel wyglądałby znacznie lepiej w nowocześnie urządzonej sypialni. Jeżeli pani zechce, mogę zaproponować inne rozwiązanie.

— Płacimy pani za robienie tego, co nam się podoba, to chyba jasne. Nie chcę na ten temat słyszeć już ani słowa więcej.

— Przepraszam, ale pan Alain, a także pan Guilbert zaaprobowali projekty, które im przedstawiłam i zlecili mi ich wykonanie. Pani specjalne życzenia zostały mi przekazane dopiero na miejscu i wszystkie zrealizowałam. Jedyne problem to ta szafa.

— To pani problem, a nie mój. Jak z niego wybrnąć, musi pani zdecydować sama.

— Oczywiście, *signora*.

— To wszystko, co pani chciała wiedzieć?

— Chciałabym jeszcze prosić, żeby pani zatrudniła więcej skorych do pracy robotników. Wielu w ogóle nie przychodzi, a z pozostałymi nie uda mi się dotrzymać terminu zakończenia robót.

— Wielkie nieba! To ja mam szukać pani robotników? Chce pani za darmo brać ciężkie pieniądze?

— Fachowców w tych stronach nie znajdę. Tapicerów nie ma wcale... Jedzie pani do Paryża. Tu jest adres dostawcy tkanin, więc niech pani go poprosi o przysłanie dwóch pracowników, którzy najlepiej wiedzą, jak położyć cenne tkaniny na ścianie i nie zniszczyć ich. Jakość wykonanych robót to już naprawdę nie mój interes, *signora*— zdenerwowała się Ingrid.

— No dobrze. Zobaczę, co da się zrobić. Jadę wprawdzie na ważny pokaz mody, ale... Gdzie jest ta firma? Och, przy rue Royale... na pewno znajdę minutkę, by tam zajrzeć. Coś jeszcze?

— Z resztą sobie poradzę. Dziękuję z góry za pomoc. — Ukłoniła się i już miała wyjść, gdy Estella rzekła:

— To niestychane, ale mój personel zaczyna zawodzić, co mi się nigdy nie zdarzało. Rozchorowała się kucharka, ale dzięki Bogu już znalazł się ktoś na jej miejsce. Nie cierpię zmian wśród służby. Mam nadzieję, że ta nowa potrafi ugotować czysty bulion i przyrządzić odpowiednio przyprawiony pasztet. — Estella nagle zmieniła ton, jakby chciała załagodzić wrażenie wywołane poprzednimi szorstkimi wypowiedziami. Ingrid natychmiast podjęła temat.

— Widziałam tę nową kucharkę. Na pierwszy rzut oka wygląda dość przyzwoicie. Powiedziano mi, że jest Francuzką.

— Nie wiedziałam, ale skoro tak, to mogę ze spokojem czekać na kolację. Nie zatrzymuję pani, moja droga, a z tą szafą, to myślę, że sobie Pani poradzi.

— Coś wymyślę. Życzę pani miłej podróży, *signora*. Pan Alain mówił mi, że też wyjeżdża do Paryża; przynajmniej nie będzie pani sama w tak dużym mieście.

— Sama? Od lat już bywam w Paryżu sama, bo moi synowie zawsze mają coś innego na głowie, niż opiekowanie się starą matką. Taki to los, gdy ma się dorosłe dzieci.

— Jest to o tyle bardziej przykre, że życie nie oszczędziło pani ostatnio ciężkich ciosów. Wybacz mi, że wspomnę tragiczną śmierć synowej — rzekła Ingrid nie spuszczać oka z Estelli, ale na jej pięknej twarzy, podobnej bardzo do Alaina, nie widać było śladu wzruszenia. Mimo to Estella sięgnęła po chusteczkę i przeciągnawszy nią po suchych oczach machnęła teatralnym gestem ręką i rzekła załamującym się głosem.

— Proszę mi o tym nie wspominać! Minęło tyle czasu, a ja nie potrafię pogodzić się ze stratą Madeleine. Jakaż to była miła osoba! Jedyna pociecha moich szarych dni... A musiała zginąć z rąk zazdrosnego szaleńca. Co za tragedia! Tylko myśl, że sprawca pokutuje już za kratkami, choć trochę uśmierza mój ból.

Ile wysiłku kosztowało Ingrid, by tej fałszywej kobiety nie uderzyć w twarz! Uniosła głowę i rzekła ze współczuciem:

— Przepraszam, że dotknęłam nie zagojonej rany. Życzę, żeby czas zaleczył ją jak najprędzej, bo tylko on może pomóc tam, gdzie ludzie są bezsilni. — Wyrecytowała zasłyszane gdzieś słowa z prawdziwą radością, bo wyjątkowo pasowały do sytuacji.

Estella skinęła ręką. Ingrid podeszła do drzwi. Nacisnęła zdecydowanie klamkę nie spodziewając się siarczystego przekleństwa, które przywitało ją z korytarza. Gruba Luisa podsłuchiwała. Nie zdążyła uskoczyć w porę i oberwała drzwiami prosto w czoło.

— Och, przepraszam, panno Luiso! Nie zauważyłam pani.

— Nie szkodzi. Szłam właśnie zameldować, że samochód już jest gotów. — Luisa uśmiechnęła się wymuszenie i trzasnąwszy drzwiami weszła do pokoju.

Zdenerwowana Ingrid wróciła do przybudówki i zauważyła napis pozostawiony przez Gusti na podłodze. Po chwili zjawiała się i sama „uciekinierka”. Usiadły razem na parapecie. Gusti objęła ją i opowiedziała o swoim spotkaniu z Juliuszem Burghardem.

— Cieszę się, że Juliusz przyjechał, ale wołałabym, aby był tu już pan Morais — odezwała się Ingrid i opowiedziała o swojej rozmowie z Estellą. Kończąc

potarła czoło i dodała: — Coś musi w tej szafie być, skoro tak zdecydowanie stara sprzeciwiła się otwarciu jej drzwi, nie sądzisz?

— Może trzyma tam kolekcję swoich peruk albo sztucznych zębów, wiedźma jedna!

— To byłoby zbyt proste, Gusti. Sądzę, że Morais znajdzie lepsze wytłumaczenie tego dziwnego zachowania. Nie wyobrażasz sobie, ile trudu kosztowało mnie zachowanie spokoju, gdy ta kobieta z nienawiścią wyrażała się o Wernerze!

— Ja na pewno wydrapałabym jej oczy.

— Więc dobrze, że cię tam nie było. Wspomniała też o ciotce Lindzie. Ma nadzieję, że potrafi ona gotować bulion i przyrządzać pasztety.

— To musimy uprzedzić ciotkę. Na szczęście nie mieszka w zamku, a u swoich „krewnych” w miasteczku. Możemy się spotykać wieczorami i spokojnie wymieniać wszystkie informacje. Przecież przed jej wyjazdem spacerowała po parku w objęciach tego wstrętnego przystojniaczka. Wzruszający obrazek: matka i syn!

— Piękne obrazki bywają złudne i często inscenizowane. Kogo ci dwoje chcą oszukać? Oto kolejne pytanie, na które tylko poczciwy Morais potrafi odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, bez niego nie wiem już, co robić dalej. Muszę trochę podciągnąć roboty, bo Alain wkrótce wróci i jeżeli postęp będzie niewielki, zaczniesz coś podejrzewać.

Gusti szybko pocałowała ją w policzek i rzekła:

— Ale na dziś koniec! Zegar wybił piątą i każdy porządny robotnik kończy pracę i wraca do domu. Malarze już się zbierają, więc nic tu po nas. O, popatrz, nasza cioteczka też wychodzi! Państwa na kolacji nie będzie w domu, to i kucharka nie ma roboty!

VII

Wieczorem w pokoiku Ingrid odbyło się zwyczajowe spotkanie, na które przyszedł także Juliusz. Ciotka postępując zdjęła buty, a Gusti natychmiast podała jej pantofle Ingrid.

— Uff, cały dzień na nogach to już nie dla mnie, moje dzieci. Szkoda, że nie widzieliście głupiej miny tej grubej pokojówki, kiedy oświadczyłam wychodząc: „osiem godzin dziennie i ani minuty dłużej!”

— Oby nie trwało to wiecznie, ciociu. Posłuchajcie, czego dowiedziałam się podczas wizyty u *signory*— rzekła Ingrid i jeszcze raz zrelacjonowała rozmowę.

Zanim ciotka czy Juliusz zdążyli powiedzieć cokolwiek, od drzwi rozległ się tubalny głos grubego Francuza.

— Wyśmienicie, piękna panienko! Zanotowałem sobie wszystko i później zastanowię się, co robić dalej.

— *Monsieur!* — zawołały równocześnie Gusti i Ingrid. Obie rzuciły mu się w ramiona. Uśmiechnął się zadowolony i patrzył to na Juliusza, to na ciotkę.

— Człowieku, czy chociaż raz nie może pan pojawić się normalnie? Tak się przestraszyłam, że omal nie dostałam zawału — zaśmiała się Linda.

— Chyba nie wyglądam aż tak strasznie, cioteczko?

— Gorzej! A poza tym wszystkim wysiadają już nerwy. Najpierw spędza nas pan w pośpiechu, a potem zostawia na pastwę losu!

— Stare ciotki zawsze muszą sobie pomarudzić. Pozwólcie najpierw odsapnąć trochę staremu człowiekowi, a zaraz powiem wam, co przywiozłem w mojej siwej głowie. Dla pani, śliczna panienko — spojrzał w stronę zapatrzonej w niego Ingrid — mam szczególnie miłą wiadomość, a mianowicie stukrotne, najczulsze pozdrowienia od Wenera Helmerdinga.

— *Monsieur*, pan z nim rozmawiał? — chwyciła go kurczowo za rękaw.

— Oczywiście! Myśli pani, że stary Morais na darmo dał się zakuć w kajdany i zawieść do twierdzy na Elbie jako skazaniec? Ale opowiem wam wszystko

po kolei, a potem wy przygotujecie się do zdania mi relacji z tego, co zrobiliście. Tak mi się zdaje, że mój niezawodny nos i tym razem nie spłatał mi figła, bo za-
instalowanie głównej kwatery tu, w Monfalcone, było chyba najlepszym pomysłem.

Juliusz zaopatrzył inspektora w napój e i cygara, po czym rozsiedli się wygodnie. Z zapartym tchem słuchali opowieści, jak Morais trafił na Elbę. Dokładnie opisał wygląd i zachowanie Wenera, powtórzył niemal każde jego słowo. Ingrid walczyła z cisnącymi się jej do oczu łzami, ciotka zaś co chwila głaskała ją czule po ramieniu, ale ani słowem się nie odezwała, dopóki Morais nie skończył. Roześmiali się tylko, gdy inspektor obrazowo opisał swoją morską podróż w blaszanej toalecie i przyciasnym więziennym pasiaku.

— Najbardziej jednak zaskoczyła mnie wizyta Guilberta. Byłem przy jego "rozmowie z Wenerem i zapisałem każde słowo, więc zamiast opowiadać, najlepiej wam przeczytam. Przyznaję otwarcie, że do tej pory jeszcze nie rozumiem, co stało się naprawdę.

Nie czekając, aż ktoś się odezwie, Morais przeczytał stenogram z rozmowy, która odbyła się w twierdzy. Popatrzył na wszystkich po kolei i spytał:

— Może ktoś z was coś z tego rozumiał?

— Och, *monsieur*, my też przeprowadziłyśmy z Guilbertem taką zagadkową rozmowę, z której nic nie rozumiemy! — wyrwała się Gusti.

— W takim razie nie trzymajcie mnie dłużej w napięciu, moje damy.

— Ja opowiem — odezwała się Ingrid. — Przygotowałam sobie na wszelki wypadek notatkę, bo w zdenerwowaniu człowiek przekreśli jakieś słowo, które może mieć duże znaczenie. — Wyjęła notatnik i powtórzyła, o czym rozmawiała z Guilbertem w pawilonie. — Widzi pan związek między tymi wypowiedziami a tym, co usłyszał pan na Elbie?

— Zanim stary Morais odpowie na to pytanie, musi się najpierw zdrzemnąć. Być może to, o czym mówimy, stanowi właśnie klucz do rozwiązania zagadki Brochelinich, a tym samym do wyciągnięcia Wenera z za kratki — mruknął inspektor przeglądając jeszcze raz notatki Ingrid. — A co o tym sądzi nasza mądra cioteczka?

— Upatrzyl pan sobie we mnie kolejną ofiarę? Mam oczywiście swoje zdanie, jeśli chcecie wiedzieć. Nie znam wprawdzie tego Guilberta, ale mam wrażenie, że nie jest kanalią jak ten przystojniak, Alain. Piękni mężczyźni zawsze wydają mi się podejrzani.

— Z moją urodą na pewno się pani nie narażę, prawda, cioteczko? — uśmiechnął się Morais. — Od czego, pani zdaniem, powinniśmy zacząć?

— Po co to pytanie, skoro już dawno pan sobie wszystko poukładał w swojej łepetynie? Możecie się śmiać, ale jestem przekonana, że morderstwo Madeleine ma coś wspólnego z prawem do majątku. Pewnie komuś stanęła na drodze, podobnie jak to dziecko, które zginęło w wypadku. Możecie uznać, że plotę głupstwa, ale czasami kryje się wśród nich jakieś ziarenko prawdy. Myślę też, że nasz biedny Werner został wmieszany w tę sprawę z całą premedytacją i posłużył komuś za kozła ofiarnego.

— Na Boga! Jak można pozwolić, aby ktoś cierpiał, wiedząc że jest niewinny? — Ingrid nie potrafiła już powstrzymać łez. — Guilbert wie, że Werner nie zamordował Madeleine, my wszyscy również, a sąd uwierzył zeznaniom Alaina i jego matki, jakoby motywem zbrodni była szaleńcza zazdrość!

— Nic na to nie poradzimy, śliczna pani, ale nie należy załamywać rąk, bo wciąż posuwamy się małymi kroczkami do przodu i nie tkwimy w miejscu. Czy ten piękny Alain jest teraz w Monfalcone?

— Nikogo nie ma, *monsieur*. Alain wyjechał kilka dni temu do Paryża, nazytuz po naszej rozmowie wyjechał także Guilbert. O tym, że udał się na Elbę, wiemy teraz od pana. Estella pojechała także do Paryża.

— Na zaproszenie mojej mamy! — wtrąciła Gus.ti. — Ciekawe, czy mamie uda się coś z niej wyciągnąć?

— Po co to babsko przyjechało do Monachium i czego chciało ode mnie, nie mogę zrozumieć do dziś...

— Jak to, cioteczko? Przyjechała szpiegować! Chodzi o prywatne życie Wenera; a nuż coś im umknęło i obawiają się, że albo ona, albo Alain popełnią jakąś pomyłkę.

Ingrid poruszyła się niespokojnie i popatrzyła na inspektora

— O jakiej pomyłce pan myśli? Przecież Werner został skazany, a prawdziwego mordercy nikt nie szuka!

— Tylko że oni jeszcze o nas nie wiedzą, śliczna pani! A pan, drogi doktorze, czemu pan cały czas milczy?

— Co mam mówić? To jakaś śmierdząca sprawa.

— Ot i niedyplomatyczne słowo! Pan zapomniał o swoim zawodzie, młody człowieku?

— Nie potrafię być dyplomatą, kiedy ktoś bezczelnie depcze mi po palcach.

— A wtedy właśnie trzeba nim być! Dlaczego uważa pan, że coś tu śmierdzi? Mógł pan równie dobrze powiedzieć, że się pali, choć jeszcze dokładnie nie wiemy, gdzie. Cioteczko, pani kręci się w pobliżu kuchni. Nic tam się nie plotkuje o gospodarzach?

Linda odłożyła nadgryzione ciastko na talerzyk i chrząknęła.

— Nic godnego uwagi, ale też dobrego słowa o Brochelinich tam nie słyszałam. Służba szczególnie nie lubi Alaina. Nosi przy sobie laseczkę i często bez żadnego powodu bije nią tego, kto nawinie mu się pod rękę. Ludzie plotkują, ale natychmiast milkną, gdy pojawi się Luisa. Ta tłuściocha jest wyjątkowo niemila i to dla wszystkich.

— O zamordowaniu młodej pani nikt nie wspomina?

— Niewielu. Ogrodnik zaśmiał się tylko szyderczo i rzekł, że wcale jej nie żałuje, bo kulka w plecy dawno się należała tej jędzy. Jego syn zaś dodał, że dokuczała tylko służbie, bo dla panicza Alaina była wyjątkowo miła. Chłopiec mył kiedyś okna w zamku i widział ich w salonie, jak się całowali... Miętosili, jak powiedział.

— Coś podobnego! Alain i Madeleine? Przypuszczałem raczej, że Madeleine będzie nienawidzić Alaina za to, że przyczynił się do śmierci jej jedyne dziecko — rzekł Morais drapiąc się po głowie. — Nie wziąłem pod uwagę faktu, że mąż Madeleine rzadko przebywa! w Monfalcone. Ciekawe, czy wiedział, że jego żona i Alain...? Hm, znów mamy malutką cegiełkę do naszej budowli! Jutro zacznę budować naprawdę... Dużo mogę popsuć jako elektryk? — zaśmiał się patrząc na łyzy Ingrid. — Niechżeż pani się nie martwi i nie psuje sobie nerwów,

moja śliczna! Musimy pokręcić się pośród tych nieznośnych ludzi, bo jestem przekonany, że jest między nimi prawdziwy sprawca nieszczęścia Wenera. Trzeba go tylko zdemaskować. Pan nam też będzie potrzebny, doktorze — rzekł do Juliusza.

— Chętnie pomogę, ale muszę rano ruszyć do Bonn, bo jak się spóźnię, to ambasador oberwie mi uszy.

— Głupio by wyglądał bez uszu, prawda, Gusti? Nie możemy do tego dopuścić, więc damy mu jakieś zadanie w Bonn. Dam panu list do kogoś, kto w naszym konsulacie w Rio sprawdzi dokładnie, co pan Guilbert porabia w Ameryce. Jak na Europejczyka, który nie zajmuje się zawodowo wążaniem orchidei, przebywa on zbyt często w tropikalnych krajach. Odpowiedź może mi pan przynieść osobiście, więc za jednym zamachem ustrzeli pan dwa zajęcia.

— Dwa? Zlecił mi pan na razie jedno zadanie — zdziwił się Juliusz nieco zakłopotany.

— A Gusti skacząca z radości na pański widok... to nie nadaje się na drugiego zajęcia?

— *Monsieur*, z panem nigdy nie wiadomo, kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie — pisnęła Gusti i przytuliła nos do miękkiego policzka inspektora. — Przy panu naprawdę nie ma czasu na nudy.

Juliusz uznał, że przy aprobacie wszystkich może przytulić i pocałować uradowaną Gusti. Schował list, który Morais napisał błyskawicznie.

— Najpóźniej za cztery dni będę z powrotem.

— To dobrze. Mam nadzieję, że do tego czasu posuniemy się choć trochę do przodu. Czy pod nieobecność signory nie mógłbym rzucić okiem na tę szafę, panno Ingrid? Bardzo mnie ona intryguje.

— To chyba niemożliwe, *monsieur*. Pokoje Estelli są na pewno zamknięte; tak przynajmniej było poprzednim razem, gdy *signora* wyjechała do Niemiec. Chciałam zmierzyć tę szafę, ale gruba Luisa oświadczyła, że nie ma klucza do pokoju.

— Brak klucza dla starego Morais to żadna przeszkoda. Problem w tym, żeby go nie przyłapano. Myślę, że nasza cioteczka mogłaby mu w tym pomóc...

— Chyba pan nie chce, bym stała na czatach, zanim nie dobierze się pan do tej starej szafy?

— O nie! To zadanie zamierzam powierzyć naszej żabce. Szybciej biega, a w razie niebezpieczeństwa potrafi głośno piszczeć. Pani zaś dostanie ode mnie coś smacznego do przyprawienia posiłku dla służby — uśmiechnął się szeroko.

— Ja nie gotuję dla służby. Jest druga kucharka.

— Ją też przecież może rozboleć żołądek i będzie musiała położyć się do łóżka. Mogę to załatwić od ręki, droga pani.

— Wszystkich pan już zatrudnił, *monsieur*? A ja? — upomniała się Ingrid.

— Cierpliwości, śliczna pani! Z nas wszystkich pani najbardziej się martwi o Wenera i dlatego musimy zrobić wszystko, żeby pani była szczęśliwa.

— Nie będę, dopóki on jest w więzieniu.

— Trudno, żeby było inaczej. Zadaniem dla pani będzie okazywanie niezadowolonia z postępu robót. Powodów nie zabraknie, bo robotnicy wciąż będą się spóźniać, ściany dalej będą mokre, a nowy elektryk okaże się strasznym niezgumą — tu Morais pokazał palcem na siebie. — Myślę, że moja ekipa już wie, co robić. Informacje będziemy wymieniać tylko w tym miejscu. Na budowie w ogóle nie zwracajcie uwagi na szwendającego się elektryka i broń Boże nie rozmawiajcie z nim. Gdy będę potrzebować waszej pomocy, to zawsze zdążę coś burknąć pod wąsem. — Morais sięgnął do swojej walizeczki i wyjął z niej sztuczną brodę, której używał na Elbie. — Zakładam ją zawsze, gdy muszę się maskować, choć wyglądam w niej dość śmiesznie. Za to w każdej chwili mogę ją zdjąć. Jutro się wam w niej pokażę, a teraz pora już złożyć stare kościska w miękkiej pościeli.

— Nie wiem, czy znajdzie pan wolny pokój o tej porze. Poproszę, żeby wstawiono łóżko do mojego saloniku — rzekła Ingrid i nie czekając na decyzję inspektora, podeszła do telefonu i zgłosiła swoją prośbę recepcjoniście.

Obecność detektywa poprawiła humory wszystkim i rozeszli się w jak najlepszych nastrojach. Gusti i Juliusz odprowadzili Lindę do jej hotelu, a potem spacerowali jeszcze długo, bo księżyc, ich zdaniem, świecił wyjątkowo pięknie i tak jasno, że Juliusz bez żadnych wątpliwości musiał przyznać, iż Gusti napraw-

dę była bardzo śliczną dziewczyną. Wziął ją w ramiona i pocałował tak namiętnie, że nie mogła złapać tchu.

— Dajesz się ponieść namiętnościom? — spytała.

— Myślisz, że miałem taki zamiar, żabko?

— Okoliczności temu sprzyjają: ja, blask księżyca, żywej duszy dookoła, ty i nasza miłość... Czy w tej sytuacji można oprzeć się namiętności? — zrobiła prowokującą minę, poprawiając mu krawat.

— Muszę spytać twoją mamę, czy aby w dzieciństwie zbyt rzadko nie obrywałaś w skórę. Tak niegrzecznej dziewczynki jeszcze nie widziałem!

— Bite dzieci są zastraszone i nie dają sobie w życiu rady, a mama zawsze starała się wykształcić we mnie silną osobowość...

— ...co jej się zresztą nie udało. Wyrosłaś na nieznośną żabę z długimi nogami, ale za to bardzo, bardzo kochaną. Jak tu oprzeć się takiej?

— No, wreszcie coś konkretnego.

— A więc... ty także poczułaś, że ponosi cię namiętność?

— Mnie? Mówiłam tylko, że wreszcie doszliśmy do hotelu. Tu możesz uspokoić rozszalałe zmysły przytulając się do poduszki! — pokazała mu język i jednym susem ominęła portiera, by po chwili zamknąć się w swoim pokoju.

Estella kazała się zawieźć prosto do hotelu „Monceau”, gdzie zatrzymywali się wszyscy Brochelini, ilekroć tylko przyjeżdżali do Paryża. Miała nadzieję, że spotka tam Alaina, z którym chciała natychmiast porozmawiać.

Kilka minut później zszedł ze skwaszoną miną do jej apartamentu, w purpurowej, aksamitnej podomce, z jedwabnym szalikiem na szyi.

— Do licha, mamó, czy choć na chwilę nie można już odetchnąć od rodziny? — opadł ciężko na fotel patrząc na matkę z wyrzutem. — Co tam znowu wymyśliłaś? Załatwiłaś coś w Monachium?

— Nic, niepotrzebny wyjazd. Nie zastałam tej kobiety, a nie mogłam się o nią dopytywać nie wzbudzając podejrzeń. Chcę jednak porozmawiać z tobą o czymś innym, co niepokoi mnie jeszcze bardziej.

— Nie mogłaś z tym poczekać, aż wrócę do Monfalcone? Zauważyłem, że masz skłonności do histerycznego reagowania na byle drobiazg.

— Nie bądź bezczelny. Ta architektka przyszła do mnie tuż przed wyjazdem...

— Wiesz dobrze, że zawsze bardzo poważnie podchodzi do swojej pracy. Nie można jej z tego powodu robić żadnych wyrzutów, zwłaszcza jeżeli chcemy szybko przeprowadzić się do nowych pokoi i czym prędzej zapomnieć.

— O czym chcesz zapomnieć? — spytała ostrym tonem.

— Chyba nie chcesz, żebym powtarzał to, o czym oboje dobrze wiemy? Widziałaś Guilberta?

— Nie. Słyszałam, że wyjechał do Piemontu.

— Jeżeli o mnie chodzi, może tam zostać na zawsze. Wilgotne powietrze i zaduch w tym brudnym domostwie nieźle mu się przysłużą! — uśmiechnął się złowieszczo. — Mam nadzieję, że wkrótce znów się wyniesie w tropiki i nie zajmie przeznaczonych dla niego pokoi w przybudówce.

— Kazał je dla siebie zarezerwować i nic na to nie poradzimy. Ale posłuchaj: ta panna Steffens chce przenieść naszą szafę do nowych pomieszczeń, a okazało się, że coś nie gra z wymiarami.

— To niech ona się martwi!

— Czyś ty oszalał, Alain?! Ona zaproponuje rozbiórkę tej szafy! — szepnęła mu do ucha.

Wyprostował się, zacisnął usta i zawołał wymachując gwałtownie rękoma.

— Na to nie można pozwolić! Trzeba szafę zostawić tam, gdzie stoi, a ty sobie poszukaj innej. Nie przerywaj mi, proszę! Jeżeli będziesz potrzebować czegoś z tej szafy, wystarczy spacer do starej części zamku. Przyjechałaś specjalnie w tej sprawie?

— Również, bo chciałam niezwłocznie ci o tym powiedzieć, a poza tym zaproszono mnie na jutrzejszy pokaz mody u Latoura. Pójdiesz ze mną? Ludzie powinni widywać nas razem i w dobrym nastroju. W końcu to nie ty jesteś zrozpaczonego wdowcem.

— W pewnym stopniu to się zgadza. Pójdę tam z tobą, ale dziś wieczorem zostaw mnie w spokoju. Nie mam zamiaru poznawać uroków Paryża pod nadzorem ukochanej mamuśki — uśmiechnął się złośliwie. — A jeśli masz ochotę kogoś pilnować, to zaproś tu twojego ukochanego starszego syna.

— Twoja bezczelność zaczyna przekraczać dopuszczalne granice. Ostrzegam cię, Alain?

— Ty... mnie?! A przed czym to?

— Przestań wreszcie! Wiesz aż za dobrze, że z Guilbertem nie chcę mieć nic wspólnego. Denerwują mnie te jego ustawiczne podchwytliwe pytania. Sądziś, że on jeszcze nie zapomniał o tamtej sprawie?

— Nigdy tak naprawdę nie wiedziałem, o czym on myśli. Do dziś nie wiem, dlaczego ożenił się z Madeleine i dlaczego ją porzucił zaraz po śmierci ich uroczego dziecka. Najpierw wielka miłość, a potem nagle wielkie rozstanie.

— Guilbert ubóstwiał swojego synka.

— Dla mnie to akurat nie jest wytłumaczeniem. Takie kompleksy jak serce, sentyment, uczucia rodzinne, miłość, po prostu nie istnieją. Śmiać mi się chce na myśl, że są ludzie, którzy w to wierzą.

Estella wstała, i podchodząc powoli do syna, uderzyła go w twarz zwiniętą gazetą. Nie zasłonił się, nie wstał nawet, tylko patrząc na matkę przymrużonymi oczyma wycedził:

— Ty chyba nie wiesz, co robisz, mamo?

— Ten policzek należy się mnie za to, że od dziecka nie trzymałam cię krótko. Alain, zaczynam się ciebie bać!

— Odezwała się dusza strapionej matki? Do diabła, idź jutro do sklepów, nakup sobie futer, sukni, kapeluszy i od razu poczujesz się lepiej! — ukłonił się przed osłupiałą kobietą i wyszedł z salonu.

W sali panował gwar rozmów prowadzonych przez mniej lub bardziej podniecone kobiety w różnym wieku, które nie mając już idealnej figury, miały dużo pieniędzy na kupno drogich kreacji. Pomysł zorganizowania dla nich pokazu

mody bardzo spodobał się panu Latour i gwarantował — jak się okazało — pełny sukces. Wszystkie miejsca w przestronnej sali były zajęte.

Margret Weber czuła się w swoim żywiole, ale znalazła dość czasu aby panią Brochelino ulokować w pierwszym rzędzie. Dziś nie musiała kryć się za kuliami, a jej praca polegała na zabawianiu gości i pilnowaniu porządku w czasie pokazu. Z uśmiechem na twarzy odebrała reporterowi ukryty aparat fotograficzny, zapewniając, że dostanie go powrotem, gdy tylko przedstawienie się skończy. Innego dziennikarza przyłapała na szkicowaniu. Bez słowa sprzeciwu oddał jej wszystkie przybory do pisania, jakie miał przy sobie. Wszyscy ją znali, witali się uprzejmie, uśmiechali, bo od jej decyzji zależało, czy obejrzą pokaz, czy' też zostaną poproszeni o opuszczenie sali.

Margret знаła Estellę Brochelino z poprzednich pokazów, więc rozpoznała ją natychmiast, gdy tylko pokazała się wśród zaproszonych gości. Uśmiechnięta, niemal rzuciła się w ramiona Margret. Dumna jak paw przedstawiła jej swojego przystojnego syna. Margret musiała wyteńczyć wszystkie siły, aby nie otrząsnąć się z obrzydzenia, gdy podawała mu rękę.

Alain wyglądał na śmiertelnie zmęczonego po przebulanej nocy, walczył z opadającymi powiekami, ale dzielnie przepychał się przez tłum starszych pań, prowadząc swoją dumną matkę na wskazane przez Margret miejsce.

Matka Gusti, szczupła i zwinna, szybko zajęła krzesło tuż obok niej, oferując fachowy komentarz do prezentowanych modeli.

— Poleciałabym pani komplet o nazwie „Madeleine”, *madame*. To ten szary, z obszyciem z norek — szepnęła na ucho Estelli.

— Co za głupia nazwa! Do starszych kobiet zupełnie nie pasująca. W pewnym sensie czuję się dotknięta, droga pani, bo powinniście pamiętać, że tak miała na imię moja tragicznie zmarła synowa.

— Przykro mi, *madame*, że nie wzięliśmy tego pod uwagę, ale tutaj wszyscy mile wspominają Madeleine z czasów, gdy pracowała dla naszego domu mody. — Margret zerknęła z ukosa na Estellę i ucieszyła się w duchu, bo pierwszy strzał okazał się celny. Opanowana Włoszka wyraźnie się zdenerwowała. Alain też poruszył się niespokojnie.

Na podium wyszły pierwsze modelki prezentując coraz to piękniejsze kreacje, a Margret o każdej potrafiła powiedzieć coś interesującego, Przy czarnej, wieczorowej sukni, z przodu sięgającej brody, za to z dużym dekoltem z tyłu, Margret szepnęła:

— Proszę zwrócić uwagę, że dobrana do sukni peleryna pozwala przysłonić dekolt na plecach. Model ten *monsieur* Latour opracował z myślą o uroczystych przyjęciach. Jestem pewna, że mistrz zainspirował się pięknymi plecami naszej niezapomnianej Madeleine. Och, pardon, powinnam uważać na to, co mówię — przeprosiła ze skruszoną miną Margret, zauważywszy, że Estella zbladła, a Alain nerwowo zdusił niedopałek papierosa. I tym razem strzał był celny: trzeba go powtórzyć!

— Nie wydaje mi się, żeby tegoroczne propozycje były szczególnie atrakcyjne. Czyżby Latour zapomniał, że starsze panie preferują spokojniejszy styl? — skrzywiła się Estella.

— Myślę, madame, że pani mogłaby pokazać się w każdej z prezentowanych kreacji. O, na przykład w tej pięknej garsonce o nieco rustykalnym wyglądzie, którą nazwaliśmy „Elba”. Źle się pani czuje, *madame*? — przestraszyła się Margret widząc, że Estella zbladła i ciężko opadła na oparcie krzesła. — Zaraz przyniosę pani szklaneczkę wody... A może whisky z wodą sodową?

— Nie, dziękuję. Rzeczywiście, czuję się nie najlepiej. Alain, wychodzimy. Podaj mi rękę, proszę cię — wstała opierając się na ramieniu Alaina.

Margret towarzyszyła im do wyjścia, zabawiając rozmową, jakby nic się nie stało.

— Szkoda, *madame*, że nie zostanie pani do końca. Zaprezentujemy szlagier sezonu, z którego jesteśmy wyjątkowo dumni, a mianowicie suknię wieczorową z aksamitu tkanego ręcznie przez więźniów w Turynie. Jest przepiękny, choć piekielnie drogi, ale dla pani nie jest to na pewno wygórowana cena.

— Proszę już się nie trudzić, pani Weber — Estella machnęła ręką i bez pożegnania ruszyła niemal biegiem do czekającego na parkingu ich samochodu.

Margret uśmiechnęła się i powoli odchodziła od drzwi, ale nie do sali, gdzie trwał pokaz mody, lecz do gabinetu Latoura, by podziękować mu za umożliwienie jej przeprowadzenia planu opracowanego przez inspektora Morais. Słynny

dyktator mody z wdzięcznością wspominał wyczyn sławnego detektywa, gdy przed laty pomógł mu wyjść z kłopotliwej sytuacji, i bez słowa sprzeciwu przystał na propozycję Margret.

Alain i Estella wsiedli do samochodu. Ze względu na obecność szofera nie odezwali się ani słowem. Dopiero w hotelu matka opadła ciężko na fotel i patrząc na syna spytała:

— Słyszałeś to? Rozumiesz, co tu się dzieje? To nie może być przypadek, że wymienia się imię Madeleine, wspomina jej piękne plecy i tak dalej.

— Boisz się własnego cienia, mamó. To zwykły przypadek.

— Tak? A ten kostium o nazwie „Elba” i suknia z aksamitu tkanego przez więźniów akurat z Turynu, to też przypadek? Nie jestem naiwna, i głowę dam sobie uciąć, że ta osoba zrobiła to wszystko z premedytacją.

— Gdyby nawet, to co nam może zrobić? — zachnął się Alain. — Po co w ogóle przyjechałaś na ten pokaz? Starym babom powinno się zakazać oglądania modnych strojów. — Estella uniosła się i zamierzała wymierzyć mu policzek.

— Uderz, a pożałujesz! — warknął groźnie. — Zastanów się lepiej, jak zapanować nad twoją wybuchającą wyobraźnią. Jestem już dość zmęczony, więc pozwól, że zostawię cię samą.

— Ciekawe, czy poradzisz sobie sam, gdy nie osiągniemy celu, a twoje i moje finanse staną pod znakiem zapytania? Czyżbyś nie zauważył, że stan zdrowia Guilberta ostatnio znacznie się poprawił? — patrzyli na siebie jak dwie żmije gotowe rzucić się do ataku. Alain wzruszył ramionami i wyszedł.

Przechodząc przez hol, nie zauważył Guilberta rozmawiającego z recepcjonistą. On jednak kątem oka dostrzegł brata wysiadającego z windy i szybkim krokiem zmierzającego do samochodu zaparkowanego przy wejściu do hotelu.

Po chwili Guilbert wyszedł także, bo powiedziano mu, że matka uczestniczy w pokazie mody u Latoura.

Margret Weber przechadzała się po sali recepcyjnej przy wejściu do domu mody i rozmawiała z przychodzącymi lub wychodzącymi już gośćmi. W pewnej

chwili podszedł do niej mężczyzna i oznajmił, że chce pilnie rozmawiać z signorą Brochelino.

Uśmiechnąwszy się rzekła:

— Pani Brochelino i jej syn wyszli z pokazu jakąś godzinę temu. Mogę panu pomóc w inny sposób?

— Dziękuję, ale nie zamierzam niczego kupować — odpowiedział Guilbert zaskoczony niezwykłą urodą uprzejmej rozmówczynie. — Nazywam się Guilbert Brochelino. Mam nadzieję, że moja matka wybrała coś dla siebie z waszej kolekcji — rzekł, by podtrzymać rozmowę, co było na rękę również Margret, choć z zupełnie innej przyczyny.

— Niestety, *signora* opuściła pokaz dość pośpiesznie, gdyż poczuła się nie-dobrze — mówiła Margret przyglądając się Guilbertowi, którego twarz wydała jej się nadzwyczaj sympatyczną. Ani cienia zła czy fałszu. — Być może po części stało się to z mojego powodu — dodała po chwili.

— Dlaczego pani tak myśli?

Margret odeszła nieco na bok, bo przechodzący goście potracali ją i przeszkadzali w rozmowie.

— Obawiam się, że ciągnąc ten temat urażę także pana. Nieostrożnie wspomniałam w obecności pańskiej matki, że Madeleine pracowała niegdyś u nas jako modelka. Faktem jednak pozostaje, że mistrz jedną z kreacji nazwał jej imieniem. Przypuszczam, że tragiczne wspomnienia zdenerwowały panią Estellę.

Guilbert zastanawiał się chwilę, a potem rzekł:

— Niepotrzebnie robi pani sobie wyrzuty. Mojej żony i matki nie łączyły żadne serdeczne więzi.

— Mimo to, popełniłam nietakt poruszając ten temat. Przepraszam bardzo — Margret starała się kontynuować wątek.

Guilbert patrzył na nią obojętnie i odezwał się spokojnie, ledwo słyszalnym szeptem:

— Nie czuję się dotknięty pani uwagą. Jeśli mam być szczery, to wiadomość o śmierci żony była dla mnie bardziej przerażająca niż bolesna. Znała pani Madeleine, więc jak sądzę interesowała się pani jej losem.

— Oczywiście, podobnie jak wszyscy w naszej firmie.

— ...i wszyscy w Paryżu, i całych Włoszech. Jedynie... — zaczął podnosząc powoli wzrok na Margret. — Jedynie sąd w Turynie okazał niewielkie zainteresowanie.

Margret cofnęła się zaskoczona taką wypowiedzią.

— *Pardon*, ale nie zrozumiałam, co miał pan na myśli?

— Wolałbym nie rozmawiać o tym tutaj? Nie znalazłaby pani godzinki dla mnie? Chciałbym porozmawiać poważnie z kimś, kto znał moją żonę o wiele dłużej niż ja.

Margret od razu pomyślała, że taka rozmowa byłaby po myśli pana Morais. Postanowiła przyjąć zaproszenie.

— Powinam się chyba zgodzić. W ten sposób chociaż trochę naprawię błąd, jaki popełniłam względem pańskiej matki. Wybór miejsca i pory spotkania pozostawiam panu. Od południa w zasadzie jestem już wolna.

— W takim razie proponuję wspólny obiad. „Continental” odpowiadałby pani? Wiem na pewno, że moja matka i brat nie zaglądadają do tej restauracji, a byłoby nam obojgu niezręcznie, gdyby zobaczyli nas razem.

— Ma pan rację. Zatem spotkamy się o siódmej w holu „Continentalu”.

— Bardzo dobrze. Z góry pani dziękuję, pani...?

— Weber... Margret Weber. Jestem Francuzką, ale wyszłam za Niemca, na krótko, niestety. To tak dla pana orientacji.

Guilbert uklonił się, pocałował Margret w rękę i szybko wyszedł.

Patrzyła za nim i zastanawiała się, czy dobrze zrobiła umawiając się na spotkanie. Powinna mówić prawdę czy raczej milczeć?

VIII

— Co tu się dzieje, że dotychczas spokojny zamek upodobnił się nagle do przewróconego ula? — dziwił się Morais, biegnąc bez celu za Ingrid i Gusti w jednym z dobudowanych pokoi. Zamiast pracować, inspektor raz po raz podchodził do okna lub dopytywał o rzeczy, które nie powinny go obchodzić.

— Z tego, co słyszałam, to pani tego raczej mało spokojnego zamku zapowiedziała swój powrót. Ciotka Linda też biegnie z wypiekami na policzkach, bo będzie musiała udowodnić, że nadaje się na kucharkę dla jaśnie państwa

— W takim razie jeszcze dziś nasza dzielna cioteczka musi nagotować ponczu, który choć na chwilę zwali z nóg tę ruchliwą zgraję służących i pokojówek, a ja w tym czasie sprawdzę, czy ta sławetna szafa nadaje się do transportu, czy nie.

Ingrid, stanęła jak wryta. Planowała urządzenie gabinetu dla Guilberta. Pomieszczenie miało kształt ośmiokąta, zastanawiała się, jak je umeblować. Sprawdziła, czy w czterech narożnikach nie dałoby się zainstalować przeszklonych witryn, gdy Morais wspomniał coś o powaleniu służby z nóg.

— Czy pan chce ich...

— Nie, piękna pani, nie: chcę, ale: muszę! Kiedy *signora* wróci, o wymiarzeniu szafy mogę tylko pomarzyć.

— Po co chce pan ją mierzyć, *monsieur*?

— A co, miałem powiedzieć, że chcę się do niej włamać? Przecież już ustaliliśmy, że trzeba to zrobić. Ta mała żaba stanie na czatach, a gdyby się coś działo, zacznie piszczeć... albo raczej niech chrząka, żeby nie odchodzić od zwyczajów panujących wśród włamywaczy — detektyw mrugnął porozumiewawczo do obu osłupiałych dziewczyn i przeszedł tanecznym krokiem przez pusty pokój, zmierzając wyraźnie w stronę kuchni.

Odgrywając ciężko spracowanego fachowca pozdrowił gromkim głosem służbę siedzącą przy śniadaniu. Przywitano go niezwykle serdecznie i pośród ogólnej wesołości przesuwno się, robiąc mu miejsce przy ogromnym stole. Ku-

charkę z samego rana rozboleł brzuch i śniadanie dla służby musiała przygotować ciotka Linda.

Zobaczywszy inspektora w drzwiach, nastroszyła się i burknęła w dialekcie używanym raczej w Szwajcarii.

— Aż dziw bierze, że ci robotnicy zawsze wiedzą, kiedy podaje się coś do jedzenia. Jak żyję, nie widziałam jeszcze takiego, który nie rzuciłby narzędzi, gdy tylko usłyszy szcęk łyżek.

— Jeszcze się nie odezwałem, a już mi się dostało. Pot strugami spływa mi po plecach, a ta pyskata grubaska sugeruje, że myślę tylko o jedzeniu — rzekł i wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

— Ja wam pokażę, nicponie! Jak ta pyskata grubaska się wkurzy, to wyleciecie stąd wszyscy o suchym pysku. Ja gotuję dla państwa, a że w drodze łaski zgodziłam się ugotować coś dla was, to powinniście być mi wdzięczni!

— Rzeczywiście. Tak niesmacznej kawy to już dawno nie piłem — nie ustępował Morais wywołując kolejną salwę śmiechu. — Ale nic straconego. Dla poprawienia swojej reputacji mogłaby pani przygotować dla nas wszystkich, dla mnie oczywiście też, gar porządnego ponczu. Poziomki mogę pozbierać osobiście, a wieczorem urządzimy sobie uroczyste pożegnanie z wolnością. Jutro przecież wraca signora? No, tchórze, nie poprzecie mojej propozycji? — popatrzył po siedzących przy stole.

— Tchórze to nie jesteśmy, ale, nasza kucharka zupełnie nie zna się na żartach i dawno by nas wyrzuciła.

— Dobry żart tynfa wart. Zaskoczyłam was, co? — zaśmiała się Linda, która już zorientowała się, co miał znaczyć poncz zaproponowany przez inspektora. — Zmykajcie mi stąd, a wieczorem przyjdźcie na ten poncz.

Uradowani jak dzieci, którym udało się przechytryć nauczyciela, ogrodnicy, służący, posłańcy, pokojówki i sprzątaczkę rozchodzili się do swoich zajęć rozmawiając już tylko o czekającej ich wieczorem uczcie.

Morais grzebał się długo, a gdy został już z Lindą sam, szybko wsunął do kieszeni jej śnieżnobiałego fartucha małą paczuszkę.

— Cioteczko, dwie łyżki stołowe na dziesięć litrów ponczu. Tylko proszę nawet nie próbować! Dziś wieczorem muszę dobrać się do tej szafy.

— A jeżeli jutro ktoś się o tym dowie?

— Myśli pani, że spartaczę tak ważną robotę?

— No nie, ale wolałam się upewnić — roześmiała się. — Mam zostać na tym wydawanym przez pana przyjęciu?

— Po co? Jak zawsze po pracy, marsz do hotelu!

— Umrę tam chyba z niepokoju...

— Tego jeszcze by brakowało! Niech pani czeka w pokoju Ingrid. A nuż ktoś zadzwoni z ważną wiadomością.

— Niech pan uważa na siebie, inspektorze. Nie jest pan już taki młody!

— Jednak musiała mi pani dokuczyć? Proszę pamiętać: dwie łyżki i dokładnie wymieszać!

— A nie zorientują się?

— Byle czego bym przecież pani nie dał!

Wieczorem na służbę czekał pyszny schab na zimno i kopiasta misa sałatki jarzynowej, a do tego ogromna czara gorącego ponczu. Kucharki nie było już w zamku, więc nie widziała, jak biesiadnicy jeden po drugim zaczęli ziewać i zasypiać przy stole, a niektórzy nawet pod stołem, choć jeszcze przed chwilą doskonale się bawili.

Ingrid odprowadziła ciotkę i natychmiast wróciła do zamku. Pobiegła prosto do pokoju, w którym stała tajemnicza szafa. Po drodze spotkawszy Gusti czatującą przy schodach, uścisnęła ją i szepnęła, że nie ma się czego bać.

— Nie boję się. *Monsieur* dał mi torebkę miętowych landrynek i kazał ssać je powoli, dopóki nie wróci. Gdyby coś się działo, na pewno się zachłysnę i zacząłbym kasłać, choćbym nawet nie chciała.

Pod drzwiami gabinetu Estelli klęczał już Morais i majstrował coś przy zamku.

— Uda się otworzyć, *monsieur*?

— Mnie nie oprze się żaden zamek. Otwierałem już bardziej skomplikowane, nawet jeden sejf. Ten będzie się opierał dość długo, a mnie zaczynają już boleć kolana — poskarżył się. Ingrid bez słowa podeszła do stojącego w kącie krzesła, zdjęła z niego poduszkę i z uśmiechem na twarzy podsunęła ją inspektorowi. — Dzięki, śliczna pani! Odwdzięczę się pięknym prezentem ślubnym.

— *Monsieur*? Jest pan pewien, że nam się powiedzie? — spytała przycupnawszy obok niego, podając mu narzędzia, aby nie robiły niepotrzebnie hałasu.

— Sądzi pani, że ja, stary lis, pozwolę się wyprowadzić w pole tej dziwacznej rodzinie? Ślub będzie na pewno, nie wiem jeszcze kiedy, ale w przyszłym roku na pewno.

— Och, *monsieur*!

— Tak, śliczna pani! Następny wytrych proszę. Ten jest za gruby. I co, nie mówiłem? Drzwi już mamy otwarte, możemy iść dalej. Nie, nie! Światła proszę nie zapalać, bo tam na dole już ktoś mógł się obudzić. Moja latarka powinna wystarczyć, a księżyc, z którym się umówiłem, też nie poskąpi nam swojego zimnego światła — mówił półgłosem oglądając dokładnie starą szafę ze wszystkich stron.

Pojękując z wysiłku odsunął ją od ściany. Wcisnął się za szafę i opukując deskę po desce, wyjął nagle jedną z nich i uśmiechnął się tryumfująco. Mógł sobie darować wyłamywanie następnego Garnka. Ingrid, trzymając zapaloną latarkę, cała trzęsła się ze zdenerwowania.

Inspektor poustawiał wzdłuż ściany prawie wszystkie deski i założył rękawiczki jak prawdziwy włamywacz. Zapamiętując dokładnie ich miejsca, zaczął wyjmować teczki z dokumentami, jakieś pudełka. Ingrid przysunęła podręczny stolik, a Morais układał na nim swoją zdobycz.

— Patrzcie no, co tu mamy? — ucieszył się, trzymając pudełko po lekarstwach zaklejone oryginalną taśmą z apteki. — Przykro mi, *signora*, ale muszę

zaspokoić ciekawość — mruknął oglądając pod lupą napisy na fiolkach, z których część była pusta, a część jeszcze nie ruszana. — Hm, w odpowiedniej kombinacji daje to piorunujący efekt! W każdym razie można tym powalić z nóg nawet wołu...

— Co?... Co pan powiedział, *monsieur*?

— Moja panno, w tej chwili musimy nerwy trzymać na wodzy. Powiem tylko tyle, że trzymam teraz w ręku cholernie silne trucizny i jestem niemal pewien, że można nimi spokojnie zgładzić człowieka. Jakoś nikt nie pomyślał, aby zastrzeloną kobietę poddać sekcji zwłok. Wyszłoby natychmiast na jaw, że strzelono jej w plecy, kiedy już prawie wyzionęła ducha. Założę się, że tak właśnie było.

— Mój Boże, kto to zrobił? Niech mi pan wreszcie powie, inspektorze, co pan wie!

— Jeszcze nie pora, śliczna pani. Stary Morais na razie kombinuje, ale można przypuszczać, że zamordowaną, teraz wiemy już, że podtrutą, zastrzelono gdzie indziej. Biedaczka już raczej nie poczuła tej kuli. Potem w jakiś sposób zawleczono do parku. Nie było to proste. Nawet bardzo silny chłop nie poradziłby sobie sam, a przecież trzeba było pokonać schody, cały hol i zanieść trupa na drugi koniec parku... No, ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Co najmniej dwie osoby musiały w tym maczać palce, to nie ulega wątpliwości.

— *Monsieur*, a co z Wernerem?

— Moja droga, Werner Helmerding siedzi sobie na razie w więzieniu i prawdę mówiąc, jest tam przynajmniej bezpieczny. O, a cóż to my tu jeszcze mamy? — Morais wyjmował ostrożnie grubą kopertę, lekko podniszczoną przez częste wyjmowanie złożonych w niej dokumentów. — To co, otwieramy? Byłoby z nami krucho, gdyby *signora* przyłapała nas na grzebaniu w jej korespondencji. Proszę mi poświecić z bliska, to zobaczę, co tu jest napisane. Zaadresowana do Alaina Brochelino... Czyżby matula przechwytywała listy przeznaczone dla syna? Prokuratura w Mediolanie... Mnie nie chodzi o konfiskatę korespondencji, a stara jest po prostu skąpa i wykorzystuje zużyte koperty? Zobaczmy, czy nie posądzam jej zbyt mocno. Ojej, jakieś pismo po włosku! Na pewno nie poradzę sobie z rozszyfrowaniem tego.

— Chętnie panu pomogę. Czytam po włosku dość dobrze.

— Chwała Bogu, że rodzice posłali panią do porządnej szkoły. Coś mi się zdaje, że natknęliśmy się na kopię jakiegoś testamentu. A może nie? — Oboje przykucnęli za szafą i pochylili się nad kartką papieru wyjętą z koperty.

— Ma pan rację: jest to kopia rozporządzenia podpisanego nazwiskiem Roberto Brochelini. To chyba ojciec Alaina i Guilberta?

Ingrid przeczytała powoli testament sformułowany zwięźle i przejrzyście.

— Poczciwy *signor* Roberto dokładnie przejrzał swoją małżonkę i przystojnego synalka — mruknął Morais nie przestając robić notatek. Potem schował kopertę do szafy i rzekł: — Na razie sprawę testamentu musimy odłożyć, ale w rozmowie z *signorą* na pewno do niego wrócę. Trzeba poukładać wszystko na swoim miejscu, a potem zabawię się w stolarza. Szafa będzie jak nowa! Powoli, śliczna pani! Nie mogę włożyć drugiej deski, dopóki nie dopasuję tej pierwszej!

— Panie Morais, niech mi pan wreszcie coś powie!

— *Mon dieu*, przecież gadam bez przerwy jak nakrecony! — zerknął na nią z ukosa i roześmiał się. — Teraz musi się pani porządnie wyteżyc, abyśmy mogli tego grata postawić pod ścianę, tak jak stał. Jesteśmy w końcu porządnymi włamywaczami, czy nie? Interpol byłby z nas dumny. Uff... wreszcie!

— Monsieur! Zapomniał pan włożyć to pudełko!

— Niczego nie zapomniałem, śliczna pani! Ktoś tu wpadnie w panikę i zaczną się wzajemne podejrzenia. Wszystko mi jedno, czym szlachetna Estella będzie rzucać w swojego milusińskiego. Mnie pozostaje jeszcze tylko staranne zamknięcie drzwi wejściowych — stwierdził Morais i zręcznie manipulując swoimi narzędziami zamknął za sobą ciężkie drzwi.

Przemknęli się po cichu korytarzem a schodząc po schodach natknęli się na Gusti, zwiniętą jak jeż i chrapiącą.

— Biedaczka, przysnęła! — rzekła Ingrid pochylając się.

— Należy jej się porządny klaps. — odparł Morais gniewnym tonem. — Kazałem jej pilnować, a nie spać, kiedy ja...

— Wcale nie spałam! — przerwała mu w pół słowa. — Przechodził strażnik, więc nie mogłam tu sterczeć i postanowiłam udawać poduszkę od sofy! — broni-

ła się, kiedy uśmiechnięty Morais poszturchiwał ją bez złości. — A jak tam na górze? — dopytywała się.

— Mamy łupy, żabko! Ale zmykajmy stąd szybko, zanim ci w kuchni dojdą do siebie.

Kiedy wszyscy troje wsiadali do ukrytego za krzakami samochodu, w kuchni zapaliło się światło i słychać było podniesione męskie głosy.

— O, lwy się budzą. Najwyższy czas wziąć nogi za pas!

Ciotka Linda dzielnie czekała na nich, a nawet zamówiła herbatę, którą kelner przyniósł do pokoju, gdy tylko się zjawili.

— Myślałam, że chętnie się napijecie. Włamanie to ciężka praca, jak mi się zdaje, prawda, inspektorze? Panu przydałby się mały kieliszek rumu.

— Cioteczko, dlaczego tylko mały? Należy mi się cała butelka! Ale to przy innej okazji, bo jak nie zacznę natychmiast opowiadać, gotowa pani umrzeć z ciekawości.

— Ciekawa to ja nigdy nie byłam, drogi panie. Lubię po prostu wszystko wiedzieć. — Rozsiadła się wygodnie i z uwagą słuchała relacji inspektora i Ingrid. Oglądając ze wszystkich stron pudełko z lekarstwami, mruknęła; — Myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko przemądrzałym detektywom w kiepskich powieściach kryminalnych.

— Cioteczko, znów stara się pani mi dokuczyć? Byłem wręcz dumny, że działałam w oryginalny sposób, a tu dowiaduję się, że naśladowuję fikcyjnych bohaterów kryminałów! — zrobił żalostną minę, ale zaraz uśmiechnął się: — Porozmawiajmy jednak poważnie o prawdziwym życiu, a raczej o śmierci wiadomej osoby. Coś ciągle nie pasuje do moich kombinacji i zastanawiam się, kim naprawdę jest Guilbert Brochelino? Odgrywa jakąś rolę w tym wszystkim, czy też jest manipulowany przez sprawców?

— Za sprawców uważa pan starszą panią i Alaina? — spytała podekscytowana Ingrid.

— Powiedziałem coś takiego?

— No... nie. Wracając do Guilberta, trudno mi sobie wyobrazić, że mógłby być przestępcą. Gusti, ty też go znasz. Co o tym myślisz?

— Podzielam twoje zdanie, Ingrid. On ma czyste ręce. Wygląda na zmęczonego, załamane go czy raczej zasmuconego człowieka, trudno jednoznacznie powiedzieć, ale zrobił na mnie zupełnie inne wrażenie niż Alain. Gdyby ten chciał podać mi rękę, otrząsnęłabym się z obrzydzenia. Na szczęście tego nie robi, bo jest zbyt zarozumiały, by witać się z byle czeladnikiem. Ktoś jednak musiał dokonać tej zbrodni. Myślę, że ten ktoś liczył na jakąś korzyść, bo po cóż miałby zabijać Madeleine?

— Kto niczego nie rozumie, wyciąga najprostsze wnioski — skomentował Morais z miną sfinksa. — Ja w każdym razie nie mogę poprzestać na uczipianiu się jednego aspektu tej sprawy. Co właściwie wiemy o wypadku sprzed trzech lat, gdy zginął mały Brochelino i jego opiekunka?

— Sądzi pan, że ma to jakiś związek z tym, co spotkało Madeleine?

— Panno Steffens, ja tu nie jestem od sądenia. Ja mam ustalić fakty! — odpowiedział dość opryskliwie.

Wszyscy zamilkli, gdy nagle ciotka Linda uderzyła otwartą dłonią w stół, aż zatrzęsły się szklanki i talerzyki.

— Niech pan wreszcie skończy z cytowaniem odwiecznych mądrości i komunałów, do stu piorunów! Najpierw zgania nas pan tu wszystkich na łeb, na szyję, a teraz sam guzdrze się jak mucha w smole!

— Patrzcie, ludziska, cioteczka pokazała, że ma temperament! — uśmiechnął się poklepując Lindę po rękę. — Widzi pani, gdyby taki stary detektyw, jak ja, zawsze mówił jasno i wprost, wszyscy wiedzieliby już o nim wszystko. I kto by się nim interesował?

— Innymi słowy, skończyły się już panu pomysły!

— Ostro, ale szczerze. Werner Helmerding w każdym razie okazał mi więcej zrozumienia, gdy sobie gawędziliśmy.

— Pogawędka w więzieniu? Człowieku, mam trochę lat i oleju w głowie. Mogę sobie wyobrazić, jak wygląda więzienie. Nie sądzę, żeby za kratkami ktoś miał ochotę na wysłuchiwanie pańskich... bzdur... — zająknęła się, widząc dobroduszy uśmiech na twarzy inspektora.

— No dobrze, niech już pan zatrzyma najważniejsze wiadomości dla siebie, skoro tak na tym panu zależy, ale przynajmniej niech pan powie, co robić dalej? Jutro wróci *signora*, a jej synalek prawdopodobnie też.

— Niech sobie wracają! Jesteśmy przecież przygotowani. Ingrid będzie pracowała, o ile oczywiście zjawią się robotnicy, mała może biegać z miarką i udawać, że robi coś bardzo ważnego, cioteczka wykaże się swoimi kucharskimi umiejętnościami, a wszyscy będą mieli oczy i uszy szeroko otwarte. Aha, dla tej grubej pokojówki musi być pani szczególnie uprzejma...

— Dlatego, że jej nie znoszę?

— A Ingrid nie przepuści żadnej okazji do porozmawiania z Guilbertem, jeżeli tu się pokaże. Pogawędki na tarasie przy pawilonie mile wskazane... Nie unikać tematu morderstwa, wręcz przeciwnie, pilnie nasłuchiwać, co on na ten temat powie. Nie sądzę, żeby maczał w tym palce, ale jestem niemal pewien, że coś skrzętnie ukrywa. Chciałbym jak najszybciej go rozszyfrować, poczekam więc najpierw na wiadomość od mądrej mamusi panny Gusti, a potem od naszego Juliusza Cezara. A nuż dowiemy się czegoś nowego? Teraz jednak nie zatrzymujcie mnie dłużej. Stary Morais musi trochę pogłódkować, a trzy piękne i mądre damy raczej go rozpraszają. Zaszyję się w skromnym pokoiku wynajętym dla skromnego elektryka, wyciągnę na łóżku, a przede wszystkim wsunę nogi w moje ulubione pantofle — ukłonił się trzy razy i wyszedł.

Patrzyły za nim w milczeniu, dopiero po chwili ciotka mruknęła:

— Ach, ci mężczyźni! Zawsze muszą podkreślić, jacy to oni ważni. Porozmawiajmy jeszcze chwilkę, ale nie o tych okropnościach, bo nie będziemy mogły zasnąć. Pomóżcie mi, dziewczyny, ułożyć jadłospis na najbliższe dni. Muszę zrobić na gospodarzach dobre wrażenie, jeżeli mam dłużej zostać ich kucharką.

Przeniosły się do stolika i nie zauważyły nawet, kiedy nadeszła północ. Wtedy to zapukał portier i zawiadomił, że do panny Steffens jest pilny telefon z Paryża.

Punktualnie o siódmej Margret Weber i Guilbert Brochelino spotkali się w holu szacownego hotelu „Continental”. W swoim prostym, ale drogim czarnym kostiumiku Margret wyglądała bardzo elegancko. Guilbert przywitał się z nią serdecznie i spytał, gdzie proponuje zjeść kolację.

— Szczerze mówiąc, wolałabym zostać w hotelu. Jest tu o wiele spokojniej niż w innych lokalach, a przecież umówiliśmy się na rozmowę, a nie na oglądanie i pokazywanie się w towarzystwie.

— Podzielam zupełnie pani zdanie. Proszę zaczekać chwileczkę, złożę tylko zamówienie — zaprowadził ją do fotela w holu, a sam wszedł do restauracji i rozmawiał z kierownikiem sali.

Margret zamyśliła się patrząc za nim. Wyglądał nie najgorzej, trochę przygarbiony, blady i wychudzony, nie sprawiał jednak wrażenia człowieka ciężko chorego. Sposób zachowania, poruszania się, świadczyły o silnym charakterze.

Weszli po chwili do stylowej sali. Podchodząc do stojącego w kącie stolika, Guilbert rzekł:

— Zgadza się pani z moim wyborem? Tutaj nikt nie zobaczy nas z ulicy, a z sali też będziemy niewidoczni.

Podał jej kartę dań, które wybrał, i spytał, czy coś chciałaby zmienić. Podziękowała za wino, gdyż nie piła wcale alkoholu. Natychmiast zrezygnował także. Dopóki kelnerzy sprawnie uwijali się z podawaniem do stołu, rozmowa toczyła się wokół pokazów mody, życia w Paryżu, podróży i temu podobnych tematów. Guilbert opowiadał o swoim pobycie w Brasilii, budowanej od podstaw z ogromnym rozmachem nowej stolicy tego południowoamerykańskiego państwa. Margret zrewanżowała mu się wrażeniami z urlopu, który spędziła z córką w Lugano.

Gdy podano deser, mogli wreszcie zacząć rozmowę, która była celem zaproponowanego przez Guilberta spotkania.

— Jak już wspomniałem, chciałbym usłyszeć obiektywną opinię o Madeleine: jaka była niegdyś, jak żyła, co robiła. Jednym słowem chodzi mi o fakty, których nie znam, a które mogą mi być przydatne. Nie będę ukrywać, że przydatne do wykrycia prawdziwego zabójcy mojej żony. v

Margret popatrzyła na niego ze spokojem i rzekła powoli:

— Intryguje mnie pańskie stwierdzenie, ale najpierw opowiem panu o Madeleine. Jak pan wie, nie pochodziła z książęcej rodziny, a swojej grubej i rubasznej matki wstydziła się zawsze. Przebojem wyrwała się ze swojego środowiska. Była ładna, zgrabna i inteligentna. Dopóki wszystko układało się po jej my-

śli, zachowywała się normalnie i niczego nie można było jej zarzucić. A morale? Gdybym powiedziała, że z żadną moralnością się nie liczyła, nie byłoby to zbyt-nią przesadą. Dziś kręciła z jednym, jutro z drugim, byleby tylko delikwent miał pełne kieszenie.

Nawet w ciągu tego roku, gdy przyjaźniła się z pewnym Niemcem, który okazywał jej wiele sympatii i wręcz ją kochał, nie uważała za konieczne dochowywać mu wierności. Wypomniałam jej to wprost i od tego czasu nasze stosunki praktycznie się urwały.

Popatrzyła na Guilberta, który machnął ręką i rzekł:

— Ta sprawa nie ma już dla mnie żadnego znaczenia. O Wernerze Helmerdingu wiedziałem jeszcze przed ślubem. Nie ma sensu roztrząsać dziś powodów, dla których ożeniłem się z Madeleine, w każdym razie bardzo wtedy chciałem mieć dziecko. Mogłem wprawdzie poszukać żony we własnym środowisku, ale wiedziałem, że nie znajdę tam kobiety odpowiednio przygotowanej do życia. Żadna z nich nie wytrzymałaby stosunków panujących w naszej rodzinie, ale wolę nie rozwodzić się na ten temat. Poznała pani trochę moją matkę, więc bez trudu zrozumie, że życie z nią pod jednym dachem, w dodatku wraz z moim zarozumiałym bratem, byłoby nie do wytrzymania. Nie pomyliłem się w chłodnych kalkulacjach, bo Madeleine i moja matka, obie Francuzki z pochodzenia, jakoś znalazły wspólny język. Do czasu jednak, bo kiedy Madeleine urodziła syna, zapanowała między nimi otwarta wrogość, do której przyłączył się także brat. Proszę się nie przerażać, ale był on kochankiem mojej żony, o czym już wtedy wiedziałem.

— Mój Boże, Madeleine posunęła się aż tak daleko?

— Tak. Wiem jednak na pewno, że romans ten zaczął się dopiero po narodzinach mojego syna. Gdy się o tym dowiedziałem, wyprowadziłem się do pawilonu w parku i mieszkam tam do dziś, gdy przebywam w Monfalcone.

— Musiało to być dla pana straszne przeżycie...

— Przeszedłem przez to łatwiej, niż mogłem się spodziewać. Zależało mi tylko na synu. Zgodnie z testamentem mojego przezornego albo zwariowanego ojca, sam nie potrafię ocenić, fabryki Brochelinich miały przypaść właśnie mojemu synowi. Gdy zginął, sprawa ta przestała mnie interesować. Guilbert

uśmiechnął się gorzko. — Sytuacja powróciła do stanu wyjściowego, a majątek Brochelinich należy równo do nas trojga: matki, brata i mnie.

— A gdyby zostało was tylko dwoje?

— Odpowiedź jest prosta: każdy dostanie połowę. Przeżyje jedno, odziedziczy całość. Zwykła matematyka, prawda? Takie rozporządzenie obowiązywało przed urodzeniem się mojego syna., i obowiązuje znowu po jego śmierci.

— To straszne. Nie potrafiłabym żyć pod taką presją psychiczną.

— Ja też nie potrafię, *madame*, i dlatego często wyjeżdżam i czekam, aż coś się zmieni. Ale wróćmy do Madeleine. Stwierdziła pani, że zawsze miała kłopoty z dochowaniem wierności. Przekonałem się o tym na własne oczy, gdyż po śmierci naszego dziecka zupełnie już nie ukrywała, że romansuje z moim bratem. Może mi pani nie współczuć, bo już wtedy była dla mnie kimś całkowicie obojętnym. Udawałem, że o niczym nie wiem, i wyjeżdżałem na długie miesiące za granicę pod pretekstem podreperowania zdrowia. Nic mi oczywiście nie dolegało. Herkulesem wprawdzie nigdy nie byłem i nie będę, ale na zdrowie narzekać nie mogę — zaśmiał się, ale oczy pozostały smutne.

— O ile dobrze pamiętam, to pański brat też uczestniczył w wypadku, w którym zginął ten mały?

— Wyszedł z niego lekko ranny.

— A pańska matka? Jak to wszystko przeżyła?

— Moje małżeństwo traktowała jako dopust boży, na śmierć wnuka natomiast zareagowała zbyt ostentacyjnie, jak na mój gust. Nie potrafię powiedzieć, czy wiedziała o romansie Alaina z moją żoną. Nie mam zamiaru jej o to pytać. Nie czuję takiej potrzeby.

— O zamordowaniu żony dowiedział się pan w Brazylii?

— Tak. Przebywałem akurat w nowej stolicy, a stamtąd można się wydostać tylko samolotem. Bilety trzeba rezerwować z wyprzedzeniem, więc kiedy przyjechałem do domu, odbywała się już druga rozprawa przed sądem w Turynie.

— Na pewno poczuł się pan lepiej wiedząc, że morderca Madeleine trafił za kratki — rzekła prowokacyjnie Margret.

— Zapomniała pani, że już przed południem powiedziałem, że sędziowie w Turynie pomylili się. Werner Helmerding nie zamordował mojej żony.

— Dlaczego więc nie wystąpił pan w jego obronie? Pańskie zeznania na pewno uchroniłyby go przed wyrokiem.

— Nie sądzę. Musiałbym wiedzieć, kto jest prawdziwym mordercą, a ja za- ledwie podejrzewam i muszę to trzymać w tajemnicy. Byłem wczoraj na Elbie i pozwolono mi przez dziesięć minut rozmawiać z Wernerem Helmerdingiem. Zdążyłem go zapewnić, że nie uważam go za sprawcę i zrobię wszystko, by doprowadzić do rewizji wyroku. Może pani sobie wyobrazić, co czułem w czasie tych dziesięciu minut, ale mara przynajmniej satysfakcję, że zostawiłem temu nieszczęśnikowi choć promyk nadziei.

— Co będzie dalej? Przepraszam, to nie moja sprawa, ale wyobrażam sobie, co musi czuć człowiek niewinnie wtrącony do ciężkiego więzienia.

— Zwłaszcza gdy cierpi za to, że ktoś pozbawił życia upadłą kobietę. Poprosiłem o rozmowę z panią, aby zyskać potwierdzenie z innego źródła, jak głęboko moja żona upadła i ustrzec się od ewentualnych pomyłek, bo czuję się zobowiązany wyciągnąć tego niewinnego człowieka z więzienia.

— Ale musi pan tam wsadzić kogoś innego? Kto to będzie?

— Jeszcze nie wiem. Mam pewne podejrzenia, ale rozumiem pani, że nie mogę o nich rozmawiać nawet z osobą, która jest mi życzliwa tak, jak pani. Czy w razie potrzeby mogę skontaktować się z panią?

Margret zastanawiała się chwilę, czy powiedzenie mu prawdy nie byłoby najlepszym rozwiązaniem. Uśmiechnęła się i rzekła:

— Zaskoczę pana, ale w pewnym sensie już jestem w kontakcie z zamkiem w Monfalcone, a pańskiej matce nie bez powodu poświęciłam dziś szczególnie dużo czasu.

— Wyjaśni mi pani bliżej, o co chodzi? — spytał wyraźnie zawiedzony.

— Oczywiście! Od niedawna moja córka pomaga pani architekt, która urzą- dza nowo wybudowane skrzydło waszego zamku. Mówię o pani Ingrid Steffens. Nie wydaje się panu, że to niezwykle zbieg okoliczności?

Odetchnął z ulgą, a na jego smutnej twarzy pojawił się uśmiech.

— Ależ to zabawne! W takim razie mam chyba dla pani najświeższe wiadomości od córki, bo w przeddzień mojego wyjazdu na Elbę spotkaliśmy się z panną Steffens i jej młodą asystentką przy kieliszku sherry.

— Wspaniale! Jak tam się spisuje moje maleństwo? Widać, że to jeszcze młode i głupiutkie, co?

— Jest przede wszystkim ładna i wesoła. Pasuje do Ingrid. To wyjątkowo mądra kobieta, wie, czego chce, zna swój fach i najwyraźniej go lubi. Ale porozmawiajmy raczej o mojej matce... Była w złym humorze?

— Raczej nie, ale jak już powiedziałam, niepotrzebnie wspomniałam przy niej, że jeden z modeli nazywa się „Madeleine”. Zauważyłam, że się uniosła, i natychmiast ją przeprosiłam.

— Jak się zachowywał Alain?

— Wyniosły, znudzony, ale wobec matki uprzedzająco grzeczny. Taki przy stojny, a przy tym strasznie niesympatyczny.

— Piękny i niebezpieczny jak kobra — skwitował krótko.

— Odniosłam wrażenie, że raczej się lubią.

— Żrą się ze sobą jak dwa psy i czekają, aż jedno z nich sięgnie wreszcie po cały majątek Brochelinich — rzekł spokojnie Guilbert patrząc na reakcję Margaret.

Przeraziła się i odruchowo złapała go z rękę, w której trzymał zmiętą serwetkę. Szybko cofnęła ją z powrotem, ale Guilbert wziął ją i kładąc na swojej dłoni, uśmiechnął się nieśmiało.

— Chciała coś pani powiedzieć, *madame*. Proszę mówić.

— Pana nie biorą pod uwagę? Przecież pan jeszcze żyje!

— Ano żyję i póki co, dochody z naszego majątku są dzielone na trzy części. Gdybym miał syna, on z chwilą osiągnięcia pełnoletności dostałby wszystko, a naszej trójce przypadłyby jakieś nędzne resztki. Rozumie teraz pani, na czym polegał pomysł ojca? Majątek przeznaczył dla wnuka wiedząc, że my doprowadzilibyśmy do jego podziału, a w rezultacie do roztrwonienia. Musiał przejrzeć na wylot charakter Alaina, który już od najmłodszych lat wymykał mu się spod kon-

troli. Nie inaczej było z matką, piękną, dumną i wyrachowaną Estellą Brocheli-
no. No i zwierzyłem się pani jak przyjacielowi. Wyrzuciłem wszystko, co leży
mi na sercu. Wie już pani teraz, z czym walczę, na czym się zawiodłem, czego
oczekuję i że liczę na znalezienie prawdziwego mordercy Madeleine.

— A jeżeli się panu nie uda?

— Wszystko w ręku Boga, *madame*, dlatego proszę, niech pani modli się za
mnie, bo ja już po tym wszystkim nie potrafię. Skończmy już rozmowę na mój
temat, a porozmawiajmy raczej o tym, co pani robi, co Panią interesuje. Odnoszę
wrażenie, jakbyśmy byli przyjaciółmi już od lat.

TLR

IX

O tym wszystkim Margret chciała opowiedzieć Ingrid, kiedy zadzwoniła do Monfalcone o północy, Margret zaczęła od wrażeń z przeglądu mody i spostrzeżeń o reakcji pani Brochelino na jej prowokacyjne uwagi. O rozmowie z Guilbertem powiedziała prawie wszystko i nalegała, żeby pan Morais szybko zdecydował, jak ma postępować dalej, gdyż umówiła się na następne spotkanie za dwa dni. Zauważyła z uśmiechem, że koszt rozmowy doliczy do wydatków inspektora, bo nie jest aż tak bogata, aby płacić za telefon z własnej kieszeni. Przy okazji spytała o swoją „zabkę” i stwierdziła, że chce usłyszeć przynajmniej jej głos.

Ciotka Linda przysłuchiwała się i zaglądała przez ramię Ingrid, która szybko notowała treść rozmowy.

— Hm, nie wiem, czy nie lepiej by było obudzić tego starego śpiocha, aby sam porozmawiał z tą kobietą? — burknęła, gdy Ingrid odłożyła słuchawkę.

— Na pewno bardzo by się złościł.

— Dziecko, a cóż mnie to obchodzi, czy ten żabojad się złości, czy nie? Mnie interesuje tylko los naszego biednego Wenera i gwizdę na humory wszystkich grubasów!

— Ja również, cioteczko! — zagrział tubalny głos inspektora od drzwi, w których ukazał się w piżamie w jaskrawe pasy i otulony mocno podniszczoną podomką. Przybiegł natychmiast, gdy z sąsiedniego pokoju usłyszał dzwonek telefonu.

— Oj, nie lubi się tu grubych detektywów, którzy zawsze nie w porę wtykają nos w nie swoje sprawy! Powiecie mi chociaż, co tu się dzieje? Pęknię z ciekawości, a jak szybko nie dacie mi ciepłego koca z szetlandzkiej wełny, to zacznę szczekać zębami, aż będzie słyhać na ulicy.

— Prędzej ze starości, niż z zimna! — odcięła się Linda, ale Ingrid już zdążyła przynieść pled i starannie otulała nim kolana inspektora.

— Cioteczka zawsze ma trochę jadu na podorędziu, ale ja już jestem uodporniony — mrucał poprawiając się wygodnie w fotelu. Splótł ręce na brzuchu i

bez mrugnięcia okiem chłonał każde słowo z relacji, którą składała mu Ingrid. — Coś ten Guilbert z każdym dniem zyskuje w moich oczach, za to ten przystojniak, Alain, coraz bardziej mi podpada. Najwięcej jednak intryguje mnie signora... Zamów no, żabko, rozmowę do twojej dobrej mamy, bo nie chce mi się ruszyć z fotela. Spisała się znakomicie, więc musimy jej dać następne zadanie. 1

Gusti podbiegła do telefonu, a pozostali próbowali rozmawiać czekając w napięciu, aż Margret odezwie się z Paryża.

Gdy zadzwonił telefon Morais zerwał się bez ociągania. Po kilku słowach powitania i podziękowań polecił, aby z rana odwiedziła w hotelu signorę i jeszcze raz przeprosiła za incydent z nadaniem imienia Madeleine jednej z kreacji. Potem powinna zadzwonić do Guilberta i spytać, czy nie mogłaby z nim przyjechać do Monfalcone, bo bardzo tęskni za córką.

Margret spytała, jak ma traktować Guilberta. Morais zastanowił się przez chwilę i rzekł prosto z mostu:

— Jak pani serce dyktuje, madame. Byłem świadkiem rozmowy Guilberta z Wernerem i starszy Brochelino zrobił na mnie korzystne wrażenie, ale o tym, że byłem na Elbie, niech mu pani raczej nie mówi.

— Och, *monsieur*, tak trudnych zadań jeszcze w życiu nie wykonywałam, choć pracuję już wiele lat — narzekała Margret.

— Bo nie pracowała pani dla grubego inspektora. Wtedy, gdy wyciągałem z dekoltu te słynne klejnoty, poradziłem sobie sam. Teraz mam nadzieję, że też mi się uda.

— Tym razem minie pana oglądanie pięknych biustów, inspektorze.

— I bardzo tego żałuję! — zaśmiał się i podał słuchawkę Gusti, która chciała powiedzieć matce dobranoc.

Ciotka Linda patrzyła spod oka na grubasa owijającego się starannie w ciepły koc i burknęła:

— Tu nie tylko pan rozumie po francusku, *monsieur*. Wolałby pan pewnie, żebyśmy nie słyszały końcowych fragmentów rozmowy?

— Niby dlaczego? Nie mam się czego wstydzić?

— Stary zbereźnik! Zaledwie kilka włosów na głowie, a w środku kudłate myśli! Lepiej pan zrobi, jeżeli powie nam od razu, czy rewelacje pani Weber mają jakieś znaczenie?

Ingrid trzymała inspektora za ręce i patrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

— To na pewno dobry znak dla Wenera. Musi dojść do ponownej rozprawy, prawda?

— Musi, ale jeszcze nie wiem, jak do tego doprowadzić. Gdzieś został popełniony błąd i trzeba to wykazać. Właśnie po to stary Morais tu przyjechał.

— Nie tylko, *monsieur*. Bez pańskiego optymizmu i pomocy chyba nie przeżyłabym tych ciężkich chwil. Próbuję nie myśleć o Wenerze, ale mi się nie udaje. Jak taki porządny i uczciwy człowiek, jak on, znosi upokorzenie, na które sobie nie zasłużył? — Ingrid nie wytrzymała. Wybuchnęła płaczem i przytuliła się do miękkiego ramienia inspektora.

— Moja panno, nie można pięć metrów przed metą załamywać się i marnować cenne siły! Bez koloryzowania opowiedziałem pani o zachowaniu Wenera w więzieniu. Na pewno nie jest załamany. Mocno wierzy, że Bóg go nie opuścił i pozwoli mu wyjść z tarapatów. Miłe panie, stary Morais jest już naprawdę zmęczony. Wam też radzę czym prędzej powskakiwać do łóżek...

— Mnie to chyba nie dotyczy? Ja mam w zwyczaju kłaść się do łóżka jak człowiek, a nie wskakiwać jak do barłogu — mamrotała ciotka pod nosem.

— ...bo jutro czeka nas poważna praca — skończył Morais ignorując uwagę Lindy. — *Signora* wróci lada dzień, a ja nie zdążę popsuć instalacji w pokojach tej damy i będę musiał wynieść się przed czasem — popatrzył na zaskoczone damy i okręciwszy się szczerlnie w pled, poczłapał w stronę drzwi.

Gusti wybuchnęła śmiechem, Linda pokiwała z politowaniem głową, a Ingrid patrzyła na plecy inspektora z nadzieją.

Kucharka dla służby wciąż chorowała, więc Linda przejęła jej obowiązki bez szmerania, bo woląa robić cokolwiek, byle nie siedzieć z założonymi rękoma. Nazajutrz z samego rana Morais skierował pierwsze kroki właśnie do kuchni. Zobaczywszy go w drzwiach, Linda skomentowała:

— Dawno tu pana nie było. Już się pan napracował?

— Robota leci mi z rąk, gdy długo nie widzę kogoś w kuchennym fartuchu, a serce wprost rwie się do miłych kucharek! — droczył się siadając obok pracowników kończących śniadanie.

— Myślałam, że zamiast serca ma pan dwa żołądki! Zanim napelni pan jeden z nich kawą i kanapkami, mógłby pan zawołać pannę Steffens i jej asystentkę! Dlaczego akurat one mają głodować, gdy wy, darmozjady, tracicie więcej czasu przy stole, niż przy robocie?

— Pójdę, ale najpierw proszę mi posmarować chleb tym pachnącym paszтетem, który do mnie mruga z górnej półki.

— Żebym ja panu nie mrugnęła! Jazda mi po te dziewczyny!

Morais zerwał się jak wystrzelony z procy, w przybudówce zagwizdał na palcach, a po chwili w oknie na pierwszym piętrze pokazała się głowa Gusti. Niedługo obie z Ingrid weszły do przestronnej kuchni.

Wszyscy z uśmiechami odpowiedzieli przyjaźnie na powitanie Ingrid, która trochę zmieszana przeproszała:

— Nie przeszkadzajcie sobie, proszę. Dziękuję bardzo za kawę. Dziś na górze jest wyjątkowo chłodno, więc chętnie się rozgrzejemy.

Przysiadła się do lokaja o imieniu Luigi, natomiast Gusti zajęła miejsce obok grubego „montera” i zanim ten się spostrzegł, sprzątnęła mu z talerza dwie kromki posmarowane grubo paszтетem. Zauważywszy stratę, zmierzył ją groźnym wzrokiem i spytał:

— Czy w waszym fachu toleruje się kradzieże? — a wybuchnąwszy śmiechem rozczochrał jej włosy i szturchnął w plecy.

Ingrid tymczasem zagadnęła Luigiego o przeprowadzkę pokoi Alaina.

— Myślę, że lada dzień będzie można ją rozpocząć. Sighor przywiezie brakujący materiał na pokrycie ścian w gabinecie i ciężkie, duże meble można przetransportować po kolei.

— Dobrze byłoby rozpocząć od wielkiej szafy na broń, ale żeby ją ruszyć, najpierw musiałby elektryk zdemontować wewnętrzne oświetlenie.

— Dobrze, że mi pan o tym powiedział. Jest ta szafa zamknięta, czy też Rudolf mógłby odłączyć to światło od razu? — Ingrid nie czekając na odpowiedź podniosła głowę i zawołała do inspektora: — Rudolfie, w pokoju panicza Alaina trzeba zdemontować instalację!

„Rudolf” się nie odezwał. Dotychczas nie było potrzeby wołania inspektora, więc Ingrid musiała go ochrzcić na poczekaniu. Żuł spokojnie swoje kanapki z pasztetem, gdy nagle dostał od Gusti mocnego kuksańca.

— Ingrid pana woła, Rudolfie!

— Co, co? To o mnie chodzi? — zmieszał się, ale głośno zawołał. — Co pani mówiła, panno Steffens?

Ingrid powtórzyła swoją prośbę, a Morais zrozumiał, że nadarza się okazja zajrzenia do pokoi Alaina, więc szybko spytał lokaja.

— Ma pan dostęp do kluczy?

— A jakże! Nawet do szafy z bronią, bo przed wyjazdem panicz Alain kazał mi ją gruntownie wysprzątać. Bez problemu może pan zdemontować tę swoją elektrykę.

— W takim razie ja przygotuję ścianę, przy której ma stanąć ta szafa, aby jutro można było ją przenieść. Pan, Rudolfie, jeżeli już skończył pan śniadanie, niech pójdzie od razu z Luigim. Zmarnowaliśmy już i tak sporo czasu, bo ciągle kogoś brakuje.

Po śniadaniu Morais szedł na górę za Luigim, który nagle poczuł się bardzo wpzną osobą dysponującą kluczami.

Pokoje Alaina były dokładnym odbiciem gustów ich lokatora: przepych, nagromadzenie ozdób, kosztowności, złoto i jedwabie. Przeważała czerwień. Morais aż otrząsnął się ze wstrętem, gdy zobaczył stojące na ozdobnym podeście łóżko nakryte krwistoczerwoną, jedwabną narzutą. Nad nim zwisały kotary w identycznym kolorze, spięte u góry w baldachim zwieńczony wielką, złotą koroną.

— Do stu diabłów, ależ tu jest pięknie!

— *Signor* ma dobry gust, mój drogi, ale pan i tak tego nie zrozumie.

— Nie przeczę. Ja w każdym razie nie mógłbym zasnąć w szkarłatnej pościeli. Oho, to chyba jest ta szafa na broń... Rany boskie, mógłby uzbroić cały pułk!

— To takie hobby panicza Alaina, ale pan i tak nie wie, o czym mówię. — Luigi zatrzasnął „monterowi” przed nosem ciężkie drzwi wyłożonej czerwonym suknem szafy. — Aha, miał pan odłączyć w niej światło... Jak to zrobimy? — przypomniał sobie.

— Krótkie spięcie i po kłopotcie! — rzekł, obmacując trzy lampy palące się we wnętrzu wielkiej szafy. — Cholera! Już parzą! Co za idiota pozakładał tak mocne żarówki? Popałą się z godzinkę i będzie pożar, jak* się patrzy! — marudził Morais szukając kabli. — Niezłego fachowca musieliście tu zatrudnić... tak spartaczony roboty w życiu nie widziałem! Biegnij, chłopie, na dół i wykręć główny bezpiecznik! Piąty od lewej, zrozumiano? \

— Aż taki ciemny to znowu nie jestem! Zaraz wracam.

— Nie ma pośpiechu, żarówki i tak muszą najpierw ostygnąć, bo nie chcę, aby przez byle głupstwo szlag mnie trafił — „monter” uśmiechnął się głupkowo, Luigi również. Ale gdy lokaj wyszedł, w „nieudacznika” jakby strzelił piorun.

Jednym susem dopadł szafy, powysuwał wszystkie regały, przerzucił pudełka z zabytkowymi pistoletami do pojedynków, aż doszedł do nowoczesnych browningów. Wiedział dokładnie, czego szuka. Rzeczywiście, bez żadnych kłopotów odnalazł broń o takim kalibrze, jak ta, którą znaleziono przy Wernerze.

W magazynku brakowało trzech naboí, dwa pozostały na miejscu.

— To jednak prawda, że każdy przestępcą zostawia jakiś ślad!

mruknął owijając starannie pistolet w chusteczkę i pakując go do przepastnej kieszeni spodni. Gdy Luigi wszedł, „monter” był już zajęty pracą.

— Wykręcił pan ten bezpiecznik?

— Jasne!

— To dobrze. Proszę więc zakasać rękawy, bo musimy przesunąć tę szafę. Puszka pewnie znajduje się przy podłodze. Hej, raz! Ależ to bydlę ciężkie! Uff,

dobrze, że zjedliśmy chociaż porządne śniadanie — obaj zasapani wycierali pot spływający po czołach.

Morais wcisnął się za szafę i odłączył przewody elektryczne z taką wprawą, jakby całe życie nie robił nic innego.

— No, to teraz musimy wstawić tego kłoca z powrotem, bo *signor* poobrywałby nam uszy, gdybyśmy mu tu zostawili bałagan, a pewnie nie byłby w ogóle zachwycony, że buszowaliśmy po jego pokojach.

— Oj, pewnie tak! — przytaknął Luigi przypomniawszy sobie dzięki awantury, jakie młody panicz wywoływał pod byle pretekstem. — Lepiej się nie przyznajmy, żeśmy ty wchodzili. Przewody odcięliśmy i nikt nie musi o tym wiedzieć.

— Tak też myślę. Panna Steffens zaś może zabrać ten mebel, kiedy tylko będzie chciała. Pan Alain często zagląda do szafy z bronią?

— Prawdę mówiąc, w ogóle nie. Nigdy też nie widziałem, żeby wychodził z bronią, choćby na polowanie, jak jego świętej pamięci ojciec. Leniuchuje całymi dniami, czyta lub gra na tej przeklętej harfie — Luigi wskazał na instrument zajmujący niemal połowę pokoju.

— Nie powiem, mnie się to jego granie podoba, zwłaszcza takie stare, tkliwe melodie.

Morais podniósł pokrowiec i szybko zasłonił kapiący złotem instrument.

— Mężczyzna grający na harfie to jednak chyba przesada! — skrzywił się z niesmakiem.

— *Signora* również tak uważa i złości się, gdy usłyszy, że Alain gra. Czasami nie Wytrzyma i wysyła mnie z poleceniem, aby natychmiast przestał.

— I co, przestaje?

— Gdzież tam! Śmieje się jak diabeł i szarpie struny jeszcze mocniej.

— Coś podobnego! To rodzina, a tak sobie robią na złość? A ten drugi *signor*, co mieszka w pawilonie, też taki jest?

— Ten jest w porządku, ale nie ma tu nic do gadania. Nawet nie pokazuje się w zamku od czasu, gdy stracił dziecko.

— To było też jakieś dziecko? A to historia! Nic o tym nie słyszałem, opowie mi pan? — Morais rozsiadł się na swojej walizce z narzędziami, a Luigi przysunął sobie pokryty szkarłatnym jedwabiem taboret.

— Co tu opowiadać, panie? Pewnego dnia Alain zabrał opiekunkę i synka panicza Guilberta na przejażdżkę samochodem. Malec piszczał i skakał z radości, bo bardzo lubił wycieczki ze stryjem. Matka chłopca, piękna kobieta, mówię panu, pocałowała go, gdy siedział już obok opiekunki, babcia kiwała na pożegnanie, a ojciec, czyli panicz Guilbert, sprzeciwiał się, by dziecko jechało otwartym samochodem. Kazał dziewczynie, żeby przynajmniej zawiązała mu chustkę na głowie... i było po wszystkim.

— Jak to? Człowieku, przerywa pan w najciekawszym momencie?

— Na drodze do wsi doszło do wypadku. Wyjechał wóz z sianem i panicz Alain próbował go ominąć, ale przy dużej prędkości samochód się wywrócił... dziecko i opiekunka zginęli na miejscu, a Alain ze złamaną ręką i raną na głowie znalazł się na kilka tygodni w szpitalu. Chłopczyk wyjechał tryskając radością, a wrócił do zamku nieżywy...

— Biedni rodzice! To musiała być rozpacz, co?

— Szkoda gadać. Pan, blady jak śmierć, milczał niby grób i niedługo po tym wyjechał. Matka malca strasznie rozpaczała, ale kiedy drugi panicz wrócił ze szpitala, pozbierała się i włożyła kolorowe stroje. Od razu poweselała.

— Co pan chce przez to powiedzieć?— spytał Morais.

— Nic nie chcę powiedzieć, ale skoro pan nalega... Młoda pani chyba się zorientowała, że panicz Alain jest jednak przystojniejszy od brata, czyli jej męża. Teraz już pan rozumie?

— Nie jestem głabem. A jak to było z tym wypadkiem młodej pani? Naprawdę zastrzelił ją dawny kochanek?

— Oj, to było straszne! Leżała z dziurą w plecach na skraju naszego parku...

— Patrz pan, co za los! Bogacze ciulają te pieniądze, kupują kosztowności, a szczęścia jakoś nie mają! Ja tam nie jestem bogaty, a czuję się szczęśliwy. Wróć po pracy do domu, siadę przed telewizorem, zapalę sobie i czego mi więcej potrzeba? Milionów?

— Chyba ma pan rację. Skoro skończyliśmy, przesunmy szafę na miejsce i idźmy lepiej stąd, by nas ktoś nie zobaczył.

Wieczorem w hotelu Morais obejrzał dokładnie zabranego z szafy brownin- ga i ostrożnie, by nie zetrzeć ewentualnych odcisków palców, obłożył go watą. Przyglądającej mu się ciotce Lindzie wyjaśnił, że musi go zawieść obrońcy Werner Helmerdinga wraz z rzeczami wyjętymi z szafy pani Estelli. Za trzy dni będzie z powrotem. Ciotce polecił pilnować w tym czasie dziewcząt, gotować dobrą kawę i nie otruć przedwcześnie jaśnie państwa, gdyż w razie potrzeby woli to zrobić osobiście.

Linda zerknęła z ukosa.

— To już wszystkie rozkazy? — syknęła.

— Jeszcze tylko dwa życzenia, cioteczko.

— Powie mi pan jakie?

— Aby nie zapomniała pani o mnie i czasami mile wspomniała.

— Stary bałamut! Aż trudno uwierzyć, że w pracy ma pan jakieś sukcesy — pstryknęła go w nos. — Niech pan szybko wraca, bo bez pana czujemy się trochę zagubione.

Obiecał to. Wczesnym rankiem wsiadł do pociągu, a wieczorem siedział już w gabinecie adwokata broniącego Wernera Helmerdinga. Przedstawił mu szczegółowo wszystko, co już ustalił, załatwił i zobaczył. Opowiedział też o zamierzeniach i poprosił, żeby napisał Uspokajający list do Wernera, bo tylko jemu, jako adwokatowi, wolno było korespondować z nim.

— Po co mamy trzymać człowieka w niepewności, kiedy wiemy już, że istnieje jakaś szansa na uwolnienie go? Kiedy wyjdzie, musi być w jak najlepszej kondycji — przekonywał Morais.

Margret Weber poszła na spotkanie z Guilbertem Brochelino, na które umówiła się telefonicznie nazajutrz po ich rozmowie. O tym, że rano, zgodnie z poleceniem inspektora Morais, odwiedziła jego matkę, nie wspomniała ani słowem.

Poszła do hotelu i, o dziwo, Estella zgodziła się ją przyjąć natychmiast. Wścibska Luisa zaprowadziła Margret prosto do salonu, gdzie jej pani siedziała przy ǐście królewskim śniadaniu.

— Cóż panią sprowadza do mnie z samego rana, moja droga? Wytłumaczyła pani moją wczorajszą niedyspozycję przed panem Latourem? — spytała, a ponieważ nie wskazała na krzesło, Margret stała w drzwiach jak służąca. Nie przejęła się tym i grzecznie odpowiedziała:

— Wyjaśniłam panu Latourowi, że poniekąd to ja popsułam pani dobry nastrój, więc on także dołącza się do moich przeprosin. Nigdy sobie nie wybaczę, że w nietaktowny sposób wymieniłam imię pańskiej tragicznie zmarłej synowej, a na dodatek przypomniałam jej niezwykłą urodę...

— Proszę przestać! Czy nie widzi pani, że od nowa zaczyna mnie denerwować? — krzyknęła rozwścieczona Estella.

— *Pardon, madame.* Rzeczywiście ze mnie niezdarą...

— Nie da się ukryć. Coś jeszcze?

— Przyniosłam szkice wczoraj prezentowanych modeli. Pan Latour kazał przekazać, że jeżeli wybierze pani któryś z nich, przyśle do hotelu modelki, aby pani mogła obejrzeć kreacje z bliska.

— Proszę mi to dać — burknęła wyciągając rękę, a Margret podała jej teczkę z rysunkami. — Hm, niektóre są niebrzydkie... niezbyt wyszukane czy przesadnie nowoczesne. Tylko po co te dziwne nazwy? Jak można było ten piękny kostium nazwać „Elba”? — jej głos jakby złagodniał. — Dlaczego pan Latour wybrał akurat nazwę tej okropnej wyspy?

— Mnie Elba zawsze kojarzy się z pięknym krajobrazem...

— Nie przeczę, ale jest tam także okropna twierdza, w której trzyma się skazańców, przeważnie tych najgroźniejszych przestępców. Odsiadują tam dożywocie... to im się należy! Jeżeli ktoś popełnił zbrodnię, to musi pokutować do końca życia... a nie tylko przez śmiesznych osiem lat! I to za morderstwo! Przez pani głupie uwagi znowu nachodzą mnie bolesne myśli.

— Rozumiem, że obudziłam tragiczne wspomnienia, ale dopiero teraz skojarzyłam, że na Elbę przewieziono zabójcę pani synowej

— Margret podeszła bliżej, by lepiej obserwować reakcje Estelli.

— Dostał te osiem lat, o których pani wspomniała. Moim zdaniem to wystarczająco dużo czasu na pokutę. Wyjdzie stamtąd jako wrak człowieka, o ile w ogóle przeżyje...

— Osiem lat to dużo, ale za mało na wyciszenie naszego bólu i chęci zemsty na mordercy. Sądzi pan, że Guilbert kiedykolwiek zapomni, kto tak brutalnie zniszczył mu małżeńskie szczęście i zrujnował życie?

Margret musiała zebrać wszystkie myśli, by nie zdradzić się jakimś nieopatrzonym słowem. Podeszła bliżej i zobaczyła strach, niepewność i nienawiść na ściągniętej twarzy Estelli.

— Bardzo współczuję pani synowi, zwłaszcza że w krótkim odstępie spadły na niego aż dwa nieszczęścia. W relacjach z procesu czytałam o wypadku, w którym zginął syn pana Guilberta. Czy to on prowadził wtedy samochód?

— Nie. To mój biedny Alain był naocznym świadkiem tej tragedii, sam zresztą został poważnie ranny. Po co ja z panią w ogóle rozmawiam na te tematy? Przyjechałam do Paryża, aby się trochę odprężyć, a pani zmusza mnie do rozgrzebywania bolesnych wspomnień. Jest pani wyjątkowo nietaktowną osobą i będę musiała prosić pana Lotoura, żeby następnym razem przysłał do mnie kogoś innego. — Energicznym ruchem pokazała drzwi. — Mam nadzieję, że widzimy się ostatni raz!

Margret nie odważyła się na ripostę. Ukłoniwszy się wyszła bez słowa.

Na korytarzu natknęła się wprost na Alaina wychodzącego akurat ze swojego apartamentu. Popatrzyła na niego i zagadnęła:

— Przecież my się znamy! — zaczęła i przypomniała mu wczorajszy pokaz.

Machnął niedbale ręką i uśmiechnął się lodowato.

— Niech pani tak się tym nie przejmuję. Mama histeryzuje z byle powodów szybko traci nerwy. Po tragedii w naszej rodzinie trzeba jej to wybaczyć. Obiecuję, że następnym razem będzie już w lepszym nastroju. Do widzenia pani — ukłonił się i wszedł do pokoju matki.

Margret stanęła jak słup soli. Ten człowiek zrobił na niej jeszcze gorsze wrażenie niż Estella: oschły, bezwzględny, wręcz niebezpieczny... Wybiegła z hotelu półprzytomna. Całe szczęście, że do spotkania z Guilbertem pozostała jeszcze godzina, bo gdyby miała rozmawiać z nim teraz, na pewno domyśliłby się, że coś się stało.

Kiedy Guilbert podjechał po nią samochodem pod hotel „Continental”, była już zupełnie spokojna. Na jego twarzy też widać było spokój i nie ukrywaną radość. Na powitanie z szacunkiem pocałował Margret w rękę i zaproponował wyjazd do Saint-Cloud, do uroczej winiarni, o której Alain na pewno nie wie i nigdy tam nie bywa.

Po drodze rozmawiali cały czas. Guilbert wiele podróżował, a na dodatek był wyśmienitym gawędziarzem. Usiedli w zacisznym kąciku, jakby wymarzo-
nym do intymnych rozmów.

— W pani towarzystwie czuję się innym człowiekiem, *madame*. Takiego spokoju, jaki z pani emanuje, nie zaznałem jeszcze nigdy w życiu.

— Mam nadzieję, że nie chciał pan powiedzieć w tak oględny Sposób, że jestem po prostu nudna. — Margret próbowała utrzymać dystans, ale pamiętając cały czas o poleceniu inspektora Morais, była spięta i nie potrafiła zebrać myśli. Wciąż zastanawiała się, jak mu powiedzieć, że chce z nim pojechać do Monfalcone.

— Pozwoli pani, że nie odpowiem na tę prowokację?

— Pozwalam. Odłóżmy to *ad acta*. *A propos* akt. Bardzo się pan pogniewa, jeżeli jeszcze raz wrócę do bolesnego tematu śmierci pańskiej żony?

— Bynajmniej, jeżeli to dla pani ma jakieś znaczenie. Dla mnie ten rozdział życia jest już zamknięty i chcę o nim jak najprędzej zapomnieć.

— Ja też bym nie wracała do tego tematu, ale wczorajsze oświadczenie pana, że ten skazany nie jest prawdziwym mordercą, zupełnie wytrąciło mnie z równowagi. Swego czasu u Latoura wszyscy interesowaliśmy się tą sprawą i także mieliśmy wrażenie, że ten Niemiec nie zamordował Madeleine. Czy akta tej sprawy są już ostatecznie zamknięte?

— Z całą pewnością dla sądu, skoro winny przebywa już w więzieniu. Dla mnie natomiast, jak już pani mówiłam, jeszcze nie. Szukam prawdziwego mordercy, a choć w wielu punktach błędzę po omacku, mam szczerą wolę doprowadzenia tej sprawy do końca. Dlatego też wkrótce będę musiał wyjechać z Paryża, co po wczorajszym dniu wcale nie przyjdzie mi łatwo. Muszę pani tłumaczyć, co miałem na myśli, Margret? Niech mi pani pozwoli zwracać się po imieniu, bardzo proszę!

Patrzył na nią tak ujmująco błagalnym wzrokiem, że uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

— Nie widzę powodu, żeby się nie zgodzić, a co do wyjazdu z Paryża, to miałabym pewną propozycję... — zaczęła uradowana, że być może trafią do celu i nie będzie musiała uciekać się do kłamstw.

— Oj, bardzo nie chciałbym wyjeżdżać stąd przygnębiony!

— Ja też nie, bo nie lubię, gdy ktoś się smuci. Moja propozycja polega na tym, że ja wyjadę także.

— Ale to niczego nie zmienia!

Chyba, że będzie to wyjazd do Monfalcone... Poważnie: stęskniłam się już za córką, jak już panu mówiłam, praktykuje u panny Steffens. Rzadko się widzimy, więc korzystam z każdej wolnej chwili, by ją odwiedzać.

— Czy mam rozumieć, że wyjedziemy z Paryża w tym samym kierunku?

— Posunęłabym się dalej i zaproponowała, abyśmy wyjechali jednym, czyli pańskim samochodem — rzekła nieśmiało, niepewna jego reakcji. Zobaczywszy promienny uśmiech na twarzy Guilberta, poczuła się trochę nieswojo, że uciekła się do drobnego kłamstewka, ale nie mogła mu przecież powiedzieć, że jedzie do Monfalcone, bo tak kazał jej inspektor Morais. Ostatecznie chodzi o bardzo ważną sprawę... Uśmiechnęła się i nie cofnęła ręki, którą Guilbert z błyskiem w oczach podnosił do ust, by złożyć na niej gorący pocałunek.

— Pani mnie rozpieszcza, Margret. Nie jestem przyzwyczajony do radości, choć, jak wszyscy Brochelini, należę do ludzi zamożnych. Ale cóż, bogactwo nie dla> wszystkich jest źródłem radości. Pocieszam się myślą, że może jednak kiedyś będę jeszcze szczęśliwy, choć zdaję sobie sprawę, że wcześniej muszę doświadczyć goryczy, rozczarowań, a nawet niebezpieczeństw... Ale panią na pewno męczą moje wynurzenia?

— Wcale bym tego nie powiedziała! Więc jak, zabierze mnie pan do Monfalcone?

— Zabierze? To zbyt słabe sformułowanie. Oddaję siebie i samochód do pani dyspozycji! Nie spytałem, czy pani córka mieszka na terenie zamku, czy też w miasteczku?

— Obie z panną Steffens wynajmują pokoje w hotelu. Pojedziemy więc do miasteczka i zobaczy pan, jakie przedstawienie urządzi moja trzpiotka, gdy niespodziewanie stanie oko w oko z mamusią.

— Trudno mi to sobie wyobrazić, bo u nas jakoś nikt nie skacze z radości, gdy mama wraca z jednej ze swoich długich podróży. Nigdy nie lubiła Monfalcone i nazywała dom ponurym pudłem. To między innymi z tego względu zdecydowaliśmy się na przebudowę zamku i wydzielenie trzech odrębnych, nowoczesnie urządzonych mieszkań. Ja w każdym razie nie wiem jeszcze, czy zdecyduję się opuścić pawilon w parku, gdzie ze starym lokajem mieszka mi się całkiem wygodnie, a co najważniejsze, nie muszę utrzymywać bliskich kontaktów z rodziną. Niełatwo wytrzymać na co dzień z moją matką i bratem, oj nie!

— Mogę to sobie wyobrazić. Przyznam otwarcie, że bałabym się zostać sama z pańskim bratem, choć pod względem urody zrobił na mnie olśniewające wrażenie.

— To zły człowiek, a urodę to chyba sam diabeł mu sprezentował. Niech pani się nie dziwi, że tak wyrażam się o bracie, ale między nami zawsze panowała nienawiść, a że nie doszło jeszcze do jakiegoś nieszczęścia, to tylko dlatego, że matce udaje się powstrzymać Alaina. W grze o majątek nie ma miejsca na sentymenty. Po śmierci mojego syna wszystko wróciło do stanu wyjściowego i tak pozostanie, , dopóki jedno z nas nie wyzionie ducha. Wtedy znów zaczniesz się od nowa, aż do momentu, gdy na placu boju zabraknie przeciwnika.

Przykro słuchać takich rzeczy, prawda? Wróćmy lepiej do naszych spraw. Rozumiem, że jesteśmy umówieni. Wyjedziemy razem jutro z rana i wieczorem uściśnie już pani swoją stęsknioną córeczkę.

— Bardzo panu dziękuję! Cieszę się nie tylko na spotkanie z Gusti, ale także na ciekawą podróż.

— Nie przesadzę, jeśli spytam, czy ma pani na myśli także moje towarzystwo w czasie tej podróży?

— Jedno z tych prostych pytań, na które nie ma prostej odpowiedzi... — uśmiechnęła się Margret zadowolona, że zmienili temat. Załatwiła, co jej polecono, a o resztę niech martwi się pan Morais...

Powrót Estelli do Monfalcone oznaczał natychmiastowe pogorszenie się nastrojów wśród służby, głównie za sprawą grubej Luisy, która zaczęła komendować pokojówkami, lokajami i ogrodnikami. Od nowej kucharki trzymała się na razie z daleka, bo gdy tylko próbowała nabrać powietrza, żeby coś jej polecić, ta rzucała tak nieprzyjazne spojrzenie, że aż jej zatykało dech.

— Za szybko i za dużo pani gada, Luiso. Przecież słyszałam, co pani Brochelino zamówiła na kolację. Dziś przygotuję ciepłe danie, bo *signora* wróciła z podróży, ale to ostatni raz. Od jutra pracuję osiem godzin i ani minuty dłużej. O szóstej już mnie tu nie ma, rozumiano?

— Powinna się pani cieszyć, że w ogóle znalazła pracę, a z tego, co słyszę, wcale pani nie zależy na pieniądzach.

— Każdemu zależy. Pani chyba też, choć nie napracuje się na nie tak ciężko, jak ja — odparowała Linda nie przestając szpikować kawałka cieleciny.

Luisa zmrużyła oczy i syknęła;

— Co pani miała na myśli? Przecież pani nie wie, ile zarabiam!

— Moja droga, gdyby *signora* dobrze pani nie płaciła, to już dawno uciekła-by pani z tego ponurego zamczyska. Podać zielony groszek czy kalafiory?

— To mnie nie obchodzi. Chcę usłyszeć odpowiedź na moje pytanie!

— Proszę bardzo: mnie nie interesuje, co panią obchodzi. Pracuję dla *signor*y, więc radzę wziąć łaskawie swój tłusty tyłek w troki i pójść się spytać; którą jarzynę woli!

— Co! Pani jest...

— Kucharką! A pani swoim obszernym zadkiem zajmuje mi połowę kuchni i przeszkadza w pracy — rzekła Linda nie spojrzawszy w stronę dyszącej z wściekłości Luisy. Rzuciła tylko okiem na służące zajęte zmywaniem, które aż skręcały się z tłumionego śmiechu.

— Jak nie chce się pani gotować dla państwa, Barbara zrobi to za panią.

— Nie robi, bo boli ją brzuch i leży w łóżku. Żeby było jasne: tu ja rozkazuję! Więc proszę mi się tu nie pokazywać. Herbata będzie za dziesięć minut, zanieś ją na górę Luigi, żebym już nie musiała oglądać pani gęby.

— Zaraz powiem o wszystkim *signorze!*

— Nie radzę. O kucharkę teraz trudniej niż o uczciwą pokojówkę.

— Do mnie, pani pije?

— Niekoniecznie. Czasami sobie głośno myślę.

— Jutro wraca pan Alain. Zaraz zaczniesz pani inaczej śpiewać, bo on nie zgodzi się jeść kolacji na zimno.

— To mu pani podgrzeje resztki z obiadu, moja droga. Ja o szóstej wychodzę.

Luisa zerwała się i wybiegła z kuchni odprowadzana tryumfalnym śmiechem służby.

— Jeszcze zobaczycie, kto będzie się śmiał! Wszystkich każę powyrzucać, nicponie. Zatrudni się nowych ludzi! — mruzczała pod nosem Luisa idąc do *signory*.

Ale Estella nie miała głowy do wysłuchiwania skarg na służbę.

Zaraz po przyjeździe poszła do swoich pokoi, aby w samotności przemyśleć jeszcze raz, co naprawdę zdarzyło się w Paryżu. Po porannej wizycie Margret

Weber wpadł Alain i, jak zwykle, doszło do ostrej wymiany słów, po której żadne z nich nie czuło się zwycięzcą.

Położyła się na staromodnej kanapie i próbowała uspokoić nerwy, czekając na zamówioną herbatę. Rozglądała się po pokoju walcząc w ten sposób z myślami cisnącymi się do głowy. Nagle coś ją zaniepokoiło: stara szafa stała wyraźnie przesunięta kilka centymetrów w lewo, a po prawej stronie masywnej nogi widać było jaśniejszy ślad na podłodze! Zerwała się i na klęczkach przyjrzała się śladowi. Pod palcami wyczuła zgrubienie po nagromadzonym podczas zmywania brudzie przy krawędzi nogi, a za nim wąski pasek parkietu miał wyraźnie jaśniejszą barwę. Obeszła na kolanach szafę z trzech stron. Wyniosła i dumna Estella Brochelino czołgała się niemal po ziemi, a wniosek, jaki musiała wyciągnąć z tych oględzin, brzmiał złowieszczo: ktoś w ostatnim czasie odsuwał szafę! Serce biło jej jak oszalałe, z trudem łapała oddech... Kto buszował po pokoju, gdy ona była w Paryżu? — Alain — pomyślała w pierwszej chwili, ale przecież on wyjechał przed nią... Zatem kto? Luisa? Nie, były cały czas razem... Do stu diabłów! Muszę coś wymyślić... Guilbert! Skąd, jest w Piemencie, a poza tym nic nie wie o tym, co jest w szafie... Na pewno ktoś ze służby szukał kosztowności! W takim razie próbował wyważyć zamek.

Estella myślała gorączkowo, zerwała się i dokładnie obejrzała bogate zdobienia wokół zamka i zawiasów. Nic! Ani śladu. Dopiero gdy skaleczyła palec o ostrą krawędź, oprzytomniała i stanęła jak słup soli.

Usłyszawszy kroki Luisy przynoszącej herbatę, Estella rzuciła się na fotel i udawała., że jest czymś zajęta.

Gdy pokojówka ze skwaszoną miną przysunęła stolik z podwieczorkiem i zamierzała odejść, Estella odezwała się:

— Czy kazałaś tu posprzątać podczas mojej nieobecności?

— Jak można tu sprzątać, skoro *signora* cały czas nosi klucz przy sobie? Co, znowu coś zginęło czy też chodzi o posprzątanie, zanim nie rozpakuję walizek?

— Idź natychmiast na dół i dowiedz się, kto pod moją nieobecność wchodził do tego pokoju.

— Ktoś tu buszował? Zostawił jakieś ślady?

— Tak, i to wyraźne. Spróbuj popytać wśród służby, tylko nie krzycz na nikogo, a jedynie słuchaj, o czym rozmawiają.

Luisa wyszła zdenerwowana, a Estella sięgnęła do torebki po klucz i ostrożnie włożyła go do zamka. Wszedł i przekręcił się bez oporu. Drzwi uchyliły się bez hałasu, a na półkach wszystko leżało poukładane jak poprzednio.

Estella odetchnęła z ulgą. Zamknęła szafę i po wypiciu gorącej, mocnej herbaty od razu poczuła się lepiej. O wiele spokojniejsza czekała na powrót Luisy.

TLR

Ta wszedłszy wzruszyła szerokimi ramionami i patrząc niemal z wyrzutem rzekła:

— Nic, zupełnie nic! Na dole nikt nic nie wie. Luigi prawie się obraził, gdy spytałam, czy sprzątał w tym pokoju. Na pewno by powiedział, gdyby komuś kazał to zrobić.

Estella uniosła się w fotelu, popatrzyła na Luisę i burknęła:

— Idź już, nie będziesz mi potrzebna!

— A cóż to pani tak zdenerwowana?!

— Nie twoja sprawa. Zmykaj mi stąd!

Luisa poczerwieniała z wściekłości, ale bez słowa opuściła pokój. Tak zła *signora* dawno nie była. Co znowu wymyśliła? Już w Paryżu zachowywała się dziwnie, a polecenia wydawała burcząc pod nosem. Pewnie to wina Alaina. Dlaczego ci dwoje ciągle sobie skaczą do oczu? — zastanawiała się Luisa schodząc do kuchni. Elektryk zabawia tam towarzystwo, opowiada jeden dowcip po drugim, a ona ma siedzieć sama na górze? Walizki mogą poczekać na rozpakowanie...

W jadalni dla służby rzeczywiście było gwarno. Podwieczorek przedłużał się, a elektromonter siedział wciąż przy stole, palił fajkę i ani myślał wracać do pracy.

Ingrid pojechała z Gusti do Mediolanu, by dokupić materiałów, których w pobliskim miasteczku nie można było znaleźć. Linda pracowała w kuchni. Cała ekipa inspektora była więc zajęta, a on sam mógł skupić swoją uwagę na Luisie, która wpadła jak burza do jadalni i zaczęła przepytować Luigiego, czy sprzątał w pokoju signory. Czyżby w ciemnościach nie udało się postawić szafy dokładnie na starym miejscu? W takim razie będzie trzeba podjąć natychmiast działania, z którymi chciał jeszcze poczekać...

Popatrzył na Luisę, oparł łokcie o stół i spytał:

— Jak tam na górze? Ciągle burzliwa atmosfera?

— Zaraz się uspokoi.

— Kiedy młodszy panicz wraca do domu? — dopytywał się Morais.

— Zapłacił korzenie w tym Paryżu? Nasz Rzym to jest piękny i dzieje się tam wiele ciekawego, czemu tam nie jedzie?

— — *Signora* jest paryżanką, to co się dziwić, że syn też pokochał to miasto? Przed naszym wyjazdem pan Alain wspomniał, że wkrótce też wyjedzie. Mnie to nie obchodzi, to Luigi będzie miał więcej roboty.

—O rety, chyba *signora* dzwoni! — Luisa wybiegła, a pozostali natychmiast rozeszli się do zajęć.

Morais podszedł do Lindy i zaglądał jej przez ramię, jak starannie układa pokrojone jarzyny i wędliny na tacy. Skubnął najpierw rzodkiewkę, potem plasterk ogórka, połówkę jajka na twardo i nie odzywał się ani słowem.

. — Co tam? Po niewyraźnej minie widzę, że pan coś kombinuje.

—Ano kombinuję. Nie jestem jednak pewien, czy już mogę zacząć. Lindo, pani zawsze wszystko wie. Czy Guilbert i nasza pani Margret przyjadą już dziś wieczorem?

— Wiem, bo potrafię słuchać. Ogrodnik mówił, że lokaj Guilberta zadzwonił dziś rano i prosił, żeby w pawilonie pootwierać okna i wstawić do wazonów świeże kwiaty, bo jego pan wieczorem będzie już w domu.

— Sprytna cioteczko, co ja bym bez pani począł?!

— Poszukałby pan sobie sprytnego wujaszka! — zdzieliła go łyżką po palcach. — Jak już musi pan podbierać, to proszę łaskawie wziąć sobie łyżeczkę. Poplami pan sobie majonezem ubranie, to raz, a po drugie, ktoś przez pana dostanie mniejszą porcję.

— *Signora* na pewno nie zauważy, bo — jak sądzę — nie będzie miała dziś apetytu nawet na takie pyszności.

Linda popatrzyła na niego zdziwiona.

— To pan chce zacząć dziś wieczorem?

— Cioteczko, pani musi natychmiast wrócić do hotelu. Luigi odwiezie panią motocyklem.

— W życiu na coś takiego nie wsiądę! Musiałabym zwariować.

— Bardzo proszę, ale nie widzę innej możliwości dostarczenia pani do hotelu, tak by nikt tego nie zauważył. Tam zaczeka pani na Ingrid, która lada moment powinna wrócić i powie jej, żeby czekała na mnie z samochodem w pobliżu głównego wjazdu do zamku. Stop! Jeszcze nie skończyłem... Ta mała żaba zostanie z panią, bez żadnej dyskusji, jasne?

— Melduję posłusznie, że nie jestem idiotką.

— Mimo to wolę mieć pewność. Najgorsze, że jeszcze nie jestem gotów. W południe dzwonił do mnie doktor Burghard. Przyjedzie niebawem, więc będzie miał za zadanie pilnować, kiedy zjawi się Alain... Pani Margret zatrzyma się w hotelu, więc zachowujcie się normalnie, nie isteryzujcie, a przede wszystkim nie przeszkadzajcie mi w pracy.

Linda patrzyła na inspektora z coraz większą troską, kroić mechanicznie pietruszkę. Nagle spytała cicho:

— Czy grozi panu jakieś niebezpieczeństwo?

— Cioteczko, chyba nie chce pani powiedzieć, że mnie polubiła?

— A można pana nie lubić, stary szczurołapie?

Pogłaskał ją po siwej głowie, uśmiechnął się serdecznie i spojrzał tak ciepło, że zmiękły jej kolana.

— Bardzo pani dziękuję, cioteczko. Lubię, gdy mnie ktoś chwali, nabieram wtedy zapału i łatwiej pokonuję trudności. Po skończonej pracy mam przeważnie zły humor, więc proszę nie mieć do mnie żalu, jeżeli i tym razem tak[^] będzie.

Linda pokiwała głową i uśmiechnęła się.

—: Trudno się panu nie dziwić, jeżeli na co dzień styka się pan z ludzką podłością. Panie Morais, czy aby nie robi pan sobie zbyt wielkiej nadziei? Rzeczywiście uda się dowieść, że mój chłopiec jest niewinny?

— Czuję mrowienie w opuszkach palców, a to oznacza, że jestem na dobrej drodze. — Ukłonił się i zmierzał do drzwi.

— *Monsieur*, to pan chce iść w tym do pracy? — Linda pokazywała na jego kombinezon.

Obrócił się dookoła jak modelka i wybuchnął dziwnym, nienaturalnym śmiechem.

— Na pewno dojdzie do krótkiego spięcia, więc strój elektryka może okazać się najodpowiedniejszy! — zniknął za drzwiami, zostawiając Lindę z jej rozterkami, troskami i nadziejami. Po chwili poprosiła Luigiego, aby za pół godziny odwiózł ją do hotelu.

TLR

XI

Powoli, zmęczonym krokiem Morais szedł przez ogromny hol, sprawiający przygnębiające wrażenie pustki. Był piękny, ale wyczuwało się tu brak życia. Inspektor niósł w ręku jakieś zupełnie nieprzydatne narzędzie, patrzył przed siebie, gdy nagle zobaczył grubą Luisę wyglądającą zza balustrady.

— Co pan tu robi, *signor*?— zagadnęła.

— To samo co pani, złociutka. Ciężko pracuję. Gdzieś tu są bezpieczniki, które muszę wykręcić, bo nie mogę pracować w przybudówce. Narobię trochę hałasu.

— Nie szkodzi. Bezpieczniki są w pomieszczeniu obok bieliźniarki, a stamtąd nie słychać hałasu.

Szli razem. Morais, żartując cały czas, zaglądnął do bieliźniarki, gdzie na podłodze stały pootwierane walizki, które przyjechały z Paryża.

— O, to pani ma huk roboty!

— Jak zawsze. Jestem przecież służącą.

— To dobra rzecz taki pokój z szafami.

— Dobra, ale pomieszczenie jest na parterze i po każdym wyjeździe signory muszę dźwigać ubrania na górę. Skończy się to bieganie, kiedy przeprowadzimy się do nowej części zamku.

— Oj tak! Tam będzie wygodniej. Zdaje się, że jedna z sukien spadła pani z wieszaka — pokazał Morais ręką, a gdy Luisa weszła do garderoby, żeby sprawdzić, szybko zamknął za nią drzwi i przekręcił klucz. Trochę tam sobie posiedzi! — pomyślał i prześliznął się po cichu na piętro, do apartamentów *signory*.

Przystanął i nasłuchiwał, czy słychać hałasującą już pewnie na dole Luisę. Cisza jak makiem zasiał. Zastukał, a po chwili usłyszał ostrą, gniewną odpowiedź Estelli.

— Wejść! Czego tam znowu? — Estella stała przy antycznej szafie, odwrócona w stronę drzwi, w których spodziewała się zobaczyć pokojówkę, a ujrzała robotnika w kombinezonie. Zmarszczyła groźnie brwi. — Co pan tu robi? Dlaczego nie zameldował się pan u pokojówki?

— Przepraszam, signora, że przeszkadzam, ale mam zwarcie na linii. Sprawdziłem już wszystko i prawdopodobnie błąd musi być tutaj. — Stał na środku pokoju i rozglądał się po ścianach. — Przewody, widzę, wchodzą za szafę... Na pewno tam nastąpiło zwarcie. Pozwoli pani, że ją odsunę?

Estella zbladła i nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Nie. Nie życzę sobie, aby pan teraz tu pracował. Proszę przyjść, kiedy mnie nie będzie. Zawiadomię pana przez pokojówkę.

— Ja nie mogę czekać, *signora* — odparł zdecydowanie. Podeszedł do drzwi, zamknął je starannie na klucz i nie spuszczał Estelli z oczu, zbliżył się do niej na pół kroku.

— Co pan wyprawia?! Wynocha, bo zawołam służbę i każę wyrzucić na zewnątrz pysk!

— Poczciwy Luigi tego nie robi. Po pierwsze, nie wie, że tu przyszedłem, a po drugie, nie pozwolę pani podejść do dzwonka, choćbym miał użyć siły.

— Kim pan jest, do cholery? — wycedziła przeszywając go wzrokiem, blada jak prześcieradło.

Morais wyjął spokojnie pudełko po lekarstwach i jakąś teczkę z dokumentami. Podsuwając jej te przedmioty pod nos, rzekł:

— Najpierw chciałem porozmawiać z panią o tym.

Popatrzyła, a potem instynktownie zerknęła na podłogę, gdzie obok nogi szafy widniała jaśniejsza plama.

— Zgadza się, to moja sprawa — powiedział Morais. — Niestety, nie udało mi się postawić szafy dokładnie w tym samym miejscu, ale teraz to nie ma już znaczenia. Spytała pani o moje nazwisko? Cóż, jest pani Francuzką, więc na pewno jest ono pani znane. Jestem Jean Morais.

Estella cofnęła się, ale szybko ochłonęła i rzekła ostrym tonem:

— Nie prosiliśmy przecież, żeby zajmował się pan sprawą zabójstwa mojej synowej. Szkoda pańskiego wysiłku, bo sąd już wydał wyrok i zabójca Madeleine siedzi w więzieniu. Wie pan o tym lepiej ode mnie, więc po co to całe przedstawienie?

— Przedstawienie, mówi pani? Nie lubię przedstawień, a jeżeli pani myśli, że zabójca Madeleine Brochelino jest za kratkami, to błąd! Póki co, na Elbie siedzi zupełnie niewinny człowiek. Wie pani o tym dobrze, bo pofatygowała się pani aż do Piombino, by się upewnić. Widziałem was, jak z Alainem skradaliście się po portowym nabrzeżu. A ponieważ ten człowiek nie jest mordercą, ja pofatygowałem się do Monfalcone.

— Mam dosyć pańskich bredni!

— Spróbuję więc przejść do konkretów. Otóż już ustaliłem, kto jest mordercą... chociaż właściwie powinienem użyć liczby mnogiej. Usiądźmy, bo dalsza rozmowa nie będzie dla pani łatwa.

Estella usiadła jak marionetka pociągnięta za sznurek. Wyprostowana, ciskała sztyletującymi spojrzeniami na inspektora, spokojnie sadowiącego się naprzeciw niej.

— Przede wszystkim muszę wiedzieć, czy nie podaje się pan za kogoś innego — warknęła.

— Brawo! Ostrożność nie zawadzi. Proszę, tu jest mój paszport i legitymacja Interpolu, wystarczy? W takim razie przystąpmy do omówienia sprawy.

— Nie rozumiem, o jakiej sprawie mam z panem rozmawiać.

— Szkoda, bo... o swojej i Alaina. Zacznijmy od pani. Aby pani nie myślała, że przyjechałem tu odgrywać przedstawienie, opowiem, w jaki sposób zostałem zaangażowany — rzekł i wytłumaczył, dlaczego przyszedł do niego Juliusz Burghard. Później szczegółowo opisał przebieg wypadków, nie pomijając niczego, co dotychczas ustalił na temat śmierci Madeleine Brochelino. — To tyle tytułem wstępu. Jak pani widzi, jest wiele osób, które od początku nie wierzą w winę Wenera Helmerdinga i walczą o jego uwolnienie.

— To sprawa tych ludzi. Mnie to nie obchodzi.

— Gdyż pani i Alain zamordowaliście Madeleine. To chciała pani powiedzieć?

Jeżeli Morais myślał, że Estella załamie się pod ciosem bezpośredniego oskarżenia, to grubo się pomylił. Na jej niegdyś pięknej twarzy pojawił się złośliwy uśmiezek.

— Bez dowodów pańskie stwierdzenie jest guzik warte, inspektorze!

— A jednak kilka już zdobyłem, droga pani, i to pewniejszych niż te, które wytoczyliście przeciwko Wernerowi. Mówię „wy”, bo został skazany tylko na podstawie zeznań pani i Alaina. Pierwszy z dowodów to wizyta, którą pani złożyła w Monachium ciotce Wenera. Po co, to pani chyba wie najlepiej. Proszę sobie przypomnieć, bo to ja wtedy miałem przyjemność rozmawiać z panią w drzwiach. Ale to nie wszystko. Pojechałem na Elbę, rozmawiałem długo i szczerze z Wernerem, a nawet byłem świadkiem jego rozmowy z pani synem, Guilbertem. Przestraszyłem panią? Czyżby pani nie wiedziała, że Guilbert nie trzyma z Wami, bo nie czuje się odpowiedzialny za zamordowanie Madeleine? Wie, że nie zrobił tego Helmerding i na własną rękę szuka prawdziwych winowajców.

— Guilbert? Ten wszędzie węszy podstęp.

— Dziwi się pani? Zamordowano mu nie tylko żonę, ale i syna. Pomędzy tymi wydarzeniami Alain uwiódł mu żonę, o czym pani również wiedziała, a nawet w tym pomagała. Guilbert ma prawo nie ufać i „węszyc”. Jak pani widzi, informacje czerpałem z wielu źródeł. Zainteresowałem się też prywatnymi kontami pani i Alaina. Oj, oboje cieniutko przedziecie! Jedyna rada, to uszczknąć większą dolę z zysków przedsiębiorstwa, tylko jak to zrobić? Najprościej nie dzielić zysku na trzy części, a na dwie. A w ogóle, to najpierw trzeba było sprzątnąć syna Guilberta, bo za kilkanaście lat zabrałby wszystko i nie byłoby czego dzielić. Podziwiam Alaina, że z zimną krwią i odwagą podjął się tego zadania, nie licząc się z tym, że dwie niewinne osoby stracą przy tym życie. Nadaża pani za moim rozumowaniem, czy też powinienem wyrażać się jaśniej?

— W ogóle nie słucham, bo zastanawiam się, jak pana stąd wyrzucić na zbity pysk. O niczym innym teraz nie myślę.

— Bo pani boi się myśleć. Przyznam otwarcie, że nie ustaliłem jeszcze, dlaczego musiała zginąć Madeleine. Mierzi mnie to, ale jestem pewien, że pani mi tego nie wyjaśni, dlatego też w tej sprawie policzę się z Alainem.

— Jak to: „policzę”?! Ośmiela się pan rozliczać Brochelinich? Chyba nie uważa się pan za kogoś lepszego od nas?

— Od pana Guilberta na pewno nie, ale od Alaina i pani bez najmniejszej wątpliwości. A teraz koniec z żartami... oskarżam panią oficjalnie o przygotowanie planu zamordowania Madeleine. Spokój, jeszcze nie skończyłem! Włamałem się do tej oto szafy, bo zbyt żarliwie broniła pani dostępu do niej pannie Steffens. To panią zdradziło. Panna Steffens pracuje dla mnie, a ponieważ jest narzeczoną Wenera Helmerdinga, tropi tajemnice zamku Monfalcone z gorliwością kobiety prawdziwie zakochanej. Dzielnie pomagała mi przesunąć ten ciężki mebel, a ja bez trudu wydostałem przez tylną ściankę ten oto łup. Znam się na lekach i wiem dokładnie, jak działają. Te powodują długotrwałą utratę przytomności, a w rezultacie śmierć. Zanim ta jednak nastąpiła, nieprzytomną ofiarę poczęstowano kulką w plecy. Z browninga, który znalazłem w szafie Alaina. Trudno, jestem z natury wścibski i wtykam nos, gdzie nie trzeba, ale tym razem mi się poszczęściło. A co dalej? Przypuszczam, że Alain sam nie dał rady przenieść ciężkich zwłok Madeleine do parku i poprosił kogoś o pomoc. Naharował się, ale warto było, bo nikomu nie przyszło do głowy, by u zastrzelonej szukać śladów trucizny, zwłaszcza że morderca został natychmiast złapany, niemal na gorącym uczynku. Słucha mnie pani jeszcze? Proszę słuchać, bo to, co teraz powiem, bardzo panią zaboli. Dotychczas mówiłem o bólu i cierpieniu innych, czas na panią. Otóż w tej teczce znalazłem coś w rodzaju umowy wiążącej panią i Alaina, która od razu wydała mi się dziwnie podejrzana. Włamałem się jeszcze raz do apartamentu pani syna, och, dla mnie to żaden problem. Jestem zawodowcem i chętnie pracuję w nocy. A więc dwie noce temu miałem pełne ręce roboty. Trudnej, przyznaję, ale łatwiejszej niż zabicie człowieka...

— Przystanie pan wreszcie pleść te nedorzeczne bzdury? — wrzasnęła zdenerwowana.

— Spokój, powiedziałem! Zresztą i tak pani nikt nie usłyszy. Gruba Luisa, która z pewnością coś wie o tej sprawie, świadczy o tym opryskliwy ton, na jaki sobie pozwala, siedzi teraz pod kluczem w garderobie. Pozostali zaś rozeszli się do swoich zajęć, możemy więc spokojnie kontynuować rozmowę. Z niektórymi zamkami miałem trochę problemów, ale jakoś dostałem się do gabinetu Alaina. Po co jemu właściwie gabinet? Przecież on nic nie robi... Mniejsza z tym. Mnie zainteresowało bardziej jego biurko. I wie pani, co w nim znalazłem, kochaniutka?

— Proszę skończyć, bo nie mogę już patrzeć na pana.

— Och, szkoda, ale nic na to nie poradzę. Otóż znalazłem w biurku takie same fiołki z lekami, jak te w pani szkatułce. Przygotował sobie zapasy, spryciarz jeden, a także taką oto tabelkę. Proszę, niech pani się z nią zapozna. — Morais podsunął jej pod nos kartkę z kolumnami liczb.

Wzięła ją drżącymi rękoma, włożyła okulary i rzuciła niedbale okiem. Nagle cisnęła papier na stół i zaczęła go okładać pięściami. Zniszczyłaby pewnie kartkę, gdyby Morais nie zdążył jej w porę chwycić i schować go do swojej teczki.

— Kanalia! Tak to sobie wyliczył!

— Dlaczego pani się złości, *signora*? Przecież to pani syn. To pani urodziła kanalię i wychowała na łotra, który bez mrugnięcia okiem gotów jest wyprawić panią na tamten świat, by na początek tylko z Guilbertem dzielić się zyskami z waszych fabryk. Połowa to zawsze trochę więcej niż jedna trzecia, prawda? Za takim wyborem Alaina przemawiała ciągnąca się latami choroba brata, nieuleczalna, jak się zdawało. A tymczasem wielokrotne wyjazdy do ciepłych krajów przyniosły nieoczekiwaną poprawę i Guilberta trzeba było wpisać na listę obok pani imienia, *signora*.

Zapadło przerażające milczenie. Estella zwiesiła nisko głowę. Nie uroniła jednak ani jednej łzy, nie jęknęła z bólu. Milczała, bo niemal dusiła się z wściekłości.

Morais poczekał, aż trochę ochłonie, i spytał szorstkim tonem, co zamierza robić dalej.

— Mnie pan pyta? To pan trzyma notatki Alaina w rękę, a ja muszę milczeć, bo nie będę przecież oskarżać własnego dziecka.

— W ten sposób próbuje się pani wykręcić? Nie da rady! Jest pani tak samo winna, jak Alain. Ja walczę o wyciągnięcie z więzienia niewinnego człowieka i nie wypuszczę pani z tego pokoju, dopóki nie uzyskam przyznania się do winy. Alaina też przyskrzynię, gdy tylko się zjawi, i niech pani nie liczy, że się wcześniej spotkacie. Daję pani czas na zastanowienie do jutra rana, a co będzie dalej, to już zależy od decyzji mojej i Guilberta. — Morais wstał, ale kątem oka zobaczył, że drżącymi rękoma Estella sięga po kasetkę z truciznami. — O nie, moja

droga! To byłoby zbyt łatwe wyjście dla pani. Chociaż tę noc niech pani się pomęczy i pomyśli o człowieku, który za panią cierpi w więzieniu na Elbie!

Pozbierał starannie wszystkie swoje „łupy”, obszedł z nimi pokoje w amfiladzie zamykając wszystkie drzwi na klucz, pozostawiwszy jedynie otwarte do łazienki.

— Widzę, że została jeszcze pani kromka chleba i szklanka wina, więc do rana jakoś pani przeżyje. Chyba że Guilbert wróci wcześniej i rozliczy się z panią od razu. Pozostawiam decyzję jemu, bo mnie interesuje tylko wasze przyznanie się do winy i wyciągnięcie Wenera z więzienia.

Rozejrzał się jeszcze raz dookoła, wzruszył ramionami i nie spojrzawszy nawet na *signorę* wyszedł. Stanąwszy w drzwiach odwrócił się i kręcąc z niedowierzaniem głową, jakby czegoś nie rozumiał, rzekł po cichu:

— Tyle zachodu i kłopotów dla pieniędzy? Chciwość to straszna choroba, szczerze pani współczuję. — Zamknął po cichu drzwi, jakby wychodził z pokoju, gdzie leży nieboszczyk. Klucz schował do kieszeni.

Jak zawsze, gdy musiał wygarnąć komuś popełnione zło, Morais czuł się przygnębiony i piekielnie zmęczony, choć był to moment, gdy powinien skakać z radości i cieszyć się z odniesionego sukcesu. Szedł powłócząc nogami wzdłuż korytarza, gdy usłyszał głośne walenie w drzwi od garderoby. Prawie się uśmiechnął, przystanął i mruknął:

—: Omal nie zapomniałem wypuścić z klatki mojego grubego zwierza!

Otworzył drzwi, a rozwścieczona do czerwoności pokojówka wypadła jak taran, trafiając zaskoczonego inspektora głową w opasły brzuch.

— Panie... Ty... brak mi słów! Co panu strzeliło do głowy, żeby mnie tu zamknąć?

— Ja panią zamknąłem? Rany boskie, znowu się zapomniałem!

— Zaraz poskarżę się pani. Wyleci pan stąd na zbity łeb, obiecuję to panu!

— Naprawdę bardzo mi przykro, ale muszę powiedzieć, że to pani wyleci pierwsza. Nastąpiły zmiany, złociutka, i koniec z szantażowaniem *signory*, że pani coś wie...

— Co pan znowu bredzi? — z grubaski jakby uszło powietrze i zrobiła się nagle biała.

— „Czyste sumienie, spokojny sen”. Tak to się mówi? Pani chyba długo nie będzie spać spokojnie, więc zrobię coś dla pani, za darmo, gruba Luiso. Radzę natychmiast uciekać z tego zamku, z kraju nawet, aby znaleźć się jak najdalej od signory i wszystkich Brochelinich.

— Jak mam to...

— ...sobie wytłumaczyć? Otóż nie jestem żadnym głupawym elektrykiem, lecz policjantem. I wiem, kto sprzątnął Madeleine. Teraz już pani wie, dlaczego trzeba uciekać? Przyjmuję, że pani tylko coś podejrzewała, ale nie wiedziała naprawdę.

— A *signora*?

— A cóż ona ciebie obchodzi? Zmykaj mi stąd. I to szybko, bo nie odmówię sobie przyjemności i wlepię ci takiego klapsa w ten gruby tyłek, że popamiętasz do końca życia. No, jazda! — złapał ją za ramię i ciągnął z całej siły do jadalni, gdzie służba zebrała się na kolację.

— *Dio Mio!* To pan jeszcze w pracy? — przeraził się Luigi zobaczywszy „montera” w kombinezonie.

— I tak, i nie, *amico*: Od popołudniowej naszej rozmowy wiele się zmieniło, więc niech pan posłucha... — Morais w kilku słowach powiedział lokajowi, kim jest naprawdę i co już ustalił. Inspektor przekazał Luigiemu trzęsącą się jak galareta Luisę i rzekł:

— Niech pan dopilnuje, żeby jeszcze dziś wyniosła się z domu. I proszę dobrze patrzeć jej na ręce, bo gotowa zabrać coś, co do niej nie należy, a na odchodne może jej pan dać porządnego kopa w... najlepiej niech pan sam znajdzie odpowiednie miejsce. Ja przyjdę wcześniej rano. O *signorę* możecie się nie martwić, niech żadne z was nawet się nie pokazuje na górze. Wszystko jasne?

— Jasne, *monsieur*. Nie jestem może najbystrzejszy, ale mam nadzieję, że jutro mi pan wszystko wyjaśni.

Morais wyszedł nie mając wątpliwości, że Luigi dokładnie wypełni jego polecenia.

Szedł powoli przez skąpany w księżycowym świetle park, a gdy przekroczył bramę, zobaczył samochód i stojącą obok Ingrid. Sądząc po liczbie porozrzucanych wokół niedopałków, czekała już dość długo albo też paliła jednego papierosa za drugim.

— Och, nareszcie pan jest, inspektorze! Zaczynałam wątpić, czy pan przyjdzie. Niemal odchodziłam od zmysłów.

— „Wolno ci wątpić w światłość gwiazd, blask słońca, zastanawiać się, czy prawda nie kłamie, ale w moją miłość ci wątpić nie wolno.”

— To jakaś poezja, inspektorze...

— Sam Szekspir, śliczna pani! A właściwie, to co pani myślała, że powiem? — sapiąc i postępując Morais wdrapywał się do samochodu. — Jak wam poszło w Mediolanie? Kupiłyście wszystko? Moim zdaniem roboty nie potrważą już długo. Trzeba tylko powiedzieć robotnikom, że mają już przychodzić.

— *Monsieur!* — przestraszyła się Ingrid patrząc na detektywa ledwo widocznego w skąpym świetle padającym z deski rozdzielczej.

— Cytatów pani nie chce słuchać, a nic innego nie przychodzi mi do głowy, zaś o sprawach załatwionych połowicznie nie lubię rozmawiać. Muszę więc trzymać język za zębami. A poza tym jestem piekielnie stary i zmęczony. Pogńiewa się pani, jeżeli utnę sobie drzemkę? Chyba że ma pani dla mnie coś ważnego?

— Nie mam i nie będę też pana zadrećcać pytaniami. Powiem tylko, że mama Gusti jest już w hotelu, a Guilbert w swoim pawilonie.

— To się cieszę. Pojadę jednak najpierw do hotelu. Odpocznę pod uspokajającym spojrzeniem ciotki Lindy, wykapię się i przebiore, a zanim pocznę coś dalej, posiedzę z godzinkę pośród stadka moich przemiłych pań.

— Nie pójdzie pan jeszcze spać?

— Miało już nie być pytań.

— Tylko jedno, bardzo proszę! Czy sprawa Wenera posunęła się do przodu?

— A jakże, śliczna pani, a jakże! Ooo, ale jestem śpiący!

Ingrid przełknęła łzy, nie odezwała się już więcej, a gdy zatrzymała się przed hotelem, musiała rzeczywiście obudzić pasażera. Obiema rękoma, jak niemowlę, przetarł oczy i wygramolił się z samochodu pomrukując:

— Na jedno oko już się przebudziłem. Za jakieś dziesięć minut oprzytomnieję na dobre, więc zgłoszę się do was na kolację. Tylko zamówcie mi coś dobrego i nie zapomnijcie o szklance bardzo gorącej herbaty.

— Zapomniał pan o czekoladzie i laseczce wanilii?

— A mówiłem, że już skończyłem pracę?

— Mam wielką ochotę pana... — rozzłościła się Ingrid.

— No, nie teraz i nie na ulicy! Co by ludzie powiedzieli, gdyby zobaczyli panią całującą starego grubasa? Bo chyba pani na to miała ochotę — mrugnął zadowolony z siebie i tanecznym krokiem wszedł do hotelu.

Pół godziny później wszystkie panie, zgodnie z życzeniem inspektora, czekały na niego w salonie Ingrid. Wszedł świeżo ogolony, przebrany w wyjściowy garnitur.

— No, stary spryciarzu, przetrzymał nas pan w niepewności, nie ma co!

Morais uśmiechnął się do Lindy, na powitanie pocałował Margret rękę, a rozczochrawszy Gusti fryzurę, spytał:

— Czy wielki Juliusz Cezar już przybył? Patrzcie no, ludzie, nasza Ingrid znowu jest piękniejsza! Jak pani to robi? Ja staram się, jak nie mogę, im jestem starszy, tym brzydszy. — Morais zacierając ręce oglądał zastawiony stół.

— Ma pani jakieś wiadomości, droga pani Margret? — zagadnął.

Margret zaczerwieniła się trochę i jękając z początku, opowiedziała po kolei, o czym rozmawiała z Guilbertem w Paryżu i podczas wspólnej jazdy samochodem. Wspomniała też o swojej wizycie w hotelu u pani Brochelino i krótkim spotkaniu z Alainem.

— Zrobiłam więc wszystko, co pan kazał, inspektorze, a jeżeli pozwoli pan wyrazić moje osobiste zdanie, to powiem, że Guilbert jest bardzo miłym czło-

wiekem i, jak zdążyłam się zorientować, zajmuje się dokładnie tym samym, co pan.

— Przekonałem się już o tym na Elbie, gdy przysłuchiwałem się jego rozmowie z Helmerdingiem. Teraz w zasadzie pozostała mu jedynie decyzja, co zrobi, gdy ja doprowadzę tę wspólną sprawę do końca. Mój Boże, nie patrzcie tak na mnie wszystkie cztery, jakbyście chciały powyrywać mi z czaszki moje najskrytsze myśli! I tak wam jeszcze niczego nie zdradzę!

— Jakoś przeżyjemy. Z panem to tak jak z kuglarzem: trzeba podziwiać jego zręczność i nie pytać, co ma pochowane po kieszeniach

— zaśmiała się Linda nakładając mu na talerz kolejną porcję pachnącej smakowicie szynki. — Niech pan je, żeby pański mózg nie wypalił się z braku energii.

— Myśli pani, że może mi jej zabraknąć?

— Oczywiście! Wszystko się zużywa, zwłaszcza szare komórki. A przy stole połknie pan plasterek szynki i po chwili przybędzie w głowie kupka szarej masy! Można tak sobie żartować, ale ja muszę panu postawić jedno pytanie i proszę mi na nie odpowiedzieć. Czy grozi panu jakieś niebezpieczeństwo?

— Oj te ciotki! Te słyszą nawet, jak trawa rośnie! — roześmiał się, ale spoważniał nagle i rzekł: — Estellę zamknąłem w jej pokojach. Co powiedziała w czasie rozmowy ze mną, to dowiedcie się, gdy będzie po wszystkim. Przestańcie się wreszcie bać, przecież panuję nad wszystkim. Weźcie przykład z cioteczki, która z wiekiem nauczyła się już cierpliwości i wcale się nie denerwuje.

— Tak stara to znowu nie jestem, a cierpliwość akurat nie jest moją główną zaletą — mruknęła Linda, nie odrywając oczu od robótki.

— Nie mam ochoty spierać się z panią, a poza tym czas już na mnie. Gdyby zdarzyło się coś ważnego, znajdziecie mnie w pawilonie u Guilberta. Pani Margret na pewno z chęcią przybiegnie tam z wiadomością — mrugnął porozumiewawczo do Margret, a ta przytaknęła skwapliwie. — Widzę, że i tym razem dobrze trafiłem — rzekł, a zwracając się do Ingrid, spytał: — Mogę panią łaskawie prosić o podwiezienie do pawilonu?

— Ciągle to przedstawienie, a dla pospólstwa ochłapy i zapewnienia o swojej nieomyślności — mamrotała Linda.

Morais uściskał jej rękę i złożył nabożny pocałunek.

— Z tak miłym pospółstwem chciałbym zawsze pracować. — Ukłonił się i wyszedł za Ingrid.

Pozostałe kobiety zostały przy stole. Rozmawiały o wszystkim, ale atmosfery niepokoju jakoś przełamać nie potrafiły.

TLR

XII

W czasie krótkiej jazdy Morais nie odzywał się, a wysiadając w milczeniu uściskał Ingrid rękę.

— Mam na pana poczekać, *monsieur*?

— Nic z tego, śliczna pani! Nie lubię, gdy na mnie czekają, bo się denerwuję, a poza tym, to chyba Guilbert mnie odwiezie. Niech pani tak na mnie nie patrzy. Nie ustąpię ani na krok. U cioteczki w hotelu będzie pani lepiej, niż tu.

Ingrid wiedziała, że niczego nie wskóra. Nie odjechała jednak natychmiast, tylko czekała, aż w pawilonie otworzą się drzwi i Morais wejdzie do środka. Z bijącym ze strachu sercem, ale i odrobiną nadziei, wróciła do miasteczka.

Stary lokaj, Józef, zdziwił się, że o tej porze ktoś dzwoni do drzwi.

— Dobry wieczór. Moje nazwisko nic panu Brochelino nie powie, więc proszę mu zaanonsować, że przyszedł ktoś w sprawie Elby.

Czujny i doświadczony lokaj od razu dostrzegł, że nie ma do czynienia z natrętnym handlarzem czy oszustem. Bez słowa wpuścił nocnego gościa. Wskazał mu miejsce w przytulnie urządzonego przedpokoju i zniknął za drzwiami gabinetu Guilberta.

Po chwili wyszedł z gospodarzem.

— Pan chciał ze mną rozmawiać? Domyślam się, że nie chodzi o wizytę kurtuazyjną, więc pozwoli pan, że przejdziemy do gabinetu. Józefie, podaj nam sherry. Napije się pan, prawda?

— Z prawdziwą przyjemnością.

Po chwili siedzieli już naprzeciwko siebie. Guilbert cierpliwie czekał, nie zadając żadnych pytań. Morais roześmiał się.

— Z podziwem muszę stwierdzić, że znakomicie panuje pan nad nerwami. Tę sztukę zdobywa się przez długoletnią praktykę.

— Z konieczności musi się człowiek nauczyć wielu rzeczy — rzekł, a gdy Józef, podawszy zamówione napoje, wyszedł, dodał: — Pańska wizyta o tak późnej porze musi mieć jakiś ważny powód...

— Zacznę od przedstawienia się: jestem Jean Morais. Proszę nie mylić z moim sławnym rodakiem, aktorem Jeanem Marais. Nazwiska mamy podobne, ale gwiazdor na pewno mniej pana teraz obchodzi niż ja.

Guilbert uśmiechnął się i spytał żartobliwym tonem:

— Ale chyba nie przyszedł pan po to, żeby mnie o tym przekonać? — nalał gościowi sherry i spojrzał oczekując odpowiedzi.

— Mam nadzieję, że po ostatnich wydarzeniach w rodzinie ma pan już na tyle zahartowane nerwy, że mogę odpowiedzieć panu wprost, a przy okazji uprzedzić, że jakieś dwie godziny temu zamknąłem na klucz pańską matkę w jej pokojach.

Guilbert zerwał się i bezradnie patrzył inspektorowi w oczy.

— Co pan powiedział? Kim pan jest, że odważył się zrobić coś takiego?

— Najprościej mówiąc, zajmuję się zawodowo naprawianiem zła, a mniej ogólnie niektórzy mówią, że jestem prywatnym detektywem. Czy teraz kojarzy już pan moje nazwisko?

— *Monsieur*, lepiej niech pan od razu powie, do czego zmierza, bardzo proszę.

Morais nie dał się długo prosić. Zaczął od dnia, kiedy Juliusz Burghard przyszedł do niego prosić o pomoc dla swojego przyjaciela. Przyznał się też, że był obecny przy rozmowie w więzieniu na Elbie i opowiedział o wszystkim, co już udało mu się zrobić w celu uwolnienia niewinnie skazanego człowieka. Skończył na wyjaśnieniu, jak dzisiaj doszło do „zaaresztowania” *signory*. Guilbert chciał w tym momencie coś powiedzieć, ale Morais uciszył go jednym gestem i ciągnął dalej:

— To jeszcze nie koniec tej sprawy i dlatego pozwoliłem sobie przyjść do pana, bo prawdę mówiąc, w tej całej grze jest pan dla mnie figurą, którą za bardzo nie wiem, gdzie ustawić.

Guilbert zakrył pobladłą twarz rękoma, a Morais spokojnie czekał, aż opakuje zdenerwowanie.

— Straszne to wszystko, co pan mówi. Tym bardziej, że podejrzenie, które pan teraz potwierdza, gnębiło mnie od dawna. Dlatego nie widzę potrzeby ukrywania przed panem, czego już dokonałem w tej sprawie i co jeszcze zamierzałem zrobić. Twierdzi pan, że był świadkiem mojej rozmowy z Helmerdingiem; jak to możliwe?

— A pamięta pan urzędnika, który na polecenie dyrektora stenografował każde wasze słowo? To byłem ja, proszę pana. Ucharakteryzowany troszeczkę... ale niech pan mówi dalej.

— Z usłyszanych wtedy słów musiał pan się zorientować, że nie uważam tego człowieka za winnego?

— Owszem. Proszę więc mi powiedzieć, kogo pan uważa?

Guilbert opuścił oczy na splecione na kolanach ręce i szepnął tak cicho, że Morais musiał mocno wyteńczyć słuch, żeby go zrozumieć.

— Alaina, mojego brata. On to zrobił... Podobnie jak wcześniej spowodował śmierć mojego syna i uwiódł mi żonę. W końcu strzelił jej w plecy...

— Po tym, jak przy wydatnej pomocy pańskiej matki najpierw ją otrul.

— *Monsieur!* Czy pan wie, co mówi?

— Nie plótlbym czegoś, na co nie mam niezbitych dowodów. Dlaczego do tej pory nie rozliczył się pan z bratem? Proszę mi to wyjaśnić.

— Nie miałem w ręku żadnych przekonujących dowodów, to jedyne wyjaśnienie, inspektorze. Instynktownie go podejrzewałem, ale niczego konkretnego nie mógłbym mu zarzucić, poza tym, że raz przyłapałem go z Madeleine w dość jednoznacznej sytuacji. Nie był to jednak powód, żeby oskarżyć go o morderstwo.

— Nie czuł się pan zagrożony? Przecież musiał pan wiedzieć, o co chodzi Alainowi i pańskiej matce. Pieniądze i tylko pieniądze pchnęły obojga do tak niecznych czynów, bo ich konta bankowe bliskie były wyczerpania. To powód, dla którego musiał zginąć pański synek, dla którego Alain omotał Madeleine, szantażując ją prawdopodobnie, by w końcu pozbyć się jej definitywnie.

— A matka cały czas mu... O Boże, to straszniejsze, niż myślałem na początku!

— Jeszcze straszniejsze jest to, że w ostatecznym rozrachunku Alain planował także pozbycie się matki. Jaki los przewidział dla pana, chyba nie muszę mówić. Wszystko wskazuje na to, że zanosilo się na dalszy ciąg tragicznej historii. Czas położyć jej kres. Mnie jednak chodzi głównie o zdobycie oczywistego dowodu winy Alaina i przetarcie w ten sposób drogi uwolnienia Wenera Helmerdinga, skazanego przecież niewinnie.

— Słyszał pan, co mówiłem mu na Elbie, więc nie ulega wątpliwości, że mamy wspólny cel. Można jednak do niego dojść, gdy moja matka i brat przyznają się do winy, a wie pan, co to dla mnie oznacza? Wyobraża pan sobie, jakie opory wewnętrzne muszę pokonać?

— Nawet gdy pan pomyśli, że bez mrugnięcia okiem poświęcili oni pańskiego syna i żonę, a przygotowywali się do usunięcia z drogi pana także? Czy w tej sytuacji stać pana na litość czy tak zwane uczucia rodzinne?

— Z tymi rozstałem się już dawno, gdy nabrałem podejrzeń po śmierci mojego synka. Były to jednak tylko podejrzania, żadnych dowodów! Do dziś nie rozumiem, jak Alainowi udało się przeciągnąć Madeleine na swoją stronę?

— Alain to niebezpieczny człowiek. Żeby mu się przeciwstawić, trzeba mieć mocne i spokojne nerwy. Jako pierwsza przejrzała go Ingrid Steffens, ale zakochana kobieta potrafi przenosić góry, gdy jej ukochanemu grozi niebezpieczeństwo, a przecież Wenera uwięziono właśnie tutaj. Mogła dawno skończyć tę pracę, a jednak została, by nasłuchiwać i obserwować, co tu się dzieje, bo nie miała żadnych wątpliwości, że w tym domu dzieje się coś niedobrego.

— Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziała?

— Był pan dla nas zagadkowym sfinksem, Guilbercie. Ja sam nie wiedziałem, gdzie pana zakwalifikować, dopiero Margret Weber rozwiązała moje zastrzeżenia.

Wyprostował się i spytał oburzony:

— Co ta kobieta ma wspólnego z panem?

— Detektyw musi czasami być nietaktowny. Poprosiłem panią Weber, aby zaprosiła do Paryża pańską matkę, postawiła jej kilka pytań, a potem, po spotkaniu z panem, powiedziała mi, o czym rozmawialiście. O nie, niech pan nie ma pretensji do tej czarującej kobiety! Zna Wenera Helmerdinga od dawna, gdyż jej córka jest zaręczona z jego bliskim przyjacielem. Sama zaproponowała mi pomoc w miarę swoich możliwości. Pana spotkała zupełnie przypadkowo, a po pierwszej waszej rozmowie przekazała mi bardzo ważne informacje dotyczące sprawy. O czym jeszcze rozmawialiście, co robiliście, nie wspomniała ani słowem, więc proszę się na nią nie gniewać.

— Nigdy nie darowałbym sobie, gdyby czarujące chwile, które spędziliśmy razem, trzeba było uznać za przedstawienie. Myślę jednak, że powiedział mi pan całą prawdę, więc nie widzę powodu do zrywania stosunków z panią Weber.

— Ja również. Ostatecznie chmury nad pańskim życiem kiedyś znikną i znów zaświeci słońce. Tę sprawę mamy więc wyjaśnioną, co powinniśmy zatem robić dalej?

— Czy to ja mam o tym decydować? Rozumiem, chodzi przecież o członków mojej rodziny i choćby przyszło mi podejmować trudne decyzje, obowiązek ten mnie nie minie. Proponuję pójść teraz do mojej matki i zażądać pisemnego przyznania, że to ona i Alain są winni morderstwa Madeleine. Czy to wystarczy do uwolnienia Wenera Helmerdinga?

— Powinno wystarczyć, ale wciąż będzie brakowało dowodów. Sądzi pan, że zostawię tych dwoje na wolności? Muszą znaleźć się tam, gdzie wsadzili Helmerdinga. Zwłaszcza Alain, który, jak już panu powiedziałem, nie zamierza cofnąć się nawet przed zamordowaniem matki, o czym ona już zresztą wie także. Najpierw chciał pozbyć się pana, a potem jej. To kanalia, Guilbercie, nie zasługująca na miano człowieka!

Guilbert nie zdążył odpowiedzieć, gdyż wszedł lokaj i oznajmił:

— Pan doktor Burghard chce z panem rozmawiać.

— O, Juliusz Cezar usłyszał szczęk broni i już jest na polu walki! — zawołał Morais, chcąc żartem rozładować przygnębiającą atmosferę. Sam zresztą nie znosił sytuacji, gdy musiał zachowywać powagę i korzystał z każdej okazji, by obrócić ją w żart. — *Ave Ceasar... pardon: Ave doktorze!*

— Na szczęście kobiety w hotelu wiedziały, gdzie pan się wałęsa — uśmiechnął się Juliusz podchodząc bliżej. Morais przedstawił go Guilbertowi, z wyraźnym trudem zachowującemu spokój, i patrzył wyczekująco na Juliusza. — Panna Steffens widziała po drodze samochód Alaina. Wrócił do zamku.

— Dobrze się składa *signore*. Doktor Burghard będzie świadkiem zeznań, które zamierzam wyciągnąć od Alaina. Wobec opinii biegłych, które przysłali mi przyjaciele z niezawodnego jak zawsze Interpolu. Alain nie będzie miał innego wyjścia. A mam w ręku potwierdzenie, że odciski palców na broni znalezionej w jego szafie są identyczne z tymi na ubraniu denatki, które zabezpieczyła policja. Nie czekałem bezczynnie z założonymi rękoma, ale też nic nie mówiłem, by niepotrzebnie nie niepokoić i tak już przestraszonych pań. Drogi Guilbercie, pan też musi się wziąć w garść. Stoimy przecież o krok od zakończenia naszej wspólnej sprawy! Zebrał pan jakieś dokumenty, które mogą być mi pomocne?

— Mam list Alaina do Madeleine napisany po tym, jak ich przyłapałem, mam dowody kasowe z banku potwierdzające, że Alain i matka pobierali z konta niewyobrażalnie duże kwoty pieniędzy. Czy mam zabrać te dokumenty teraz?

— Koniecznie, *signore*. Zaczekamy tu na pana — rzekł Morais sadowiac się w fotelu i spoglądając na Juliusza, który blady i zdenerwowany kręcił się niespokojnie.

— Nie potrwa to już długo, mój drogi. Między innymi dzięki pańskiej pomocy także.

— Ależ ja tylko przekazałem w Bonn list, który pan napisał.

— Na który dostałem odpowiedź, że pan Guilbert Brochelino nie popełnił na terenie Brazylii żadnego przestępstwa. A jak tam odbyło się powitanie wielkiego Cezara? Nagrodą, wyobrażam sobie, był przeciągły pisk zachwyty panny Gusti.

— Rzeczywiście. Piszczala, że ściany pękały, gdy zobaczyła mnie w drzwiach.

— To się cieszę. Moje stare serce zawsze się raduje, gdy ktoś opowiada o miłości i szczęściu. Teraz jednak wszyscy trzej musimy zamknąć nasze serca i wyrzucić z nich sentymenty. Gdzie drwa rąbią, tam polecą wióry, a ja zamierzam zaostrzyć topór i rąbać równo, aby zło, które się tu namnożyło, wykarczować do korzeni.

Szli w milczeniu przez park zalany bladym światłem księżyca, zbliżając się do Zamku. Przed głównym wejściem stał nowoczesny kabriolet Alaina.

Morais wszedł do wielkiej sieni i dał znak Juliuszowi, by przekreślił klucz w ciężkich drzwiach i zabrał go ze sobą. Pytające spojrzenie kamerdynera Luigiego zbył tylko machnięciem.

— Niech pan nie będzie ciekawy, Luigi, i w ogóle się nie odzywa. Proszę pozamykać wszystkie drzwi od strony parku i szybko przynieść mi tu klucze. Potem siądzie pan na schodach i nie ruszy się stamtąd. Gdyby pan Alain lub signora próbowali uciec, musi ich pan zatrzymać albo każę pana wsadzić do więzienia. Człowieku, nie stój tak z rozdziawioną gębą! Przecież już wiesz, że nie jestem elektrykiem.

Guilbert podszedł do osłupiałego lokaja i poklepał go po ramieniu.

— No, niech pan zrobi, co pan Morais polecił.

Nie czekając, aż Luigi wróci z kluczami, trzech mężczyzn wbiegli po szerokich schodach na piętro, gdzie znajdowały się apartamenty Alaina. Morais zapukał, a nie czekając na odpowiedź, pokazał Guilbertowi, aby wszedł pierwszy.

Alain stał przy biurku ubrany jeszcze w sportowy strój, w którym prowadził samochód, i od niechcenia przerzucał listy nadesłane podczas jego nieobecności. Usłyszawszy ruch w przedpokoju, odwrócił się. Na widok brata rzucił koperty na biurko, zmarszczył ze zdziwienia brwi i z wymuszonym uśmiechem podchodził do Guilberta. Zatrzymał się w pół kroku zobaczywszy, że nie jest sam. Oparł się nonszalancko o biurko i spytał:

— Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy niepokoić... tak rzadko u mnie bywasz, braciszku. Nie widzieliśmy się dobrych kilka tygodni... dobrze się czujesz? A ci dwaj panowie? Jeżeli przyszlście w sprawie budowy, to uprzedzam, że nie jestem zachwycony waszym najściem.

— Jak słusznie zauważyłeś, przychodząc do zamku, a zwłaszcza do twoich pokoi, muszę mieć jakiś ważny powód. Nie chodzi bynajmniej o budowę, ale najlepiej co to wyjaśni pan Morais — rzekł Guilbert.

— Czym mogę panom służyć? Nie przedstawisz nas, Guilbercie? — Ten zamiast odpowiedzieć, pokazał jeszcze raz na inspektora, podszedł do szafy z bronią i ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma oparł się o nią niedbale. Juliusz

tymczasem, ukłoniwszy się ledwo, cofnął się do drzwi i zasłonił je swoją sylwetką. — Co wy wyprawiacie, panowie? Nie mam ochoty oglądać tu żadnego przedstawienia w stylu greckich tragedii.

— Do tragedii już doszło, a co pan ma ochotę oglądać, to akurat jest najmniej ważne. Często i chętnie bywa pan we Francji, więc moje nazwisko musiało się panu obić o uszy, a jeżeli nie, to wyjaśniam, że jestem jednym z bardziej znanych w tym kraju prywatnych detektywów.

— To ciekawe! O ile pamiętam, nie angażowałem pana.

— Zgadza się, ale ten oto człowiek — Morais wskazał na Burgharda — zwrócił się do mnie o pomoc w sprawie przyjaciela. Chodzi o Wenera Helmerdinga.

— Śmiechu warte! Czyżby pan się podjął uwolnienia tego mordercy z więzienia, *monsieur*?

— Nie inaczej. Zaangażowałem w tym celu wszystkie środki i jestem bliski celu, bo Werner nie jest mordercą *signory* Brochelino.

— Brawo! A któż, pana zdaniem, dokonał tego haniebnego czynu?

— Pan — odparł spokojnie Morais. — Z wydatną pomocą matki.

— Co? Na co pan sobie pozwala? Proszę natychmiast opuścić ten dom! Nie pozwolę, aby obrażano w nim moją matkę i mnie bezsensownymi oskarżeniami.

— Bzdura, drogi panie, to ja nie pozwolę, aby mordercy pozostali między uczciwymi ludźmi. Od tej chwili to ja stawiam pytania i żądam na nie odpowiedzi. Na początek wyjaśnię panu kilka spraw, aby rozwiać wątpliwości, czy mam podstawy by uważać pana za mordercę. Pamięta pan zapewne, jak z panną Ingrid Steffens kupowaliście tkaniny obiciowe w sklepie przy rue Royale w Paryżu? Otóż tego samego dnia panna Steffens była u mnie i prosiła o pomoc w rozwikłaniu zagadki zabójstwa Madeleine Brochelino, o które podejrzewa właśnie pana. Zdziwi to pana, ale była już drugą osobą, która przekonywała mnie, że Werner Helmerding został skazany niesłusznie.

— Muszę przyznać, że sprytnie to sobie wymyśliliście. A ty, drogi braciszku, sprowadziłeś tych podstępnych ludzi do naszego domu! Przecież kiedy anga-

zowałeś ich do przebudowy, nie wiedziałeś jeszcze, że twoja żona zostanie zamordowana.

— Zapomniałeś, że nie była już moją żoną, a jedynie twoją kochanką? — zachnął się Guilbert.

Alain zagryzł na moment usta, wzruszył lekko ramionami i spojrzał wyzywająco na inspektora.

— Opowie mi pan dalszy ciąg tej frapującej historyjki? Ciekaw jestem, jak się skończy.

— Przypomnę panu port w Piombino, gdzie oboje z matką skradaliście się po nabrzeżu, aby na własne oczy upewnić się, że Helmerding trafił na Elbę.

— Brednie! Kto panu potwierdzi przed sądem taką bzdurę?

— Nikt, bo to ja osobiście was tam widziałem. Zaskoczyłem pana, prawda? Odetchnęliście z wyraźną ulgą, gdy prom odwoził tego nieszczęśnika na osiem lat do twierdzy na Elbie... Chętnie opowiem panu, co jeszcze widziałem. W tej oto szafie, którą poczciwy Luigi pomógł mi otworzyć, gdy wziął mnie za elektryka, znalazłem między innymi ciekawe szkice, świadczące jasno, że planował pan wypadek samochodowy, w którym zginął potem synek pana Guilberta i pielęgniarka. Jest tam zaznaczone miejsce, z którego miała wyjechać chłopska fura, w którym musi pan zacząć hamować, aby wyrzucić samochód do rowu, a samemu nie stracić cennego życia — Morais podsunął Alainowi pomięte kartki z rysunkami.

Złapał je złością, a rzuciwszy zaledwie okiem, podarł na strzępy.

— Niech się pan nie trudzi, oryginały zostawiłem obrońcy Wenera Helmerdinga. Poszedłem też do szpitala, by dowiedzieć się coś na temat obrażeń, jakie pan odniósł w wypadku. Zrobił pan z siebie bohatera, a okazało się, doznał pan zaledwie kilku drobnych zadrapań. Wątpliwy powód do sławy. Dla mnie istotniejsze jest to, że przy okazji odnalazłem wieśniaka, który zajechał panu drogę dokładnie w miejscu zaznaczonym na szkicu. Przyznał się poczciwina, że dał mu pan za to marnych kilka tysięcy lirów.

— Wynocha mi stąd, i to szybko! — wrzasnął Alain drżącym głosem.

— Jeszcze dużo rzeczy mam do przypomnienia, więc nieprędko się mnie pan pozbędzie. Czas na Madeleine, żonę brata, którą pan zmusił, by została pańską kochanką, bo... stanęła na przeszkodzie do zdobycia całego majątku Brochelinich dla siebie. To jasne, ale dlaczego musiała umrzeć, tego jeszcze nie wiem. Wystarczyło przecież powiedzieć o wszystkim bratu, a dostałaby rozwód i przestała być członkiem rodziny. Dlaczego więc musiała umrzeć?

— Niech pan spyta mordercę?

— Przecież pytam? Dlaczego podał pan Madeleine truciznę, a zanim umarła w męczarniach, strzelił jej w plecy? Był to dobry pomysł, bo nikomu nie przyszło do głowy, aby żądać ekshumacji ofiary, która zginęła od kuli. Pytam więc jeszcze raz: dlaczego Madeleine musiała umrzeć?

Zapadła cisza.

— Skoro pan milczy, powiem, co ja podejrzewam. Madeleine była z panem w ciąży i oczekiwała dziecka, które przecież nosiłoby nazwisko Brochelinich i znowu stanęłoby panu na drodze do zagarnięcia całości majątku. Pańska matka oczywiście o wszystkim wiedziała... Niech pan nie protestuje, bo już z nią rozmawiałem. W pańskiej szafie znalazłem broń, z której pan strzelał do Madeleine. Są na niej takie same odciski, jak na ubraniu denatki, które przechowuje policja. Co więcej, są na nich także odciski *signory*, a to świadczy, że oboje zaciągnęliście zwłoki do parku. W jaki sposób udało mi się to ustalić, nie będę teraz wyjaśniać. Mam swoje ścieżki i nie myślę ich zdradzać. Pańska szafa zdradziła mi jeszcze jedną straszną tajemnicę. Chodzi o zapas trucizny. Dla kogo? Ma pan dość odwagi, żeby mi odpowiedzieć?

— — Precz stąd! Bo zawołałam służbę i każę was wyrzucić...

— Akurat! Uważa mnie pan za głupka? Jeżeli ma pan już dosyć, to proponuję przejść do sedna sprawy. Tu jest spisane pańskie przyznanie się do winy. Wystarczy, że pan je podpisze, a istnieje jakaś szansa, że minie pana los, który przygotowaliście Helmerdingowi, gdy jako niczego nieświadomy turysta wszedł w odpowiednim momencie na teren waszej posiadłości. Na pana miejscu podpisałbym bez chwili namysłu.

— Nie podpisuję dokumentów przed zapoznaniem się z ich treścią.

— Nie traci pan zimnej krwi? Przeczytam więc panu ten dokument. — Morais nałożył okulary i czytał powoli:

Ja, niżej podpisany Alain Brochelino, urodzony 4t kwietnia 1925 roku w Mediolanie jako młodszy syn Roberta Brochelino, przyznaję się do zamordowania Madeleine Brochelino w zamku w Monfalcone w dniu 20 maja 1960 roku. Podałem jej truciznę, a zanim zmarła, strzeliłem z pistoletu w plecy.

Tu proszę podpisać.

Alain słuchał jak osłupiały, nagle wybuchnął straszliwym szyderczym śmiechem:

— A szanowna mamusia jest niewinna jak baranek, co? O nie! To ona zdobyła truciznę i wpadła na genialny pomysł ze strzałem w plecy... Jak policja zła-pała w naszym parku tego Niemca, to mama zdecydowała, żeby na niego zwalić winę.

— Nic nowego mi pan nie powiedział. Zresztą, już mnie to nie obchodzi. Pan podpisze, my poświadczymy, a żeby uniknąć skandalu, radzę panu jeszcze dziś w nocy czmychnąć po cichu za granicę. O tym jednak zadecyduje Guilbert, bo mnie interesuje tylko Werner Helmerding. — Inspektor potrząsał trzymaną w rękę kartką papieru. — Podpisywać, bo szkoda czasu, a Werner liczy każdą minutę swojego pobytu na Elbie.

Alain patrzył jak osaczony zwierz na swoich „prześladowców”, nagle pochylił się i zamasztywym ruchem, spokojnie złożył swój wyraźny podpis. Odrzucił pióro i zaczął walić pięściami w stół.

Morais szybko zwinął papier i nie zauważył nawet, kiedy Guilbert, jak w transie, podszedł i stanął obok niego. Odezwał się nienaturalnym, metalicznym głosem.

— Nie i jeszcze raz nie! Bezcelności tego bandyty nie będę tolerować. Nie boję się skandalu i chcę wreszcie oczyścić atmosferę wokół siebie, bo dość mam już duszenia się w niej od lat. Posłuchaj, Alain. Pan Morais potwierdzi, że odwiedziłem Wenera Helmerdinga w więzieniu, gdyż nigdy nie uważałem go za mordercę, za to ciebie podejrzewałem od razu, podobnie jak wtedy, gdy uśmierciłeś mojego syna i uwiodłeś żonę. Gdy zobaczyłem ją w twoich ramionach, nie miałem już żadnych wątpliwości. Wyprowadziłem się z zamku i wyjechałem w świat, żeby nie widzieć, co tu się dzieje. Przy okazji rzeczywiście podreperowałem sobie nadwątlone zdrowie. Wróciłem na wieść o śmierci Madeleine, ale od pierwszej chwili pracowałem usilnie nad znalezieniem prawdziwego mordercy,

podobnie jak doktor Burghard, panna Steffens i pan Morais. Żałuję bardzo, że dopiero dziś dowiedziałem się o wysiłku tych wspaniałych ludzi. Nie widzę innego wyjścia, bracie, jak postawienie cię przed sądem. Ty też nie zawahałeś się wysłać tam Wenera Helmerdinga, a potem cynicznie patrzyłeś, jak niewinnie cierpi za ciebie i naszą matkę. Teraz decyzja o twoim losie spoczywa w moich rękach i została podjęta. Inspektorze, proszę nie odstępować od procedur przewidzianych prawem — rzekł Guilbert i gestem ręki dał znak, że chce opuścić pokój.

Na korytarzu załamał się i wybuchnął nie pohamowanym płaczem. Nie wstydził się łez i dopiero teraz zapłakał po swoim ukochanym synu, gdy dowiedział się, że musiał zginąć przez chciwość stryja i babki.

Alain zmrużywszy oczy patrzył to na inspektora, to na Juliusza, który najwyraźniej nie był zadowolony z rozwiązania zaproponowanego przez Jeana Morais, nie wiedząc, że detektyw zawsze, gdy osaczy już przestępcę, daje mu ostatnią szansę na poprawę i powrót do uczciwego życia.

Tym razem jednak Morais skłaniał się raczej ku zdaniu Guilberta. Chrząknął i po chwili zastanowienia rzekł:

— Gospodarz tego domu wyraził swoje życzenie, a mnie nie pozostaje nic innego, jak go poprzeć. Jest pan aresztowany, więc zanim przybędzie tu policja, nie wolno panu opuszczać tego pomieszczenia. Nie muszę chyba przekonywać, że zatroszczyłem się dość starannie, aby nie miał pan żadnej możliwości ucieczki. — Morais westchnął głęboko, odwrócił się i wypchnąwszy zdenerwowanego coraz bardziej Juliusza za drzwi, wrócił i wskazując na szafę z bronią, rzekł: — Być może tam znajdzie pan najwłaściwsze wyjście.

Przekreślił klucz w staromodnym zamku, jakby symbolicznie zamykał doprowadzoną do końca sprawę. Uśmiechnął się do Guilberta, poklepał go serdecznie po ramieniu i szepnął ze współczuciem:

— Rozumiem pańskie wzruszenie, ale nie wolno panu tracić wiary w ludzi. Na szczęście ci źli są jeszcze w mniejszości. Jeżeli jest pan gotów, zamkniemy ostatni rozdział tej smutnej historii. Rozliczymy pańską matkę.

Dopiero teraz Guilbert podniósł głowę, a Morais aż się przestraszył zobaczywszy jego odmienioną do niepoznania twarz.

— Co tu rozliczać? Przecież to moja matka.

— Niech pan nie liczy na moją pobłażliwość. Stary Morais już się nie zmieni i bezwzględnie będzie tępił wszelkie ludzkie kanalie, żmije i szczury... Drogi doktorze, pan nie będzie mi już potrzebny. Proszę wrócić do hotelu i uspokoić trochę nasze panie, zwłaszcza pannę Steffens. Może jej pan powiedzieć, że wszystko skończyło się pomyślnie, a sprawy, które mam jeszcze do załatwienia, nie dotyczą już Wenera.

Juliusz stał już na schodkach, gdy nagle wszyscy trzej zamarli w bezruchu. Z pomieszczeń, które opuścili przed chwilą, rozległ się huk podobny do głośnego trząśnięcia biczem. Juliusz i Guilbert popatrzyli na inspektora, który dziwnie wzruszył ramionami i rzekł:

— Widać miał więcej odwagi i charakteru, niż podejrzewałem. Ostrożnie, panowie, to może być jakaś pułapka!

Wrócili wszyscy trzej pod drzwi pokoi Alaina, inspektor nacisnął klamkę i bezszelestnie wśliznął się do przedpokoju. Cisza. Wszedł do salonu, rozejrzał się i powoli kiwnął na Guilberta i Juliusza, aby podeszli.

Na podłodze z przepychem urządzonej sypialni, obok podestu łóżka z purpurowym baldachimem, leżał Alain w bieliźnie, częściowo owinięty w falbany jedwabnej, szkarłatnej narzuty. W tej niesamowitej scenerii wyglądał jak zawsze pięknie. Twarz nieruchoma, sylwetka ułożona jak do snu, w zwisającej ze stopnia ręce trzymał rewolwer.

Morais musiał się pochylić, by dostrzec na prawej skroni leżącego niewielką ranę. Guilbert bez słowa zamknął powieki zmarłego, a potem wszyscy trzej ułożyli zwłoki na szkarłatnym łożu. Morais pootwierał na oścież wszystkie okna, rozejrzał się jeszcze raz po pokoju. Kolejny rozdział w jego bogatej kronice zawodowej został zamknięty.

Podszedł do Guilberta i rzekł:

— Po tym, co stało się tutaj, nie mam już wątpliwości, jak postąpić z pańską matką. Doktorze, najnowszą wiadomość może pan przekazać kobietom w hotelu. Niech czekają, aż wrócę, zaś pani Weber może się przygotować do wyjazdu, bo prawdopodobnie będzie potrzebna w pawilonie. Myślę drogi Guilbercie, że w jej

towarzystwie szybciej panu miną najgorsze, pierwsze godziny po tej tragedii. Chodźmy teraz i zrobmy, co jeszcze do nas należy.

Juliusz ominął siedzącego na schodach Luigiego, Lokaj patrzył na niego pełen niepokoju, a młody dyplomata nie wiedząc, co ma mu powiedzieć, wzruszył tylko ramionami. Spojrzawszy na górę, zobaczył pomiędzy kamiennymi słupkami balustrady inspektora znikającego w głębi korytarza.

TLR

XIII

Morais otworzył wyjętym z kieszeni kluczem drzwi pokoi Estelli i od razu włączył światła. We wszystkich pomieszczeniach zrobiło się widno. Estella w czarnej, prostej sukni stała przy oknie odwrócona plecami do drzwi. Podeszli do niej obaj z Guilbertem, a Morais zaczął:

— *Signora*, przyszedliśmy tu z pani synem, aby omówić rozwiązanie powstałych problemów.

Odwróciła się blada, jakby uszło z niej życie, spojrzała podkrążonymi oczyma najpierw na Guilberta, a potem na inspektora i spytała po cichu:

— Czy to, co przed chwilą usłyszałam... to był Alain?

— Tak. Skorzystał z jedyne go wyjścia, jakie mu pozostało. Na pani miejscu byłbym zadowolony, bo Alain zaoszczędził sobie losu, który spotkał Wenera Helmerdinga.

— Co zamierza pan zrobić ze mną? Nie odważę się pójść w ślady syna, nie zniosę też poniżenia czekającego mnie w więzieniu.

— Pierwsza z tych możliwości nie wchodzi już w rachubę — rzekł ostrym tonem Morais i uspokoił Guilberta, który chciał coś powiedzieć: — Najpierw ja, *signore*. Myślę, że tak będzie lepiej. Proszę, *signora*, niech pani przeczyta zeznanie Alaina, w którym przyznaje się do morderstwa. O wypadku, do którego doprowadził, by zgładzić syna Guilberta, nie wspomniałem, bo dla mnie nie ma to znaczenia. Ja chcę tylko uwolnić Wenera Helmerdinga. Proszę przeczytać, a myślę, że nie trzeba będzie niczego zmieniać.

Czytała powoli, ważąc każde słowo, a ponieważ nie było żadnej wzmianki o jej winie, o współodpowiedzialności, wyprostowała się dumnie, a w jej oczach pojawił się błysk nadziei.

— A jednak przekonał się pan, że nie można mi niczego udowodnić! Guilbercie, proszę uwolnić mnie od obecności tego natrętnego człowieka.

— Nie, mamó. Jesteś tak samo winna, jak Alain, i nie mnie ciebie sądzić, gdyż tragedia, do której się przyczyniłaś, dotyka mnie zbyt boleśnie — rzekł Guilbert nie podnosząc oczu na matkę, która wymachując chudymi rękoma, rzuciła się w jego stronę.

— I to ma być mój syn?!

— Ja też nie mogę pogodzić się z myślą, że jesteś moją matką — odparł spokojnie i podszedł do okna, odwróciwszy się plecami.

— Wystarczy, *signora*. Ja też jestem tylko człowiekiem, do tego starym i zmęczonym. Moja cierpliwość ma swoje granice. Proszę podpisać zeznanie, które przygotowałem dla pani już przed kilku dniami. Niech pani je przeczyta, a potem porozmawiamy, co dalej.

Chwyciła skwapliwie kartkę, przebiegła szybko wzrokiem i z pogardliwym uśmiechem na twarzy zawołała:

— Ani mi się śni podpisywać te bzdury! To tak, jakbym podpisała na siebie wyrok śmierci.

— Wybiera więc pani dziesięć lat więzienia, bo tyle pani grozi, jeżeli ten dokument nie zostanie podpisany. Decyzja należy do pani: albo sąd i wyrok, albo...

— Albo, co? Mówże, człowieku, a raczej diable wcielony!

— Z tym diabelskim pokrewieństwem tobym nie przesadzał, *signora*. Guilbercie, proszę podejść, bo to, co chcę zaproponować, wymaga pańskiej zgody. Jeżeli matka odmówi podpisania tego dokumentu, to wszyscy troje wiemy, co stanie się dalej. Gdy zaś zdecyduje się podpisać, to obiecuję, że przekażę go prokuratorowi dopiero w chwili, gdy pańska matka znajdzie się za murami klasztoru karmelitanek w Lyonie. Znam tamtejszą przełożoną i wiem, że nie pytając o powody przyjmie każdą kobietę, która chce odgrodzić się od świata. Wystarczy napisać prośbę. Pani wie, *signora*, co znaczy życie w klasztorze: wyrzeczenia i osamotnienie, ale się żyje. Można odpokutować zło, a nawet zrobić jeszcze coś dobrego, pożytecznego. Ma pani trzy minuty na zastanowienie się. Guilbercie, zgadza się pan na moją propozycję?

Guilbert, wyraźnie ożywiony, przytaknął skwapliwie:

— Oczywiście! To jedyne rozsądne wyjście. Bardzo panu dziękuję — patrzył z wdzięcznością na inspektora i na matkę, która powoli traciła pewność siebie, ale jeszcze z nienawiścią spoglądała to na syna, to na detektywa.

Złapała pióro, złożyła pod zeznaniem zamasztywa podpis i rzekła:

— Może się pan napawać zwycięstwem! Chyba nie spodziewa się pan podziękowań, a ty, synu, zapomnij, że masz matkę. Zawsze cię nienawidziłam, a kochałam tylko Alaina. On był inny niż wasz ojciec, który do śmierci pozostał prymitywnym proletariuszem i intruzem w sferach, gdzie toczy się normalne życie. Kochałam Alaina i Paryż, a skoro straciłam obie moje miłości, pozostaje mi pójść do klasztoru. Co pan zamierza ze mną zrobić?— spytała chłodno inspektora, jakby był jej katem.

— Jeszcze dziś pani stąd wyjedzie. Proszę spakować najniezbędniejsze rzeczy, a ja zadzwonię do Lyonu, aby przysłali samochód i zakonnicę, która będzie pani towarzyszyła.

— Chciał pan powiedzieć: „pilnowała”. Gratuluję pomysłowości!

— Powiedziałbym to samo o pani sprycie, ale w obecnej sytuacji wyglądałoby to na złośliwość. — Morais dobrnąwszy do celu, od razu odzyskał humor. — Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym nagle stracił koncepcję, jak zwalczać takie kanalie, jak pani i Alain. Byłaby to niepowetowana strata w moim zawodzie.

— Proszę mi tu przysłać pokojówkę do pakowania walizek!

— Nic z tego, signora! Grubą, bezczelną Luisę, która za wiele wiedziała o waszych machinacjach i milczała, już po południu wyprawiłem na tamtą stronę granicy. A po co pani walizki? W klasztorze nie wolno mieć rzeczy osobistych, więc wyraźnie kazałem zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy. — Morais zwinął podpisany przez Estellę dokument i dał znak Guilbertowi, że wychodzą. — Rządę się pospieszyć, bo za godzinę, dwie, samochód może już tu być. Warto by też odświeżyć pamięć i przypomnieć sobie modlitwy wyuczone w dzieciństwie, przydadzą się jak znalazł! — rzekł od drzwi i nie spojrzawszy nawet na Estellę, pociągnął Guilberta na korytarz.

Szli powoli w absolutnej ciszy. Zobaczywszy Luigiego warującego na dole przy schodach, Morais rzekł:

— Musi pan jeszcze pozostać na straży. Później na zmianę przyjdzie stary Józef, chyba że wcześniej zjawi się samochód z francuską rejestracją, a siostra karmelitanka zabierze *signorę* ze sobą. W razie czego niech pan pomoże tej zakonnicy, a kiedy samochód odjedzie, może pan pozamykać dom, jak gdyby państwo wyjechali na dłużej.

Luigi stał jak żołnierz słuchający przełożonego, oczarowany spokojem i zdecydowaniem niedawnego „elektryka Rudolfa”.

— Ale przecież signor Alain nie wyjechał... — odezwał się niezdecydowanie.

— Wyjechał, wyjechał. I to bardzo daleko, mój drogi Luigi. Niech pan zadzwoni do hotelu, gdy *signora* wyjedzie z tą zakonnicą, a potem proszę iść spać. Jutro rano zajmiemy się resztą.

Szli przez park w milczeniu. Pierwszy odezwał się Morais:

— Głowa do góry, Guilbercie! Możemy obaj dziękować Bogu, że pomógł nam dociec prawdy i wyrwać z więzienia niesłusznie skazanego człowieka. Procedura odbywać się będzie etapami i wymaga trochę czasu, ale chyba możemy zawiadomić tego nieszczęśnika, że na pewno wyjdzie na wolność? Jeżeli nie ma pan nic przeciwko, powiem pani Weber, żeby przyszła. W takiej chwili ciężko być samemu...

— Będę wdzięczny losowi i panu, jeżeli Margret zgodzi się przyjść do mnie, chociażby na krótko.

— Powiem Juliuszowi, żeby ją przywiózł. A wie pan, co ja teraz zrobię? Wrócę na piechotę do miasteczka! Uspokoję nerwy i może po drodze odzyskam wiarę w dobroć, miłość i uczciwość ludzi — rzekł Morais, a ponieważ stali już niedaleko pawilonu, wyciągnął rękę na pożegnanie. Wskazując na stojącego przed drzwiami starego lokaja, dodał: — O, Dobroć i Uczciwość w jednej osobie już na pana czekają!

Morais szedł niespiesznie poboczem drogi, zapalił fajkę, napawał się pięknym nocnym krajobrazem i był zadowolony z siebie i uwieńczonej sukcesem pracy. Znowu udało mu się wyrwać kogoś z kłopotów, a złym ludziom udowodnić, że sprawiedliwość istnieje i czuwa.

Po półgodzinnym marszu przekonał się jednak, że stare nogi odmawiają posłuszeństwa, a wewnętrzny głos wypomniał mu coraz częściej lekkomyślność i brak rozsądku. Pantofle, moje kochane, gdzie jesteście? — zawodził w duchu. — Leżycie sobie spokojnie u cioteczki przy fotelu, a ja się męcę... Żeby chociaż jakaś chłopska fura przejechała, ale o tej porze?...

Nagle w oczy zaświeciły mu reflektory samochodu. Morais ustawił swoją potężną postać pośrodku drogi, zapuszczając hamulce, a z otwartego okna doleciał ciepły, przyjemny głos Ingrid:

— *Monsieur!* Właśnie jechałam do zamku, by tam na pana zaczekać.

— Niewiarygodne! A skąd pani wiedziała, że odezwą się moje odciski? — przekomarzał się gramoląc na przednie siedzenie. — Nowoczesna technika to jednak dobra rzecz... wykluczam oczywiście zbrojenia, chemikalia dodawane do żywności i telewizję.

— To telewizji też pan nie lubi?

— Bo jak jestem zmęczony, to nie życzę sobie, aby obcy ludzie wrzeszczeli i skakali po moim pokoju.

— Można ich przecież uciszyć. Pstryk i po wszystkim! Co poza tym, *monsieur*? — Ingrid próbowała żartować, ale jej drżący głos świadczył, że nerwy ma napięte do granic wytrzymałości.

— Poza tym wszystko w porządku. Opowiem, gdy tylko wrócimy do cioteczki. Pani zaś musi szybko spakować walizkę, bo jutro z rana my dwoje jedziemy na Elbę... Proszę uważać na drogę! Wprawdzie nie zostaliśmy tam zesłani ani też nie wyjedziemy wśród wiwatów gwardii przybocznej. Wystarczy nam towarzystwo jednego, bardzo szczęśliwego człowieka. O Boże, ależ jestem zmęczony!

— *Monsieur*, chyba nie pójdzie pan od razu... — przestraszyła się Ingrid.

— Do łóżka? O nie. Poczekam, aż cioteczka pościeli, a potem zaśpiewa słodką kołysankę. Dziś chyba bez tego nie zasnę.

— A teraz odpowie mi pan chociaż na jedno pytanie? Czy Werner wyjdzie na wolność?

— Po cóż bym, śliczna pani, mozolił się tak długo, kazał wam odgrywać komedię? Dopiąłem swego i jutro jedziemy na Elbę po Wenera. — Ingrid zamomowała raptownie, zatrzymała samochód i pocałowała błyskawicznie inspektora w rękę. — Dzięki, *monsieur*, stokratne dzięki! — szepnęła i ruszyła z miejsca.

Morais trzymał rękę wysoko uniesioną i przyglądając się jej, z niedowierzaniem kręcił głową:

— Nie, tak jeszcze nikt mi nie dziękował! Bardzo pani dziękuję za takie podziękowanie, ale... rachunek i tak wystawię. Od razu też uprzedzam, że będzie słony... Nie można by jechać trochę szybciej? Moje nerwy wymagają odprężenia, a chyba nic nie ukoj ich lepiej, niż widok uśmiechniętej buzi naszej cioteczki.

— Dłużej już pan pewnie nie mógł trzymać nas tutaj w napięciu? — przywitała go Linda, gdy tylko stanął u progu salonu, gdzie czekali na jego powrót. — Co podać: herbatę, whisky lub coś jeszcze innego?

— Nic z tych rzeczy, cioteczko. Proszę mnie przytulić, ukołysać, dać do buzi smoczek, a do ręki kufel pieniącego się piwa!

— Tłumacząc to na normalny język rozumiem, że zakończył pan pracę z sukcesem, ale jest potwornie zmęczony.

— Doskonale się rozumiemy, cioteczko! Doktorze, pan jeszcze dostanie robotę. Trzeba natychmiast zawieźć naszą czarującą panią Weber do pawilonu. Pan Guilbert panią serdecznie zaprasza.

Margret wstała nieco speszona, pocałowała Gusti w czoło. Linda popatrzyła na inspektora i rzekła:

— To zdanie też wymaga przetłumaczenia. Pan Morais chciał powiedzieć, że w pawilonie też ktoś czeka na utulenie.

— A nie mówiłem? Ta kobieta wszystko wie, a cały czas udaje przed nami nie rozgarniętą! — Morais usiadł obok Lindy w fotelu i jak zmęczone dziecko przytulił głowę do jej ramienia. — Jutro rano musimy wcześniej wstać, bo pociąg odjeżdża o wpół do dziewiątej.

— A dokąd to?

— Na Elbę, cioteczko, a gdzież by?

Cztery pary oczu skierowały się natychmiast na inspektora. Gusti przytuliła się do swojej matki i skinęła na Juliusza, żeby już ją odwiózł. Po chwili oboje wyszli z salonu.

Ingrid stała przy stole, trzymając ręce na rozpalonych policzkach, szepnęła jak urzeczona:

— Na Elbę... do Wenera! Boże drogi, nie mogę uwierzyć, że to prawda.

— Prawda, prawda, moje dziecko, bo jak stary Morais pada ze zmęczenia, to już nawet kłamstwa nie przychodzą mu do głowy. Jak to się wszystko zmienia na tym świecie, prawda, cioteczko? Człowiekowi nie chce się nawet jeść!

— My tam wrzuciliśmy coś na ruszt i dlatego...

— ...nie chce wam się ruszyć tyłka.

— Wcale nie, stary marudo. Czekamy na jakieś wiadomości i tyle. Doktor Burghard opowiedział nam piąte przez dziesiąte, ale był tak zdenerwowany, że połowy musiałyśmy się domyślać. Nie mógłby pan choć w skrócie opowiedzieć nam, co stało się w zamku? Wszystkiego i tak z pana nie wyciągnę, ale przynajmniej chciałabym być spokojna o mojego chłopca.

Morais poprawiając się w fotelu mruknął:

— A tak mi było dobrze w pani ramionach!

— Może pan się znowu przytulić, nie mam nic przeciwko temu, ale najpierw sprawozdanie!

— W telegraficznym stylu. Alain podpisał zeznanie, że to on otruł i zastrzelił Madeleine. Wyszliśmy, a on wpakował sobie kulkę w łeb... lepszego wyjścia zresztą nie miał. *Signora* też przyznała się na piśmie, że pomagała w morderstwie synowej...

— I też się zastrzeliła? — nie wytrzymała Linda, podczas gdy Ingrid i Gusti patrzyły na inspektora jak dwa nieruchome posągi.

— Nie. Wysłałem ją do klasztoru. Tam bestia odpokutuje i nauczy się cenić ludzi. Przekona się też, że pieniądze i luksusy wcale nie są do życia potrzebne. I jak ciężko trzeba pracować, żeby je zdobyć... Plotę już od rzeczy, nie mogę zebrać myśli... dajcie mi wreszcie to piwo!

Najpierw jednak dostał pocałunek, który Linda złożyła na jego obwisłym policzku. Tak się wzruszyła, że łzy same płynęły jej z oczu. Były to łzy ulgi po wyczerpującym napięciu i wdzięczności dla niezawodnego inspektora Morais.

Margret nie odezwała się ani razu w czasie krótkiej jazdy. Wysiadając podała Juliuszowi rękę, a gdy spytał, czy ma zaczekać, uśmiechnęła się rozbrajająco i pokręciła przecząco głową. Guilbert stał już w drzwiach pawilonu.

Juliuszowi nie pozostało nic innego, jak nacisnąć gaz i wrócić czym prędzej do swojej żabki. Nie można mieć za złe zakochanemu człowiekowi, że nie potrafi myśleć o niczym innym, jak o wzięciu w ramiona słodkiej, przemilej małej istoty, by wycałować ją do utraty tchu i powiedzieć... Co właściwie powiedzieć? Chociażby, że jest jego śliczną, kochaną żabką...

Guilbert pomógł Margret zdjąć płaszcz w przedpokoju, zaprowadził ją do saloniku, a gdy usiadła w fotelu, stanął naprzeciw i nie wiedział co powiedzieć.

Uśmiechnęła się i biorąc go za rękę spojrzała w oczy.

— Drogi przyjacielu, wiem doskonale, co pan teraz czuje. Przeżył pan straszne chwile zawodu, goryczy i przerażenia ogromem zła, ale one już przeminęły, Guilbercie, i nastaną nowe, szczęśliwsze i jaśniejsze dni. Musi pan o tym teraz pamiętać. — Usiadł obok, trzymając ją za rękę. — W tym trudnym momencie ja także sprawiłam panu przykrość, bo wyszło na jaw, że śledziłam pana dla inspektora Morais. Ale proszę mi wierzyć: Nie chciałam pana krzywdzić, musiałam tylko pomóc Wernerowi.

— Przez chwilę, gdy się o tym dowiedziałem, byłem rzeczywiście na panią zły, ale wyjaśnienia pana Morais rozwiały moje wątpliwości. Dziękuję, że pani do mnie przyszła, Margret. Nie wiem, co zrobiłbym teraz ze sobą, gdybym nie cieszył się na pani przyjście.

— Zostanę tu, jeżeli pan sobie życzy. Samego nie zostawię. Zechce pan ze mną rozmawiać, posłucham, zechce pan milczeć, będę milczała z panem.

Wstał powoli, pociągnął ją za sobą cały czas patrząc w oczy. Nagle objął kobietę mocno, przytulił, a zwiesiwszy głowę, jak ktoś bardzo zmęczony, oparł ją na jej ramieniu i szepnął ledwo słyszalnym głosem.

— Margret, zostań ze mną, proszę cię. Zostań na zawsze i pomóż uwolnić się od upiorów przeszłości, aby już nigdy nie mąciły mi szczęścia. Kocham cię

bardzo, Margret, i jestem ci wdzięczny za wszystko, zwłaszcza za spokój, który mi przywróciłaś.

— W odpowiedzi musiałabym użyć zbyt wielu słów. — Wspięła się na palcach i pocałowała go czule w usta. — A w ten sposób powiedziałam wszystko jak najkrócej. Zaufaj mi, proszę, i uwierz, że dzięki naszej miłości oboje odnajdziemy szczęście, które dotychczas od nas stroniło. Zabrzmiało to trochę sentymentalnie, ale oboje nie jesteśmy już młodzi, mamy za sobą szczęśliwe i tragiczne chwile, co wcale nie znaczy, że nie mamy prawa zacząć wszystkiego od nowa.

Margret tak pokierowała rozmową, że Guilbert opowiedział jej o wszystkich swoich tragicznych przeżyciach. Wyrzuciwszy z siebie całą gorycz, poczuł się znacznie lepiej.

TLR

XIV

— Gdzie jest moja szczoteczka? — krzyczał Morais na cały korytarz, nie zważając, że większość gości jeszcze śpi.

Zza uchylonych lekko drzwi do pokoju Lindy usłyszał odpowiedź:

— Czyściłam nią wczoraj buty. W zamian mogę dać panu moją szczoteczkę do pastowania.

— Też mi dowcip! Mam jechać na Elbę z czarnymi zębami? Albo znajdzie się moja szczoteczka, albo nigdzie nie jadę!

— Wy, mężczyźni! Ten pański Napoleon też pewnie tak grymasił i dlatego marnie skończył. Radzę dobrze rozejrzeć się wokół umywalki, jestem pewna, że ta szczoteczka leży tam razem z pańską sztuczną szczęką. — Linda szybko zatrzasnęła drzwi, gdyż Morais porwał taborecik stojący na korytarzu i zamierzył się, jakby chciał nim w nią rzucić.

Wrócił jednak do swojego pokoju. Zazgrzytał zębami, podrapał się po łysiejącej głowie i przecierając oczy, rozglądał się wokół umywalki.

— Patrzcie ją! Wprawdzie nie obok sztucznej szczęki, bo moja naturalna nieźle się trzyma, ale obok golarki.

Gdy wreszcie Morais umył zęby, oboje z Ingrid pojechali najpierw do Turynu, gdzie inspektor przedstawił sądowi, który skazał Wernera Helmerdinga, do wody umożliwiające wznowienie rozprawy i wydanie wyroku uniewinniającego.

Zebrani sędziowie obiecywali, że zrobią wszystko, co w ich mocy, by przyspieszyć procedurę. Morais słuchał tych zapewnień z drwiącym uśmiechem i nie mógł sobie odmówić kilku cierpkich uwag pod adresem włoskiego wymiaru sprawiedliwości. W zamian otrzymał zapewnienie, że do czasu formalnego ułaskawienia więzień zostanie natychmiast przeniesiony do znacznie lepszej kwatery. Od ręki zaś sąd wystawił zezwolenie na odwiedziny narzeczonej, a naciskany przez inspektora, zgodził się na przyjazd Helmerdinga do Turynu już następnego dnia po wizycie.

— Nie zapomnijcie, panowie, obliczyć odszkodowanie dla tego biedaka. Chyba nie pozwolicie, aby pracował za darmo dla państwa włoskiego? — dodał żegnając się Morais.

Kiedy po południu Ingrid znalazła się na nabrzeżu w Piombino, nie mogła pozbyć się wrażenia, jakby kiedyś już tu była. Zdezelowany prom, rozklekotane samochody, zmęczone twarze robotników... Zobaczywszy blaszaną toaletę na górnym pokładzie, trąciła inspektora w bok i roześmiała się.

Morais zatkał nos i burknął:

— Nie było tam ani wygodnie, ani przyjemnie, ale wiem przynajmniej, że nie poświęcałem się na darmo. Chodźmy, śliczna pani, na drugą stronę. Widać stamtąd Elbę i twierdzę na szczycie, a kto wie, czy nie tę najważniejszą osobę?!

— Czy Werner wie, że przyjedziemy?

— Mam nadzieję, że nie. Nikt nie uwierzy, że do groźnego przestępcy niespodziewanie przybywa tak śliczna kobieta.

— Nie uwierzy pan, ale ja wciąż się boję o Wenera. Może jest chory, załamany i moja wizyta wcale go nie ucieszy?

— Świat nie słyszał takich bzdur, kobieto! Werner miałby się nie cieszyć? O, widać już Porto Azzuro, a powyżej, za tą mgiełką, zarysy twierdzy — pokazał w stronę wyspy, a sam zainteresował się blaszaną toaletą. — Dziś widzę pusta, jeżeli nie liczyć zawartości, dla której ją tu postawiono.

— *Monsieur*, czy pan ze wszystkiego musi żartować? — roześmiała się Ingrid.

— Moja droga, gdybym musiał być cały czas poważny, to najpierw znienawidziłbym samego siebie, a potem innych ludzi także. Bez odrobiny poczucia humoru nie mógłbym w ogóle wykonywać tak parszywego zawodu, jaki sobie wybrałem... Łup! Ten kapitan nigdy się nie nauczy szacunku dla historycznego nabrzeża i za każdym razem musi w nie walić tą swoją łajbą jak obuchem w łeb. Ma szczęście, że sławny Korsykanin już nie żyje, bo skróciłby go o głowę... Bardzo proszę, śliczna pani, Elba u pani stóp!

Morais mówił jak nakrecony, prowadząc Ingrid po chybotliwym trapie, a także potem, gdy starym gruchotem wspinali się po zboczu w kierunku twierdzy.

Doskonale wiedział, że nie może pozostawić teraz Ingrid samej z jej rozdygotanymi myślami.

Przy powitaniu dyrektora więzienia z inspektorem ktoś patrząc z boku musiałby pomyśleć, że to dwaj przyjaciele musieli się długo nie widzieć i bardzo się za sobą stęsknili. Ściskali sobie ręce, poklepywali po ramionach i z rozpromienionymi twarzami cieszyli się, jakby nie mogli uwierzyć, że znów się spotkali. Dyrektor skłoniwszy się, by pocałować Ingrid w rękę, rzekł:

— *Signorina*, zapewniam panią, że jest to dla mnie najszczęśliwszy dzień w życiu. Jeszcze nigdy nie zdążyło się, aby mój podopieczny opuszczał Elbę jako całkowicie oczyszczony z zarzutów.

— To pan już o wszystkim wie?

— Zadzwonili do mnie z Turynu. Pan Helmerding dostanie przepustkę na cały dzień, ale na noc proszę mi go tu odstawić. Przygotujemy mu, oczywiście, wygodniejszy nocleg, niż dotychczas, aby źle nie wspominał pobytu na naszej wyspie.

— Patrzcie ludzie, nagle „pan Helmerding”, a jeszcze niedawno wołał go pan po numerze! Panno Ingrid, posunęliśmy się o wielki krok do przodu! Niech go już pan tu wezwie, amico, a my dwaj zaczekamy gdzieś obok. Chyba znajdzie pan butelczynę czegoś mocniejszego, co warto by wychylić po dobrze wykonanej pracy. O nocleg dla mnie i panny Ingrid może się pan nie martwić, w twierdzy na pewno nie zostaniemy, a moja kuzynka, Rosita Benuto, nigdy by mi nie darowała, gdybym jej nie odwiedził.

Dyrektor zaprowadził Ingrid do rozmównicy. Krat, jak podczas wizyty Guilberta, tym razem nie opuszczono, a odrapany stół, przy którym siedzieli, był nakryty obrusem. Na środku stał wazon z kwiatami.

Ingrid z trudem opanowywała zdenerwowanie, drżała ze strachu i zniecierpliwienia. Bała się, że ujrzy za chwilę człowieka zupełnie zdruzgotanego, załamane go psychicznie i wyczerpanego fizycznie. Ostatnie minuty w pustej sali wydawały jej się wiecznością.

Zazgrzytał klucz, otworzyły się drzwi, a w jaskrawym świetle nasłonecznionego korytarza ukazała się sylwetka Wenera. Bez kajdanek, wyprostowany,

szedł powoli do stolika. Przystanął zauważywszy, że rozmównica wygląda inaczej niż zwykle, a dopiero później spojrzął na osobę stojącą obok stołu.

Zamarł w pół kroku, zrobił wielkie oczy i wyciągając przed siebie ramiona, wybuchnął głośnym szlochem, pokonując resztki dumy, jakie jeszcze mu pozostały. Przytulił mocno ukochaną kobietę do piersi i trzymał, jakby bał się, że ktoś mu ją odbierze.

— Ty tutaj... Ingrid? Ja chyba śnię, to nie może być prawda! Ale czuję cię w swoich ramionach..., Ingrid, kochanie, przynosisz mi dobrą wiadomość, czy też może?...

— Najlepsza, skarbie! Jesteś wolny, Wernerze, uwierz... jesteś już wolny! Dlatego pozwolono mi cię odwiedzić. — Głaskała delikatnie jego wychudłe policzki i krótko przystrzyżone włosy. Całowała go to w usta, to w oczy, przytulała się. — Nie wierzysz? Przysięgam na Boga, że mówię prawdę. Jesteś wolny!

— Mogę stąd wyjść? Mogę znowu wierzyć, że będziesz moja... już nie jestem uważany za mordercę?

— Wszystko się wyjaśniło. Pan Morais udowodnił, że jesteś niewinny. Zostały do załatwienia tylko formalności i wrócisz do domu.

— Kto zatem... kto nam to zrobił, Ingrid? — spytał wciąż trzymając ją w ramionach, jakby bał się, że znowu może ją stracić.

— Alain Brochelino i jego matka. Nie rozmawiajmy jednak o tym, pan Morais później opowie ci o wszystkim. Ciesz się, że znowu jesteśmy razem i możemy być szczęśliwi! — Pocałowała go i przytuliła głowę do jego ramienia, a choć w oczach miała łzy, uśmiechnęła się: — Wychudłeś, kochanie, ale ciotka Linda już wie, co zrobić, aby twoje zapadnięte policzki nabrały koloru.

— Mówisz mi o ciotce, o życiu, przyszłości, a ja nie mam siły w to uwierzyć... Ingrid, pomóż mi! — patrzył na nią nieporadny jak dziecko, drapał się po głowie.

Wzięła go pod ramię, i pociągnęła w stronę drzwi, którymi weszła tu z biura dyrektora.

— Ingrid, nie wolno mi podchodzić do tych drzwi! — przestraszył się.

— Już wolno, kochanie. Muszę cię jakoś przekonać, że nie jesteś już więźniem — otworzyła drzwi i zawołała: — *Monsieur*, niech mi pan pomoże przekonać go, że mówię prawdę.

— Oho, mnie pewnie też nie uwierzy... *Signore direttore*, w tych murach tylko pan ma jakiś autorytet.

Dyrektor podszedł do Wenera z wyciągniętą ręką i radosnym uśmiechem, jako że puchar dobrego wina, który zdążył wychylić z inspektorem, wprowadził go w dobry nastrój.

— *Signor Helmerding*, mnie naprawdę może pan wierzyć, że jutro już pan stąd wyjdzie. Bez eskorty uda się pan do Turynu, gdzie poczeka pan na załatwienie ostatnich formalności. U mnie ma pan prawo do łóżka na jedną noc... podkreślam: łóżka, a nie pryczy w celi! Bardziej przekonujących dowodów już chyba nie muszę panu przedstawiać.

Werner słuchał w pozycji na baczność, trzymając jednak Ingrid cały czas za rękę,

— Dowodów? — wymamrotał. — To znaczy, że nie jestem uważany za mordercę... Uniewinniono mnie! Boże Wszechmocny, jak mam ci dziękować?! — Oparł czołem o ścianę, jakby nie chciał, aby w rozmowie z Bogiem ktoś patrzył mu w twarz. Zapadła uroczysta cisza.

Morais nie znosił zbyt długo trwającej powagi i klepiąc z rozmachem dyrektora po plecach, zawołał:

— *Signore*, chyba znajdzie pan porządne cywilne ubranie dla naszego bohatera? Przecież tak nie pójdzie z wizytą do mojej kuzynki, Rosity!

— *Dio mio*, zupełnie o tym nie pomyślałem, ale tak na oko mamy podobną sylwetkę, więc mogę panu dać jeden z moich garniturów, niekoniecznie ten najnowszy, oczywiście. Chodźmy, *signore*, przebiorę pana do cywila. Z włosami, niestety, nic nie zrobimy. Trzeba poczekać, aż odrosną, ale z praktyki wiem, że długo to nie potrwa. Będą za to mocniejsze!

Werner ochłonął już trochę, ale kiedy wychodził z dyrektorem, odwrócił się od drzwi i popatrzył błagalnym wzrokiem na Ingrid, na co Morais natychmiast odpowiedział:

— O nie, mój drogi, damom wstęp wzbroniony! Przypilnuję, aby w tym czasie Ingrid panu nie uciekła, a przy okazji przypudrowała sobie nos...

— Och, *monsieur!* Rzeczywiście mam błyszczący nos?

— Jak but wysmarowany słoniną!

W znakomitym nastroju opuszczali ponurą twierdzę, a Werner, przekroczwszy bramę, odetchnął głęboko. Ścisnął mocno dłoń Ingrid i szepnął:

— Nigdy już, nawet na godzinę, nie pozwolę się oderwać od ciebie. Wielki Boże, spraw, aby tak było!

Głośne i serdeczne powitanie u Rosity oszołomiło trochę Wenera, ale też uświadomiło mu dopiero teraz, że naprawdę wrócił do świata normalnych ludzi. Cieszył się jak dziecko, gdy odwykłymi rękoma mógł posługiwać się przy stole nożem i widelcem, zapalać papierosa, wreszcie wygodnie rozsiadać się w fotelu. Pod wieczór nie miał już żadnych wątpliwości, że jest naprawdę wolnym człowiekiem.

Kilka dni później Ingrid czekała na Wenera w Turynie, skąd pociągiem wracali razem do Monfalcone. Morais wyjechał wcześniej, zaraz po załatwieniu wszystkich formalności, gdyż dobrze wiedział, że młodym żadne towarzystwo w czasie podróży nie będzie potrzebne.

W Monfalcone przyjęła ich tylko ciotka Linda. Margret Weber całe dni spędza w pawilonie u Guilberta, a Gusti wyjechała z Juliuszem na krótką wycieczkę, w końcu w zamku nie miała nic do roboty.

Guilbert zapłacił robotnikom odszkodowanie i kazał natychmiast przerwać prace. O zamku nie chciał słyszeć.

Ciotka siedziała na balkonie zajęta szydełkowaniem, spoglądała od czasu do czasu na widoczne w oddali góry i nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy wyzkiwanego z niepokojem bratanka.

Zdziwiła się, gdy nagle zjawił się gruby Morais, ale sam.

— Dobrze chociaż to, a gdzie reszta?

— Czego, droga cioteczko?

— Przecież nie pytam o masło ani czerwony kordonek, który gdzieś mi się zapodział! Chce mnie pan wykończyć nerwowo? Pytam o Wenera i Ingrid!

— Z mojego przybycia nie jest pani zadowolona... Szkoda, bo już myślałem, że lubi mnie pani chociaż trochę. — Ukląkł przed nią i patrzył jej smutno w oczy.

— Oszalał pan?! Co to ma znaczyć? — spytała zakłopotana.

Morais wyciągnął rękę, w której trzymał motek czerwonego kordona.

—: Tego pani szukała? Od razu sobie pomyślałem, że nici musiały spaść na podłogę, a pani nie chciało się schylić, żeby je podnieść.

— Powiedzmy. Panu jednak radzę wstać i opowiedzieć mi, co się stało, bo w przeciwnym razie nie ręczę, że zachowam spokój.

— Czuję się zawiedziony, cioteczko, bo zawsze stawiałem panią za wzór cierpliwości.

— Dziękuję, ale wcale o to pana nie prosiłam. Chcę wiedzieć, co dzieje się z moim chłopcem!

Morais, podnosząc się z klęczek, starannie otrzepał kolana i zwałił się obok Lindy na fotel.

— Z całą pewnością jest teraz lepiej traktowany, niż ja.

—Jak mam to rozumieć?

— Ktoś troskliwie się nim opiekuje, szeptem na ucho czułe słówka...

— Chyba nie oczekuje pan tego samego ode mnie? Werner jest wolny? Wypuszczono go?

— Jutro rano go wypuszczą. Sąd przyznał się do pomyłki, a ja poradziłem Wernerowi, aby zrezygnował z prowadzenia wojny o akta i dokumenty, a co trzeba załatwić, to prędzej załatwi się korespondencyjnie.

— Dzięki Bogu, *monsieur*... i panu także! Bardzo jestem panu zobowiązana, bo bez pana sami niczego byśmy nie osiągnęli. Wolę nie myśleć, jak by to się wszystko skończyło. — Linda ukradkiem otarła kilka łez spływających jej po policzku i pochyliła się, by wziąć kordonek z wyciągniętej ręki inspektora. — Wolę też, żeby pan nie zmiętolił mi całego motka.

— No, wreszcie usłyszałem właściwy ton! Od razu poczułem się lepiej i przysłała mi ochota na filiżankę gorącej czekolady...

— ...i bzdurną laskę wanilii do pomieszczenia?

— Nic dodać, nic ująć.

Jak już Guilbert postanowił wcześniej, stara część zamku została zburzona aż do wieży przylegającej do przybudówki. Ingrid dokończyła urządzania wewnątrz, choć jako młoda pani Helmerding miała zupełnie co innego do roboty.

Do odnowionego zamku Guilbert wprowadził się zaraz po ślubie z Margret. Ślady złych wspomnień poszły w zapomnienie i przestały ich straszyć i wszystko wskazywało na to, że czeka ich wiele pięknych chwil niczym nie zmaconego, harmonijnego szczęścia.

Wiele radości sprawiło Ingrid następne zamówienie, które otrzymała od Gusti i Juliusza. Kupili piękną willę w Paryżu i zlecili Ingrid urządzenie z niej przytulnego gniazdka dla dwojga zakochanych po uszy młodych małżonków.

Ciotka Linda kręciła tylko siwą głową, patrząc jak wszystko wokół niej się zmienia, i powtarzała:

— Całe szczęście, że wkrótce wrócę do mojego zacisznego kąta w Monachium. Kto chce, niech mnie odwiedza, ale ruszyć się stamtąd nie dam. Pana też zapraszam, stary szperaczu. Będzie mi brakowało widoku pańskiej gapiowatej gęby.

— Cioteczka potrafi człowieka podtrzymać na duchu — zaśmiał się Morais całując ją w rękę w szarmanckim ukłonie, a wskazując na trzy młode pary bawiące się przy szampanie, dodał z rozmarzeniem w oczach:

— Przynajmniej takie widoki przydają trochę blasku szarym dniom, na jakie jest skazany stary, samotny człowiek.

— Sam pan sobie winiem. Dlaczego nie pomyślał pan w porę o założeniu rodziny?

— Przyganiał kocioł garnkowi! A pani dlaczego?...

— Morais, gdyby zadał mi pan to pytanie przed laty, to na pewno nie stali-
byśmy tu teraz jak dwa kołki w płocie, a szaleli razem z tamtymi. Wystarczy?

Wystarczyło, ale po chwili stary detektyw był już myślami w swoim przy-
tulnym mieszkanku na poddaszu, gdzie czekała na niego następna, piekielnie za-
wiła sprawa.

TLR